

PEGGY WEBB
SOBOTNIE PORANKI



Prolog

— Pudel znów zmoczył dywanik, Margaret Leigh.

Margaret Leigh położyła torebkę na stole w przedpokoju, powiesiła zakiet w szafie i przywróciła do porządku niesforny kosmyk włosów skręconych w kok. Wygładziła granatową spódnicę kupioną na zeszłorocznej wyprzedaży i zwróciła się ku ciotce Bercie zstępującej ze schodów.

Ciotka Bertha bowiem nie schodziła ze schodów. Ona z nich zstępowała, unosząc się na fali zapachu perfum, pożółkłych koronek i szyfonu w różowym kolorze. Margaret Leigh była nieraz tak zmęczona tym różem, że chciało jej się krzyżeć. Oczywiście nigdy tego nie zrobiła. Damy nie krzyżują, one cierpią w milczeniu. A Margaret Leigh była damą.

Westchnęła. Czasami żałowała, że nie ma odwagi przeklinać.

— Zaraz to wytrę, ciociu. Jestem pewna, że Christine nie chciała nabrudzić.

— Ale zrobiła to niezawodnie. Nasiusiła na dywanik umyślnie! Zachowuje się źle od początku mojej krótkiej wizyty.

Margaret Leigh wzniosła oczy ku niebu. Krótka wizyta ciotki Berthy! Przybyła do Tupelo jeszcze w kwietniu, aby wyrwać się z zimnego, wilgotnego Chicago, gdzie mieszkała z siostrą Margaret Leigh, Tess. Był już październik, a ciotka ciągle tu była. Oczywiście Margaret Leigh nie śmiała narzekać. Rodzinną lojalność zobowiązywała do opieki nad bezdomnymi, niezamężnymi ciotkami. Szczególnie powinna troszczyć się o Berthę, której właściwie zawdzięczała wychowanie.

Czasem jednak pragnęła mieć trochę mniej lojalności, a więcej charakteru, tak jak Tess. Ona zawsze mówiła to, co myśli.

— Pudle to nerwowa rasa, ciociu. Christine ustatkuje się z czasem.

Ciotka stała teraz u stóp schodów sapiąc i dysząc.

— Ciociu, nic ci nie jest?

— Pozwól mi przez chwilę zaczerpnąć tchu. — Położyła na piersi tłusciutką, ozdobioną klejnotami rękę i westchnęła dramatycznie. — Jeśli jutro umrę, będzie to twoja wina. — Wyciągnęła rękę, a sztuczne diamenty zabłysły w popołudniowym słońcu.

Margaret stłumiła śmiech. Już dwadzieścia lat ciotka Bertha groziła, że umrze. Każdy w rodzinie rozpieszczał ją udając, że zarówno jej diamenty, jak i cierpienia, uważa za prawdziwe.

— Czy chcesz widzieć się z doktorem, ciociu?

— Nie, moja droga. Po prostu muszę odpocząć od twojego pudła i poczyniłam już pewne kroki...

— Jakie kroki?

— Znalazłam tresera dla Christine.

Margaret Leigh odetchnęła głęboko, przewidując przeprawę z powodu najnowszego przejawu wścibstwa ciotki Berthy.

— To bardzo... bardzo miło z cioci strony, ale nie stać mnie na tresera.

— Nonsens! Taka elegancka dziewczyna jak ty, dążąca do sukcesu, nie może sobie pozwolić na to, aby nie mieć tresera psów. Pies kobiety zdecydowanej na robienie kariery musi wiedzieć, jak się zachować w eleganckim towarzystwie.

— Po pierwsze, mając trzydzieści dwa lata, nie jestem już raczej dziewczyną. A po drugie, nie jestem pewna, czy katalogowanie książek prowadzi do sukcesu. A nawet jeśli tak, to nie rozumiem, jak moja kariera może mieć coś wspólnego z manierami Christine.

— Rzecz w tym, że moczy dywaniki. — Już wszystko załatwiłam. Jutro możesz zawieźć Christine.

Margaret Leigh wiedziała, że jest pokonana, ale czuła się zobowiązana przynajmniej do symbolicznego protestu. Przecież miała swoją dumę, jeśli nawet była ona tłumiona dobrym wychowaniem.

— Jutro jest sobota. Treser prawdopodobnie nie pracuje...

— Zbadałam to. On prawie wcale nie pracuje, chyba że absolutnie musi. W normalnych okolicznościach nikomu z rodziny nie radziłabym zadawać się z takim typem. Ale mówią, że to najlepszy treser w okolicy.

— Planowałam zgrabić jutro liście.

Twarz ciotki Berthy zmarszczyła się, policzki zdrząły.

— Oczywiście, jeśli nie chcesz...

W nagłym poczuciu winy Margaret Leigh pogłaskała ciotkę po rękę.

— Jestem pewna, że chciałaś jak najlepiej. Myślę, że nie zaszkodzi porozmawiać z nim.

— Po prostu wiem, że dzięki niemu będziemy mieć nową Christine.

Stara Christine całkiem odpowiadała Margaret Leigh, ale nie powiedziała tego. Za wszelką cenę chciała utrzymać spokój.

— Ty zawsze, ciociu Bertho, działasz w moim najlepszym interesie. Pójdę tam jutro. Jedna, krótka wizyta nam nie zaszkodzi.

Rozdział pierwszy

Andrew McGill uwielbiał sobotnie poranki. Leżał w hamaku i odpychając się jedną nogą od ziemi, wprawiał go w ruch. Szeleściły suche liście. Andrew, z rękami pod głową, wsłuchiwał się w muzykę jesieni, wiatr szumiący w drzewach, przepiórki nawołujące się na pobliskich polach, psy ujadające na trawniku. Jasne i świetliste niebo wyglądało tak, jakby wymyły je pracowite aniołki.

Odetchnął zadowolony. Stare dzinsy, parę dobrych psów do polowań na ptaki i leniwy sobotni poranek — czego więcej może chcieć mężczyzna?

Słońce ogrzewało mu twarz; zdrzemnął się na chwilę. Obudziło go szczekanie psów. Drżące podniecenie w ich głosach całkowicie go orzeźwiło. Nie wstając rozejrzał się wokoło.

Wszystko wyglądało jak dawniej — drewniany domek z niebieskimi, perkalowymi zasłonami, dowód przyjaźni siostry Jo Beth, stary, półciężarowy ford i własnoręcznie pielęgnowana grządka brązowych chryzantem, kojarzących mu się z grą w football, hot-dogami i orkiestrami grającymi zbyt głośno.

I wtedy zobaczył samochód. Nie wierzył własnym oczom. Był to żółty volkswagen garbus. Nie widział takiego od osiemnastu lat. Osłonił oczy ręką i obserwował samochód, który hałaśliwie przedzierał się piaszczystą drogą w kierunku jego posesji. Wydawało mu się, że prowadzi kobieta, ale z tej odległości nie był tego pewny.

Leżał w hamaku, uzbroiwszy się w cierpliwość. Tego dnia nie liczył na towarzystwo, nie miał jednak nic przeciwko niezapowiedzianej wizycie. Nie wiedział jeszcze, jak przyjmie gości. Pomyślał, że albo ich przepędzi i będzie mógł dalej drzemać, albo zaprosi na piwo...

Mały samochód zatrzymał się obok forda. Wysiadła z niego wysoka kobieta. Andrew od razu zwrócił uwagę na jej królewski chód, chociaż trzymała się nieco sztywno, jakby czuła się nieswojo. Uśmiechnął się. Jego dom był szokiem dla większości kobiet.

Nieznajoma zatrzymała się przed budynkiem, patrząc na niego tak, jakby miała zamiar coś w nim zmienić. Jeszcze tego brakowało. Zamknął oczy i udawał, że śpi.

Margaret Leigh tymczasem opanowała szok spowodowany wyglądem brzydkiego, nie pomalowanego domu i zbliżyła się do mężczyzny w hamaku. Mocniej przytuliła Christine. Znajome, ciepłe ciało dodawało jej odwagi.

Andrew leżał w pozycji zupełnie swobodnej. Był wysokim, wspaniale opalonym blondynem. Założyłaby się z każdym, że sypiał na słońcu nago. Zawahała się przez chwilę. Ciotka Bertha ostrzegła ją przed takimi mężczyznami. — „Łajdaki popijające piwo nic nigdy nie osiągną.” — Uważałaby tę radę za beznadziejnie przestarzałą, gdyby nie okazało się, że nie rozmija się z prawdą. Kilka kobiet z rodu Jonesów nieszczęśliwie połączyło swe losy z takimi właśnie typami i przeklinają ten dzień. Siostra Margaret była jedną z nich.

Gdy tak stała, poczuła strużkę potu spływającą po twarzy. Samotny moskit buczał nad jej głową, aby w końcu sięść na udzie mężczyzny. Zafascynowana, obserwowała wędrówkę moskita po obcisłych dżinsach. Poczuła ucisk w gardle i dyskretnie odchrząknęła.

— Gryzę tylko w środy.

Drgnęła na dźwięk głębokiego głosu i, zapomniawszy o moskicie, spojrzała w twarz mężczyzny.

— Przestraszył mnie pan. — Poczuła gorący rumieniec na policzkach.

— Czy pani jest naprawdę, czy ja ciągle śnię? — Założył ręce pod głowę, oparł stopę o ziemię i wprawił hamak w ruch. Ponieważ i tak nie było mowy o drzemce, postanowił rozerwać się nieco. — Tylko porządne dziewczyny się czerwienią. Czy pani jest porządną dziewczyną?

— Och! — Osloniła twarz.—Jak na październik jest zbyt gorąco.

— Jest za gorąco na wszystko, nawet na miłość!

— O! mój Boże — Margaret Leigh cofnęła się o krok. Umiała rozpoznać łajdaka za każdym razem. Interesowali się wyłącznie kobiecym ciałem.

Andrew McGill stłumił chichot. Z powagą na twarzy ciągle zachowywał się skandalicznie.

— Czy kiedykolwiek próbowała pani miłości w hamaku? — Z satysfakcją dostrzegł nasilający się rumieniec. — Nie, myślę, że nie. Prawdopodobnie woli pani chłodne, białe prześcieradło i łóżko z baldachimem. Założę się, że czeka pani do zmroku...

— Moje prywatne życie to nie pańska sprawa!

Po raz pierwszy odważyła się na taką odpowiedź. Andrew poczuł się lepiej. Nie chciał mieć przewagi nad nieśmiałą kobietą.

— Kochając się po ciemku, można polegać tylko na dotyku. Wolę widzieć partnerki, a pani?

Margeret Leigh przytuliła mocniej pudła i odwróciła się. Przez moment myślał, że odchodzi. Nagle zwróciła się ku niemu; oczy jej pałały.

— Jeśli mi pan łaskawie powie, gdzie mogę znaleźć tresera psów, zostawię pana z rozkoszą, razem z pańskimi sprośnymi i pożądanymi uwagami.

Andrew wybuchnął śmiechem i tak rozbujał hamak, że o mało nie wypadł z niego.

— Nazywano mnie już różnie, ale nigdy w ten sposób.

— To do pana pasuje...

— Trochę mi przykro. — Andrew wstał, ale nie wyciągnął ręki do Margaret Leigh. Był pewny, że nie dotknie sprośnego i pożądanego faceta.

— Andrew McGill, do usług. Nadzwyczajny treser psów.

— Dobry Boże!

— Widzi pani, a jednak Bóg nie jest dla mnie zbyt łaskawy.

Znów się śmiał. Margaret Leigh nie widziała nigdy mężczyzny gadającego takie głupstwa i śmiejącego się przy tym. Ale to tylko potwierdzało jej pierwsze wrażenie. Mógł być najlepszym treserem psów w okolicy, ale był przede wszystkim łajdakiem. Pragnęła uniknąć konfliktu z ciotką Berthą i tylko to powstrzymało ją od ucieczki.

— Ciotka ostrzegła mnie, że z takim typem jak pan, nie warto się zadawać.

— Zadawać! — Zaśmiał się jeszcze głośniej. — Na Boga, kobieto, ty to nazywasz zadawaniem się! — Wyciągnął rękę i pogłodził jej spłoniony policzek.

— Ja to właśnie tak nazywam.

Jej policzek był miękki i gładki. Zapragnął dotknąć go jeszcze raz. I zrobił to. Cofnęła się.

— Dżentelmen nie tknąłby damy bez pozwolenia.

— Ja nie jestem dżentelmenem.

— Jest pan łajdakiem! "

— Najprawdopodobniej.

— Już dawno by mnie tu nie było, gdyby nie Christine.

— Czy to jeszcze jedna ciotka moralistka?

— To mój pies.

— Przykro mi, ale ja nie tresuje pudli. — Andrew zerknął na zwierzątko drżące w raminach Margaret.

— To nawet dobrze. Od początku nie chciałam zostawić jej z panem. Ona jest bardzo nerwowa, szczególnie przy obcych.

Andrew nie mógł oprzeć się wyzwaniu. Wyjął pieska z rąk pani i zaczął głaskać — pewnie i mocno. Mówił coś cicho, uspokajająco, aż w końcu Christine polizała mu rękę. Margaret Leigh była zdumiona. Andrew mrugnął do niej porozumiewawczo.

— Zwierzęta są jak kobiety. Reagują na rękę mistrza.

— Mówiono mi, że pan umie obchodzić się ze zwierzętami.

— I kobietami.

— ...dlatego do pana przyszłam.

— Naprawdę?

Znów Margaret oblała się rumieńcem.

— To z powodu Christine i jej problemu... Oczekiwał szczegółów — milczała.

— Powiedziała pani, że Christine ma problem.

— Ma złe maniere. Zapomina się od czasu do czasu.

— Używa łyżki zamiast widelca?

— Nie, ona... — Margaret Leigh zamilkła.

Nigdy nie rozmawiała z mężczyzną na tematy intymne. Nie miała okazji. Przez sześć lat pielęgnowała chorego ojca, potem opiekowała się samotnymi ciotkami lub kuzynami, którzy, jeśli tylko mieli kłopoty, zjawiali się w jej domu.

— Moczy dywanik, ale dopiero od przyjazdu ciotki Berthy. Szczerze mówiąc, myślę, że Christine jest po prostu trochę zazdrosna i w ten sposób chce zwrócić na siebie uwagę. To prawdopodobnie minie. — Zamilkła, aby zaczerpnąć powietrza, jednocześnie sięgnęła po psa. W tym momencie najbardziej chciała uniknąć kłopotliwego towarzystwa Andrew McGilla. Nigdy nie spotkała tak denerwującego mężczyzny. — Jeśli odda mi pan Christine, to już pójdę.

— Nie tak prędko. — Andrew ciągle głaskał pieska — Pomyślałam, że Christine będzie dla mnie miłą odskocznią od tresury psów myśliwskich.

— Ja nie chcę, żeby była psem myśliwskim, po prostu chcę, żeby przestała moczyć dywanik. Zbiorę ją.

— Nie wygląda pani na osobę bojaźliwą.

— Ja się nie boję. Zmieniłam zdanie, to wszystko! — Kłamała.

Nigdy w życiu tak się nie bała. Co więcej, nie wiedziała, czy bardziej przeraża ją to, że podoba się Andrew McGillowi, czy to, że być może nie jest dla niego zbyt atrakcyjna.

— Wie pani co, zawrzemy układ. Niech pani zostawi Christine na parę dni, a jeśli się nie poprawi do następnej soboty, może ją pani zabrać. Nie musi pani płacić.

— A jeśli zmieni zwyczaję? — Margaret Leigh zawahała się. Nigdy nie lubiła rozmawiać o pieniądzach. — Nie mówił pan jeszcze o honorarium.

Andrew McGill zastanawiał się. Wziął pudła dla kaprysu. Nie miał pojęcia, co go skłoniło do obniżenia stawki. Ale właśnie to zrobił, wymieniając sumę, która zadowoliliby każdego poszukiwacza dobrego interesu.

Margaret Leigh zawahała się przez moment. Jeśli Andrew McGill będzie postępował tak dalej, będzie musiała zmienić o nim zdanie. .

— Zgodę! — Wyciągnęła rękę.

Andrew poważnie uściśnął wyciągniętą dłoń. Nagle następny kaprys sprawił, że podniósł ją do ust. Długo upajał się jej delikatną wonią i miękkością. Ciepło rumieńców Margaret Leigh czuł w koniuszkach jej palców. Nie puszczać ręki, szepnął:

— Nie wiem jeszcze, jak się pani nazywa.

— Margaret Leigh Jones — wykrztusiła. Andrew był z siebie tak zadowolony, jakby zdobył

wielkie trofeum myśliwskie. Puszczać rękę Margaret Leigh, spojrzał jej w oczy w sposób, jaki uwielbia większość kobiet.

— Margaret Leigh Jones, pani pies jest w rękach eksperta... i pani także.

— Panie McGill...

— Mam na imię Andrew.

— ...nie jestem w pana rękach ani żadnego innego mężczyzny. — Margaret Leigh odważyła się pochylić i pożegnać z psem. — Christine, zostawiam cię z tym panem na dzień lub dwa. Ale wrócę, przyrzekam ci. — Poklepała główkę pudelka i przypadkowo dotknęła ręki Andrew. Poczula dreszcz i natychmiast cofnęła się. — Będiesz dobry dla Christine, prawda?

— Margaret Leigh. — Uśmiechnął się. — Może jestem skończonym łajdakiem, ale wiem, jak traktować psa. Zaufaj mi. — Dziwił się sam sobie. Nigdy nie rozpraszał wątpliwości właścicieli psów zgłaszających się do niego. Nie zależało mu. — Jeżeli chcesz, możesz ją odwiedzić w czasie tresury.

— Dziękuję. — Już miała odejść, ale odwróciła się jeszcze. — Ona boi się ciemności. Palę jej światło w ' nocy. I jest próżna. Lubi spać w

swoich wstążkach. Drażnią ją hałasy, dlatego nie włączaj zbyt głośno telewizora.

— Nie mam telewizora.

— Jak możesz być na bieżąco?

— Słucham radia i czytam gazety.

— Więc proszę, nie włączaj głośno radia, dbaj o Christine.

— Nie martw się. Wróci do ciebie bezpieczna, zdrowa i w dodatku bez złych nawyków.

— Dziękuję. — Margaret Leigh uświadomiła sobie, że powiedziała to po raz drugi. „Zachowuję się jak prawdziwa gąska” — pomyślała.

Jak postępować z mężczyzną takim jak Andrew? — Tess wiedziałyby, ona ma doświadczenie. Margaret Leigh zdecydowała się odejść.

Andrew obserwował ją. Oczy Margaret miały kolor winogronowego lizaka. To skojarzenie pojawiło się całkiem nieoczekiwanie. Nigdy nie spotkał kobiety o takich oczach.

Christine zaskomlała; pogłaskała ją.

— Twoja pani jest najbardziej chimeryczną kobietą, jaką spotkałem. Czy wiedziałas o tym, Christine? — Piesek polizał mu rękę. — Ale to prawdziwa dama.

Mały samochód zakręcił i zniknął w kłębach kurzu.

„Co by było — zadumał się Andrew — gdybym zajął się nimi obiema? — Zachichotał na samą myśl o tym. — Uczenie Margaret Leigh umiejętności korzystania z życia, byłoby świetnym urozmaicheniem sobotnich poranków. Muszę się nad tym zastanowić...”

Gdy tylko Margaret Leigh znalazła się za zakrętem, zjechała z drogi i oparła czoło na kierownicy. Nie do wiary. Właściwie poczyniała sobie z tym mężczyzną jak bezwstydnica, pozwalając gładzić swój policzek i nazywając go łajdakiem. Co w nią wstąpiło? Powinna wziąć psa i natychmiast stamtąd odejść. A ona zostawiła Christine. Niepotrzebnie, ale będzie mogła przekonać się, czy jest dobrym treserem.

Wyjęła z torebki chusteczkę i dokładnie wytarła spocone dłonie. „Damy z Południa nie poca się” — Zawsze powtarzała ciotka Bertha i ciotka Grace. „Damy z Południa nie palą na stojąco.” Obie z Tess śmiały się z tych staropanieńskich mądrości ciotek. Zwykle chodziły za stajnię z paczką papierosów, którą Tess zwędziła dziadkowi Jonesowi i paliły stojąc. Chciały sprawdzić, czy będą się czuły jak kobiety niemoralne. Ale nie. Właściwie Tess stała się po trochu kobietą niemoralną — trzy rozwody, śpiewanie w podrzędnych knajpkach... Taka przynajmniej była

opinia rodziny. I to sprawiało, że Margaret Leigh była wściekła jak diabli.

Odetchnęła głęboko. Właśnie tak pomyślała: —, Jak diabli". Nawet wypowiedziała głośno. Brzmiało świetnie. Gdyby miała papierosa, wyszłaby z samochodu i wypaliłaby go stojąc, tak dla draki. Może właśnie stawiała się kobietą niemoralną. Dziwne, ale wcale nie czuła się z tym źle.

Uruchomiła samochód i ruszyła w stronę domu. Wiedziała, że jej śmiałe i szalone bicie serca jest tylko chwilowe. Cicha, nieśmiała, zadowolona z życia, zawsze w cieniu Tess, była czymś w rodzaju anachronizmu — kobieta o wiktoriańskich manierach i moralności — w epoce łatwego seksu i natychmiastowego zaspokajania namiętności.

Oddalając się od domu Andrew McGilla, zapragnęła być inna. Gdyby tak miała rozjaśnione włosy i skórzaną ' spódnicę, zamiast francuskiego koka i rozsądnego ubioru. Gdyby tak, zamiast umiejętności przyrządzania pieczonego kurczaka, znała sztukę przekomarzania się i seksualnej aluzji. Zamiast się czerwienić, chciała wiedzieć, jak się flirtuje. Wołała raczej znać się na francuskim całowaniu niż na francuskiej kuchni.

Oczywiście, nie pragnęła tego wszystkiego na stałe, tylko na krótki czas, aby stawić czoła upodobaniom Andrew McGilla. Westchnęła. Może poczuje się sobą, gdy zgrabi liście.

Rozdział drugi

Andrew obserwował oddalający się samochód Margaret Leigh, aż ostatecznie kłęby kurzu opadły na drogę. Potem spojrzał na pieska trzymanego na rękę.

— Cóż ja, do diabła, zrobiłem? Spontaniczne działanie zawsze przysparzało mi sporo kłopotów.

Christine zaskomlała. Poglaskała jej lebek.

— Nie zważaj na to, malutka. To wcale nie znaczy, że cię nie lubię. Lubię cię. Kocham wszystkie zwierzęta, nawet te, które moczą dywaniki.

Andrew zachichotał, przypomniawszy sobie poważny wyraz twarzy Margaret Leigh, próbującej wyjawic problem Christine. Może to właśnie jej twarz, zaróżowiona z zakłopotania sprawiła, że wziął pudełka właśnie teraz, w trakcie intensywnej tresury Rekxa. Do Narodowych Mistrzostw Umiejętności Psów Myśliwskich pozostało tylko pięć miesięcy. Nie mógł sobie pozwolić na stratę choćby jednego tygodnia. Jak, do licha, miał ćwiczyć Rekxa w towarzystwie nerwowego pudła?

Z podwórka dobiegły dźwięki psiego ujadania.

— Słyszysz, Christine? Wiedzą, że ktoś nowy jest na terenie posiadłości. Chodźmy tam, poznam cię z nimi, zanim zdecydują się wziąć sprawę w swoje łapy!

Psy myśliwskie nie podobały się Christine, zresztą z wzajemnością. Andrew spodziewał się, że tak będzie. Dał jednak słowo i nie mógł go cofnąć. Będzie musiał uzbroić się w cierpliwość i to wszystko.

Postanowił wziąć Christine do środka, aby oswoiła się z tymczasowym domem. Psy, głośnym ujadaniem, wyraziły niezadowolenie z odejścia pana.

— Cicho, chłopaki. To dzień Christine.

Tylne drzwi trzasnęły za nim, a Christine zadrżała. „Ona nie lubi hałasów.” To właśnie powiedziała Margaret Leigh z wielkim przejęciem w głosie.

— Przepraszam, Christine. — Postawił ją na kuchennej podłodze i włączył radio, ale niezbyt głośno.

— Jaką muzykę lubisz — pop, poważną, country? — Szukał odpowiedniej stacji lokalnego radia. — Nie? To tak jak ja. — Nastawił kanał retro i z uśmiechem przysłuchiwał się relaksującemu brzmieniu orkiestry Glenna Millera.

Christine przykucnęła obok niego.

— Oj, nie, młoda damo. — Wyprowadził ją w ostatnim momencie.

Do popołudnia osiągnął z Christine niełatwy rozejm. Pudel przestał kuć, w zamian za drapanie za uszami, nadmiar pochwał i drobne, psie przysmaki. Gdyby Andrew był nerwowy, jego cierpliwość wyczerpałaby się w tym samym czasie co psie łakocie. On był jednak spokojny i zrelaksowany, przypominał, miękko, wygodną koszulę po kilku praniach.

Wyciągnięty w hamaku, z Christine leżącą mu na brzuchu i żującą najświeższy psi przysmak, obserwował pogoń dwóch wiewiórek w gałęziach drzewa. Natura była dla niego niewyczerpanym źródłem zachwyty.

— Spójrz na wiewiórkę w górze, Christine. — Andrew podrapał puszysty podbródek pieska. — Ta mała obłudnica udaje obojętność, a tak naprawdę, to tęskni do amorów starego zarozumialca, Don Juana. Znałem wiele kobiet, które udawały trudne do zdobycia twierdze, wodziły człowieka za nos, kazały uganiać się za nimi. Każda z nich to obłudnica — zaśmiał się — ale kocham je wszystkie.

Christine trzepnęła wypielegnowanym ogonkiem i potrząsnęła różowymi wstążkami, jakby chciała powiedzieć: — „Niech każdy wie, jaka jestem piękna”.

— Oczywiście, od czasu do czasu lubię odmianę. Weźmy na przykład twoją panią. Założę się, że nigdy w życiu nie próbowała uwieść mężczyzny. Do diabła, założę się, że nigdy w życiu nie nawet nie flirtowała z mężczyzną.

Ta myśl zaintrygowała go. Zainteresowanie rosło, im więcej się nad tym zastanawiał. Przypomniawszy sobie, jak zaczerwieniła się i nazwała go łajdakiem. Widział jej niezwykle oczy i gładką skórę...

Wszystkie kobiety, o których względy ostatnio zabiegał, były do siebie podobne — inteligentne, dowcipne, wyrafinowane, rozkoszne dla oczu i ciała. Lecz wszystkie oczekiwały tego samego. Chciały się dobrze zabawić. Pragnęły zapomnieć o napięciu towarzyszącemu walce o sukces, który był celem ich życia. Nie były takie jak Margaret Leigh Jones. Nie miały staromodnych manier i nie czerwieniły się.

Zawładnęła nim nowa myśl. Odmiana. Oto czego pragnął. Podniósł się z hamaka, wszedł do domu i włożył Christine do małego, wiklinowego koszyka, stojącego na podłodze w kuchni.

— Zdrzemnij się, malutka. Idę w zaloty. Margaret Leigh grabiła liście, podśpiewując cicho, a ciotka Bertha siedziała z robótką na werandzie. Obserwowała i od czasu do czasu robiła uwagi.

— Jeszcze tam, kochanie.

— Tak, ciociu, nie martw się, dojdę do tego.

Głosy ptaków, delikatny śpiew i pobrzękiwanie drutów — wszystko to podkreślało senną, październikową atmosferę.

Wtem druty znieruchomiały.

— Margaret, znałaś dziewczynkę Crockerów?

— Tak, ciociu Bertho. Lecz ona już raczej nie jest dziewczynką. Ma dwadzieścia pięć lat, czy coś koło tego, jeśli dobrze pamiętam.

— No, więc jest w ciąży! Wiesz, że nie wyszła za mąż. To grzech i wstyd.

Margaret Leigh uderzyła liście grabiami. Przeszarzałe poglądy ciotki działały jej na nerwy, lecz natychmiast pojawiło się poczucie skruchy. Nie chciała źle myśleć o własnej rodzinie. Kochała ich wszystkich, chociaż byli tacy dziwni.

— Nie powinniśmy słuchać bezpodstawnych plotek — zawołała przez ramię. — A poza tym, co nas to obchodzi.

— Niemniej jednak...

Ciotka Bertha zamilkła, a Margaret Leigh grabiła nucąc. W chwilę później ciotka znów przerwała robotę na drutach.

— Masz niestaranną fryzurę, kochanie. Może powinnaś wejść do domu i spać włosy.

— Prawie skończyłam, ciociu. — Margaret wsparła łokieć na grabiach i próbowała upiąć włosy szpilkami, ale okazało się to niemożliwe. Włosy były ciężkie, a jesienny wiatr i zmęczenie sprawiły, że nie mogła sobie z nimi poradzić. W końcu zrezygnowała i pozwoliła im rozsypać się na ramionach. Mysie włosy, ot co. Nieciekawy, pospolity brąz jak futerko starej myszy. Przypomniała sobie przepiękne włosy Tess. Czerwone złoto październikowego zachodu słońca. Margaret Leigh zawsze podziwiała włosy siostry, ale nigdy nie był to powód do zazdrości. Zazdrość była jej obca, tak jak przekleństwa.

Zgrabiła jeszcze trochę liści, powiększając i tak duże stertę. Podjęła przerwana melodię. Była to stara, uroczysta pieśń, jedna z jej ulubionych: Słodkie pożegnanie. W samym środku frazy, spotkamy się na tym pięknym brzegu, usłyszała nadjeżdżający samochód. Był hałaśliwy i stary. Widziała przecież tę niemożliwie jaskrawą, czerwoną półciężarówkę rankiem, rozpartą na podwórku Andrew McGilla. Jednym ruchem przesunęła ręką po twarzy i włosach. Nie dlatego, że spodziewała się odwiedzin, na Boga. Po cóż taki mężczyzna przyjeżdżałby do niej w pogodne, sobotnie popołudnie, podczas gdy Tupelo pełne było wspaniałych, doświadczonych kobiet, które prawdopodobnie wiedziały, jak całować po francusku, a może jeszcze coś więcej.

Samochód jechał w dół Allen Street, a hałas wzrastał się. Ford zatrzymał się przy krawężniku, akurat przed domem Margaret. Wysiadł z niego Andrew McGill — to był on, bez wątplenia, wesoły i beztroski.

— Kochanie, ten mężczyzna idzie w kierunku naszego domu! — wykrzyknęła ciotka Bertha.

Margaret Leigh nie mogła wypowiedzieć słowa. Wpatrzona w Andrew kurczowo ścisnęła grabie.

— Dobry Boże, Margaret. On ma na sobie skórzaną kurtkę. Tylko chuligani noszą skórzane kurtki.

Andrew McGill usłyszał skierowaną pod jego adresem uwagę. Margaret poznała po uśmiechu, że mu się spodobała. Boże, co to za człowiek! Przeszedł przez trawnik, nie zatrzymując się aż do chwili, gdy stanął naprzeciwko. Spojrzała prosto w jego niebieskie oczy. Wiedziała teraz, jak musiała czuć się Alicja po drugiej stronie lustra.

— Witaj, Margaret Leigh! — Głęboki baryton zabrzmiał oficjalnie. Uśmiechnął się, jak diabeł domagający się grzesznika. — Jak ty ponętnie wyglądasz z rozpuszczonymi włosami! — Wyciągnął rękę i złapał w dwa palce niesforny, luźno zwisający kosmyk.

— Och! — Tylko to była w stanie wypowiedzieć. I co gorsza, znów się zarumieniła. Czuła gorąco aż u nasady włosów.

Zatknął jej kosmyk za ucho, po czym wepchnął ręce do kieszeni, choć Bóg jeden wie, jak mu się to udało przy tak obcisłych dżinsach. Zastanawiała się, w jaki sposób taki okazały mężczyzna mógł się w ogóle w nie wcisnąć?

Zachichotał. Zapatrzyła się na niego, a on ją na tym przyłapał. Jedną ręką kurczowo trzymała grabie, drugą podniosła do twarzy.

— Jak... — wydobyła z siebie głos podobny do krakania. Zaczęła od nowa. — Jak się miewa Christine?

— Jak każda kobieta, która postawi na swoim—jest zadowolona.

— Margaret Leigh! — Na dźwięk głosu Margaret odwróciła się w stronę werandy. Kompletnie zapomniała o ciotce. — Kim jest ten mężczyzna?

— Treserem psów, ciociu.

— O mój Boże!

Margaret Leigh pomyślała dokładnie to samo. Andrew McGill nie czekał na prezentację. Energicznym krokiem szedł na spotkanie z ciotką.

— Ach, witam panią. Czuję się tak, jakbym panią znał od dawna.

Jego maniery były gładkie jak melasa nalewana z dzbanka. Zanim ktokolwiek zorientował się w sytuacji, był już na werandzie, pochylając się nad ręką ciotki

Berthy jak filmowy gwiazdor lat czterdziestych. Ustami lekko musnął jej dłoń. Potem uśmiechnął się.

— Jak czarująco wygląda pani w różowym kolorze. On sprawia, że pani skóra jest piękna jak kwiaty magnolii.

— Nie do wiary! — Ciotka Bertha zatrzepotała powiekami, a jej sztuczne diamenty zabłysły.

Margaret Leigh oparła grabie o drzewo i przyłączyła się do nich, siadając na krześle, skąd miała dobry widok na niespodziewanego gościa.

— Nie usiądzie pan? — Zwróciła się do Andrew. — Ciociu Bertho, to jest Andrew McGill. Przyszedł opowiedzieć nam o Christine.

— To wspaniale.

Andrew usiadł okrakiem na krześle i uśmiechnął się.

— Właściwie przyszedłem w zaloty.

Na werandzie rozległ się syczący oddech ciotki. Margaret Leigh siedziała spokojnie. Nie wiedziała, co zrobić, ani co powiedzieć. To nie znaczy, że nigdy nikt się o nią nie starał. W ciągu paru ostatnich lat miała kilka propozycji. Ale nigdy od kogoś takiego. Ten człowiek był inny: śmiały, zwariowany, lekkomyślny...

— Myślę o tańcach, lubisz tańczyć?

— No cóż — nie miała zamiaru przyznawać się, że nie tańczyła od czasu szkoły średniej — każdy lubi tańczyć od czasu do czasu.

— Świetnie! Znam wspaniałe miejsce na Highway 45. Jest tam zimne piwo, orkiestra lepsza niż gdzie indziej, a właściciel nie znosi bijatyk. Co byś powiedziała na potańcówkę dzisiaj, około ósmej?

Spojrzenie wędrowało od zaciśniętych ust ciotki do figlarnego uśmiechu Andrew.

— Mam trochę fachowej lektury na dzisiejszy wieczór.

Ciotka Bertha wyraźnie odetchnęła.

— Założę się, że jestem bardziej interesujący niż książki w twojej bibliotece. — Andrew pochylił się ku niej i mrugnął porozumiewawczo.

Margaret Leigh założyłaby się o to samo. Pokusa była silna, już prawie jej uległa. Prawie, lecz niezupełnie.

— Panie Mc Gili, pańska propozycja jest bardzo uprzejma, ale...

— Uprzejma? — zaczął chichotać. Po chwili wybuchnął serdecznym śmiechem.

— Co w tym śmiesznego? — Margaret Leigh była bliska irytacji.

— Nie zapraszam cię przez uprzejmość. Moje motywy są całkiem inne. Chcę się po prostu pobawić w twoim towarzystwie.

Przekonywający śmiech Andrew miał w sobie tyle blasku... Poczula się bezsilna.

Zdobyła się na jeszcze jeden sprzeciw.

— Twoje motywy są prawdopodobnie nieprzyzwoite. — Jeśli ochotę do tańca nazwiesz nieprzyzwoitością, to zgadzam się. — Jego uśmiech zajaśniał ponownie.

— Oczywiście, pogoda jest doskonała, zapowiada się piękny wieczór. — Ustąpiła. — Zgadzam się na tańce.

Ciotka Bertha, tuż obok, wydała z siebie głos podobny do przekłutego balonika. A Andrew po prostu jaśniał. To nie był jedynie uśmiech — jaśniały jego zęby, skóra i włosy — on cały. Naprawdę trudno mu się było oprzeć. Zacerpnęła głęboko powietrza i zaczęła mówić bardzo szybko. Bała się, żeby nie zmienił zdania.

— Myślę, że mogę odłożyć czytanie na później. Tak, pójdę z tobą.

— Margaret Leigh, będziesz się bawić jak nigdy. — Andrew wstał, pełen wdzięku, uroku i swobody. — Bądź gotowa o ósmej, ślicznotko. — Po chwili, zwrócił się ku ciotce Bercie, raz jeszcze ujął jej dłoń. — Proszę się nie martwić o siostrzenicę. Będę się nią opiekować.

Odszedł, pozostawiając na werandzie dwie oszołomione kobiety.

Beztroski gwizd Andrew rozbrzmiewał jeszcze chwilę. Szedł nie śpiesząc się w kierunku samochodu. Stare drzwi wozu zaskrzypiały. Postawił nogę na stopniu i odwrócił się jeszcze. Podniósł rękę w geście pożegnania. Za chwilę samochód potoczył się z trzaskiem i łoskotem wzdłuż Allen Street i zniknął za zakrętem.

Ciotka Bertha pierwsza odzyskała mowę.

— Co cię opętało, Margaret?

— Ochota do tańca, ciociu Bertho.

— Ale z takim mężczyzną! Widziałaś, miał rozchełstaną koszulę? To nieprzyzwoite.

— Jest wspaniale opalony, przynajmniej mogłam to zauważyć.

— Margaret Leigh!

Dziewczyna patrzyła rozmarzona w przestrzeń. Co ją naprawdę opętało? Nie wiedziała. I prawdę powiedziawszy, nie chciała wiedzieć. Pragnęła tylko iść na tańce z Andrew McGillem.

— Słyszałaś? Nazwał mnie ślicznotką.

— I to zupełnie przewróciło ci w głowie. A teraz nie patrz na mnie tym zranionym wzrokiem, kochanie. — Ciotka Bertha pochyliła się nieco. —

Wiesz, tacy mężczyźni jak on... — zamyśliła się. — Jesteś taka ładna. Uważaj na siebie, bądź ostrożna.

— Zawsze byłam ostrożna.

— A jednak...

— To nie znaczy, że dzisiaj chcę się zdemoralizować. Całe życie byłam uczciwa i nie widzę powodu, aby to zmieniać. Wydaje mi się jednak, że za dużo tracę, zadając się wyłącznie z nudnymi mężczyznami.

— Przyzwoitymi, bezpiecznymi mężczyznami.

— Nudnymi. Nudnymi jak pomyje.

Ciotka Bertha chciała jeszcze coś powiedzieć, ale zrezygnowała. Długo walczyła ze sobą, wreszcie pogładziła dłoń Margaret. — Przyrzeknij mi, że będziesz ostrożna, kochanie. Umarłabym, gdyby stało ci się coś złego.

— Będę ostrożna. A zresztą, ciociu Bertho, co złego może się stać na tanecznym parkiecie?

Nadeszła ósma. Siedziała przerażona w półciężarówce Andrew, trzymając się klamki. Pomyślała, że na parkiecie może zdarzyć się więcej, niż się spodziewała. Już tu, w samochodzie, działy się rzeczy nieoczekiwane.

Andrew McGill wyglądał zachwycająco w półmroku rozpraszonym migającymi światłami ulicznymi. Był podobny do świętego w lśniącej złotem aureoli. Lecz jego uśmiech, głos, sposób prowadzenia rozmowy, szybko rozwiął to wrażenie i przyprawił Margaret Leigh o drżenie. Splotła mocno palce, żeby tego nie zauważył. Nie mogła przecież okazać, że trzęsie się i wzbrania jak mały, delikatny motyl, nawet jeśli tak było.

— Wyglądasz bardzo ładnie w tej sukience. Jest błyszcząca i jasna jak prezent na Gwiazdkę! — Błysnął zniewalającym uśmiechem. — Kocham Gwiazdkę. — Pochylił się i dotknął pieszczotliwie lśniącego, niebieskiego materiału na jej udzie. — Miłe. Jak się nazywa ta tkanina?

— Tafta!

— Tafta. Wygląda ładnie, jak coś dobrego do jedzenia.

Zatrzymali się na światłach. Dźwięk starych, zardzewiałych hamulców zagłuszył jej nerwowy oddech. Zaczęła powoli liczyć do dziesięciu i to przywróciło jej równowagę. Potem pomyślała, że jest jeszcze Harry Cox, najbezpieczniejszy, najnudniejszy facet w całym Tupelo, który nigdy nie trzymał jej ręki bez pozwolenia.

— Dlaczego nie przysuniesz się trochę bliżej? Ocknęła się z zamyślenia.

— Słucham?

— Przysuń się bliżej, Margaret.

— Tak mi wygodnie, dziękuję.

— Nie zrobisz tego dla mnie? — Jego uśmiech chwycił za serce. — Wiesz, co pomyślą ludzie, gdy zobaczą, że między mnie a moją dziewczynę, można zmieścić klasę przedszkolaków.

Wyglądał tak niewinnie, że uległa i przysunęła się trochę.

— Tak lepiej? — Otoczył ją ramieniem.

Nie zdawała sobie nigdy sprawy, że ramię mężczyzny może emanować energią, jakby było naładowane elektrycznością.

— Nie sądzisz, że tak jest lepiej?

— Hm... chyba tak.

Andrew roześmiał się. To był serdeczny, głośny śmiech. Wydawało się, że trzęsie się od niego cały samochód.

— Margaret, jesteś rozkoszna z tymi dużymi, zielonymi oczami i ślicznym, nieśmiałym uśmiechem. Nie wiem, dlaczego żaden facet nie porwał cię do tej pory.

— Nie wszyscy mężczyźni doceniają poważne dziewczyny.

Poczuła się trochę lepiej. Niczego nie musiała się wstydzić. W każdym razie jeszcze nie teraz. Konwersacja była na poziomie jej inteligencji. Odkrywała nawet przyjemność swobodnego wypowiedzania myśli. Czują się z tym świetnie.

— I to ty jesteś tą poważną dziewczyną? — zapytał.

— Nigdy się naprawdę nie zastanawiałam nad tym, jaka jestem. Ale chciałabym dowiedzieć się, jaki ty jesteś.

— Sądzę, że jestem zmysłowym i pożądlwym łajdakiem.

— Prawdopodobnie nie powinnam zadawać tego pytania. To było nierozsądne.

— Mnie się podobało.

— Naprawdę? Dlaczego?

— Odkryłem, że nieliczni ludzie mówią to, co naprawdę myślą. Większość z nich prowadzi słowne gry, często rozmijając się z prawdą. Cieszę się, że mówisz to, co myślisz. Nie masz pojęcia, jak bardzo prawda odświeża.

— Nie do wiary. Jesteś intrygującą zagadką, Andrew.

Odwrócił się ku niej. W blasku ulicznych świateł zobaczyła poważny wyraz jego twarzy.

— Więc rozwiąż mnie.

On chyba żartuje. Próbowwała poznać tajemnice jego umysłu, zawłości ducha...

— Czy to nowy, typowy dla lat dziewięćdziesiątych sposób na uwodzenie kobiet?

— Na Boga, Margaret Leigh, jesteś odważna.

— Czasami. — Uśmiechnęła się. Zaczynało ją to bawić.

— Może uda mi się odkryć wszystkie twoje zalety.

— Nie wiem.

— Jesteś śliczną kobietą.

— Nie jestem śliczna, a z pewnością nie taka głupia, aby wierzyć, że chcesz czegoś więcej niż przelotnego flirtu. To tylko ciekawość, która wkrótce minie.

— Ciekawość prowadzi do wielkich odkryć. Kolumb odkrył Amerykę.

— Nie jestem nowym kontynentem i nie nadaje się do badań.

— Przysuń się jeszcze trochę. Przyrzekam, że nie będę prowadził żadnych badań. Przynajmniej jeszcze nie teraz.

— Dlaczego chcesz, żebym usiadła bliżej? Przecież już raz się przysunęłam.

— Za pięć minut będziemy w Siedzibie Piratów, a jak znam Hootera i Jamesa Johnsona, to siedzą na parkingu, w tylnych drzwiach ciężarówki i obserwują, kto przyjeżdża na sobotnie tańce.

— I twoja reputacja ucierpi, gdy zobaczą, że między nami jest tyle miejsca?

— Tak jest.

— Dlaczego tak ci na tym zależy?

— Nie dbam o to, co powiedzą inni. Po prostu chcę cię mieć przy sobie. A oni i tak będą mówić, że żadna kobieta mi się nie oprze.

Ona też nie mogła. W ciągu minionego kwadransa właśnie to sobie uświadomiła. Nie wiedziała, co się z nią dzieje. Wydawało jej się, że mogłaby wzlecieć bez skrzydeł do księżycy.

Była już dość blisko, aby czuć ciepło jego ciała, ale cóż to szkodzi przysunąć się jeszcze bliżej? Jego ramię zacisnęło się w momencie, gdy poruszyła się lekko. Nagle uświadomiła sobie, że jest mocno do niego przytulona, a ich uda stykają się ciasno. Serce waliło jej głośno. Wyobrażała sobie, że Andrew musi to słyszeć.

— Patrz na tych tu. — Skinął głową w kierunku lśniącego, czarnego chevroleta. — Siedzą jak dwie sójki na konarze, nicponie. Nie to co ja.

Nogi jej się ugięły. Była na randce z miejscowym podrywaczem. Margaret Leigh Jones, najbardziej niedoświadczonej kobiecie po tej

stronie Mississippi, przyszło odwiedzić Siedzibę Piratów w towarzystwie mężczyzny, z którym nie można uporać się bez bata. Podniosła wyżej głowę w geście determinacji. Będzie musiała po prostu mieć się na baczności, to wszystko.

— Ho, ho, patrzcie! — Zagrzmiało na parkingu, gdy wysiadali z samochodu.

— To Hooter — szepnął Andrew.

— Chłopie, gdzie poderwałeś taką piękność?

— Nie zdradzam firmowych sekretów, Hooter,

— To niedobrze. Powinieneś podzielić się z kumplami. — Gruby głos należał do Jamesa.

— Popatrzcie sobie, ale nie dotykajcie! — Objął dziewczynę ramieniem i szybko skierował się ku wejściu.

Spotkanie na parkingu było dla Margaret niczym, w porównaniu z szokiem, którego doznała w drzwiach Siedziby Piratów. Powietrze było ciężkie od dymu. Żarówki wyglądały jak niebieskie sępy. Wszędzie przebijała nagość. Kobiety, o nagich ramionach i wysoko podciągniętych spódnicach, obnażyły nogi w siatkowych pończochach. Siedziały przy maleńkich stolikach z mężczyznami ubranymi w kowbojskie kapelusze i wysokie buty z wężowej skóry, palącymi duże, obrzydliwe cygara. Hałaśliwa muzyka i donośne głosy tworzyły swoistą atmosferę klubu. Był tam mały parkiet taneczny, ale tak zatłoczony, że nie dałoby się wcisnąć igły.

— Podoba ci się tutaj?! — Andrew musiał krzyczeć, aby mogła go usłyszeć.

— To jest coś zupełnie innego niż...

— Niż co?

— Niż fachowa lektura.

Śmiejąc się misternie kluczył wśród tłumu, trzymając ją blisko siebie. Jakimś cudem znalazł stolik wielkości sześciu dużych znaczków pocztowych, w dalekim kącie sali. Margaret, przeciskając się w jego stronę, potrafiła dwie osoby.

— Przepraszam—powiedziała. — Nie zareagowali.

— To często się zdarza. — Wyjaśnił Andrew i usiadł naprzeciwko.

Ich nogi splotły się. Próbowwała odsunąć krzesło, ale nie było miejsca. Więc siedziała z kolanami wciśniętymi między nogi Andrew, z udami przylegającymi do jego ud, jakby była jedną z wyuzdanych dam tego wieczoru. Przypuszczała, że to nieprzyzwoite, trochę śmiałe, ale na pewno przyjemne i szalenie podniecające.

Andrew pochylił się nad stolikiem i wziął Margaret za rękę.

— Co byś powiedziała na dobrą, dużą szklanę korzennego piwa dla ochłody?

— Korzennego piwa?

— Nie lubisz piwa?—Wydawał się tak zakłopotany, jakby właśnie powiedziała, że nie lubi jego babki.

— Owszem, lubię. Po prostu nie wyobrażałam sobie, żeby mężczyzna taki jak ty, pił piwo korzenne. Myślałam, że lubisz mocniejsze trunki.

— Powtarzasz ciągle, „mężczyzna taki jak ty”, jakbym był z innej planety. Jestem zwykłym treserem psów myśliwskich, mieszkam w lesie i znajduję przyjemność w tańcach z ładnymi kobietami.

— Jesteś daleki od przeciętności, Andrew McGill.

— Powiedz coś jeszcze. — Pochylił się tak blisko, że po raz drugi tego dnia doznała uczucia, jakby zapadała się w głębię jego oczu. — Jak wszyscy ludzie uwielbiam słuchać dobrych rzeczy o sobie. — Uścisnął jej rękę. — Będiesz mówić dobre rzeczy, prawda Margaret?

— Jeśli odwagę, aż do zuchwalstwa, nazywasz czymś dobrym, to myślę, że tak.

— Zuchwalstwo. Lubię to słowo. Czy jestem zuchwały? — Był zadowolony jak mały chłopiec.

— Bardziej niż Sinobrody.

— Potrafisz bawić się słowami.

— To dlatego, że dużo czytam.

— Taka piękna kobieta jak ty... o tak miękkiej, perłowej cerze — wierzchem dłoni musnął jej policzek — powinna ciągle kochać się, a nie czytać.

— Ja... — Zwilżyła suche wargi koniuszkiem języka. „Muszę zmienić temat” — pomyślała. — Powinam powiedzieć ci, że właściwie jestem otoczona tylko książkami.

— Gdzie?

— W bibliotece. Kataloguję książki.

— Bibliotekarka.

— To brzmi, jakbym była obiektem muzealnym.

— Nie. Myślę, że to wspaniałe. — Znów pogładził jej policzek. — Śliczna bibliotekarka, w sukni jak świąteczna gwiazdka, i w dodatku cała moja...

Zmusiła się do trzymania głowy prosto. To nie do wiary, jak on sprawiał, że dziewczyna miękła.

— Wcale nie jestem twoja. Jestem niezależną, ambitną kobietą, prowadzącą ciche, skromne życie na Allen Street, z pudłem o imieniu Christine i z ciotką, której na imię Bertha.

Jak zawsze, zareagował śmiechem. Ten spontaniczny śmiech podobał się Margaret Leigh prawie tak samo, jak niezwykle, niebieskie oczy Andrew.

— Niezależna kobieto, czy mogę cię prosić do tańca? — Orkiestra grała powolnego bluesa.

— Tak.

Uklonił się i odsunął krzesło jak prawdziwy džentelmen. Podała mu rękę, a on poprowadził ją na parkiet i otoczył ciasno ramionami.

Przytuliła się do niego. Andrew był mocny jak dąb i kuszący jak ogień. I ten rytm! Chociaż nie tańczyła od wielu lat, nie miała kłopotów na parkiecie. Prowadził wspaniale.

Tak być powinno, myślała. Mężczyzna i kobieta poruszający się w bliskim uścisku i doskonałej harmonii, otoczeni przyćmionymi, zadymionymi światłami. I ten słodki blues... Po raz pierwszy w życiu poczuła smutek, że omijały ją tańce w sobotnie wieczory, sosnowy zapach ciała i szorstki dotyk męskiego zarostu, przyprowadzający o mocniejsze bicie serca.

— Jesteś stworzona do tańca, Maggy.

Nikt nigdy nie mówił tak do niej. I nikt nie nazywał ją Maggy oprócz Tess, odważnej Tess, która mogła zrobić i powiedzieć wszystko, a ludzie i tak ją kochali.

Margaret Leigh milczała. Przygarnął, ją tak blisko, że czuła się całkowicie w jego posiadaniu. Jak można tańczyć w ten sposób? To było dla niej niepojęte. Nie poruszali się prawie wcale, a to, co robili na tej małej przestrzeni, naprawdę było erotyczną fascynacją. Wyobrażała sobie, że tak wygląda miłość.

Czytała książki, oglądała filmy, w których miłość była pozbawiona tajemniczości i niewiele pozostawało dla wyobraźni.

Dla Margaret Leigh istniała ciągle tajemnica pierwszego zbliżenia. Jak brzmi melodia szalonej miłości?

„Ciekawość prowadzi do wielkich odkryć.” Słyszała głos Andrew tak wyraźnie, jakby powiedział to przed chwilą. Co też w nią wstąpiło? Ciekawość wiedzie także do pospiesznych ślubów, a potem do rozstań i gorzkich rozczarowań. Wystarczyło tylko sięgnąć po słuchawkę i zadzwonić do Tess. Dlaczego nie miałyby skorzystać z doświadczeń siostry?

Lepiej będzie, jeśli na razie zapomni o badaniu męskiego kontynentu.

RS

Rozdział trzeci

Andrew bawił się świetnie.

Nie było to dla niego niespodzianką. Zawsze potrafił się dobrze bawić. Niespodzianką było raczej to, że Margaret Leigh coraz bardziej mu się podobała. Była miękka, kobieca, pachniała słodko, a w dodatku była inteligentna. Lubił inteligentne kobiety.

Do licha, uleganie impulsom opłacało się! Gdyby nie wziął tej rozpieszczonej pudelki, nie byłby teraz z Margaret Leigh w Siedzibie Piratów. Okazuje się, że życie pełne jest nieoczekiwanych przyjemności.

— Połóż mi głowę na ramieniu, kochanie. — Bawił się włosami Margaret, rozkoszując się ich jedwabistością. Przytulił ją do siebie. Była troszeczkę spięta, ale czuł się przy niej świetnie.

— Wiesz, dlaczego lubię to miejsce? — Musiał pochylić się bardzo blisko i mówić prosto do ucha, aby go słyszała. Dzięki temu czuł na policzku jej miękkie włosy i upajał się ich zapachem.

— Nie, powiedz mi.

Podniosła lekko głowę i wtedy uświadomił sobie bliskość jej ust. To zabawne, ale nigdy przedtem nie przyglądał się im tak uważnie. Były pełne i pięknie wykrojone. Soczyste. Wymuskana bibliotekarka miała soczyste usta. Namiętnie pieścił jej plecy, rozkoszując się miłym materiałem sukni i drzeniem ciała.

Gdy zobaczył ją dzisiaj w tej sukni, poczuł jak wzbiera w nim dawno utracona niewinność. Od czasów szkolnych nie widział tak elegancko ubranej dziewczyny. Teraz dominowała wygoda — przeważnie ubierano się w stare dżinsy, workowate swetry i trampki. A Margaret Leigh założyła dla niego suknię z niebieskiej tafty. Nie ukrywał, że sprawiło mu to przyjemność. Pochylił się tak, że ich usta prawie się spotkały.

— Wiesz, Margaret, potrafię w tłumie czuć się tak, jakbym był zupełnie sam. To taki szczególny rodzaj prywatności.

Jej oczy rozszerzyły się, a delikatny rumieniec wystąpił na policzki. „Pewnie boi się, że chcę ją pocałować” — pomyślał. Zrobiłby to chętnie, ale Margaret Leigh Jones była pod osłoną niewinności i sukni z niebieskiej tafty. Więc zdecydował, że będzie czekać. Miał mnóstwo czasu. Przecież to nie zawody. Pragnał zdobywać.

— Czasem używasz cudownych określeń — powiedziała.

— Co masz na myśli?

Jej uśmiech był nieśmiały i piękny.

— Porównałeś moją sukienkę do Świąt Bożego Narodzenia... to poetyckie.

Spojrzała na jego dzinsy, podkoszulek i skórzaną kurtkę. — Wygląda na to, że przesadnie się wystroiliam.

— Myślę, że człowiek nigdy nie jest ubrany przesadnie, o ile dobrze się w tym czuje. Margaret, wyglądasz czarująco.

— Hm... — przygryzła dolną wargę — ta sukienka sprawia, że jestem w nastroju do zabawy. Już dawno nie byłam tak młoda, lekka i swobodna...

— Odpreż się jeszcze bardziej. Ja nie gryzę. — Przytulił jej głowę do ramienia. — Pomasuję ci plecy. Tak lepiej?

— Wspaniale.

Wiedział, że Margaret kłamie. Była spięta od stóp do głów. Czuł się jak król, a zarazem jak łajdak. Jutro pójdzie na spacer do lasu i zastanowi się, co robić dalej. Nie przywykł do dwuznaczności w swoim życiu. Prostotę cenił najbardziej.

Tańczyli prawie godzinę. Orkiestra grała nastrojowe, jazzowe melodie — przytulania. Nic nie sprawiało większej radości, jak obecność Margaret, która była blisko, bardzo blisko...

Postanowili odpocząć. Margaret Leigh miała zroszoną potem twarz i oczy szeroko otwarte. Patrząc na nią przez mgiełkę niebieskiego dymu, poczuł przyływ animuszu.

— Co powiesz na piwo?

— To brzmi obiecująco.

— Zaraz przyniosę. Poczekaj tutaj.

— A dokąd miałabym pójść?

Obserwował ją, przesuwając się pomału przez tłum w kierunku baru. Gdy był w połowie drogi, zobaczył Hootera zmierzającego w stronę Margaret Leigh. Przez moment zawahał się, czy nie wrócić do stolika. W końcu zdecydował się iść po piwo. Nie chciał jej obrazić. Mogłaby sądzić, że nie ma do niej zaufania.

Szybko zamówił i odwrócił się, aby widzieć Hootera. Nie był to groźny rywal, miał swój sposób strzelania oczami, kiedy podrywał kobiety.

Hooter stał blisko Margaret Leigh, zbyt blisko według Andrew, i zaśmiewał się, odchylając w tył głowę. Na pewno opowiadał głupie żarty, z których zazwyczaj śmiał się sam. A może Margaret Leigh powiedziała coś dowcipnego? Naraz Hooter pochylił się i zasłonił sobą stolik.

Po raz pierwszy w życiu Andrew zniecierpliwiał się.

— Co z tym piwem?

— Proszę!

Rzucił pieniądze barmanowi i chwycił dwie lodowate szklanki, wylewając nieco bursztynowego płynu na drewniany blat. Margaret Leigh siedziała spokojnie przy stoliku, a Hooter właśnie wycofywał się.

— Miałaś towarzystwo w czasie mojej nieobecności. — Andrew z impetem postawił szklanki na stoliku.

— Tak, pana Hootera.

— Pana! — Zaśmiał się Andrew. Pociągnęła dwa łyki, krzywiąc się nieco.

— No więc... — Andrew zawiesił głos — nie zamierzasz powiedzieć mi, czego chciał Hooter?

— Chciał ze mną zatańczyć.

— Więc dlaczego odszedł w takim pośpiechu?

— Chyba dlatego, że mu odmówiłam. Przyszłam tutaj z tobą. A swoją drogą, ciekawa jestem, co byś zrobił, gdybym postąpiła inaczej. — Spojrzała na niego szczerze. — Czy myślisz, że kłamstwo to grzech, Andrew?

Długo zastanawiał się nad odpowiedzią. Gdyby to był docinek, odpowiedź mogłaby być w tym samym stylu, ale jej pytanie było zupełnie szczerze.

— Myślę, że to zależy od okoliczności. Wydaje mi się, że czasem kłamstwo w dobrej wierze, jest lepsze niż prawda.

Uśmiechnęła się.

— Myślę, że jesteś dobrym człowiekiem, Andrew McGill.

— Przrzeknij, że nikomu o tym nie powiesz.

— Zamierzałam porzlepiać tę wiadomość na wszystkich książkach w bibliotece.

Sącyli piwo, śmiali się, rozmawiali o błahych sprawach, skrycie przypatrując się sobie nawzajem. On myślał, że Margaret jest niezwykłą kobietą, a ona, że Andrew jest skomplikowanym mężczyzną. On zachwycił się jej niewinnością, a ona jego szczerym usposobieniem. On myślał, jaka byłaby piękna, gdyby rozpuściła włosy, odprężyła się i uśmiechała częściej, a ona gotowa była uznać go za świetną partię, gdyby tylko spróbował do czegoś dojść w życiu.

W trakcie dyskusji o filmie pochylił się i ujął jej rękę.

— Margaret Leigh, co było kłamstwem? Nie chcesz być kobietą jednego mężczyzny, nie chcesz być moja?

— Nie wiem — powiedziała.

— No, cóż... — Nie był w stanie określić prawdy. — Różnymi się bardzo, ale nasze życie mogłoby być bardzo interesujące, nie uważasz?

— Nie wiem, co o tym myśleć.

Orkiestra zagrała powolną melodię. Andrew znów poprosił Margaret Leigh do tańca. Tańczyli i byli zaskoczeni tym, jak bardzo to lubią. Tymczasem nadeszła północ i zaskoczyła ich oboje.

Gdy Margaret Leigh spojrzała w górę na duży, neonowy zegar, nie mogła uwierzyć.

— O Boże, jak późno! Andrew zerknął na zegarek.

— Północ jest gwoździem wieczoru, ale przyszła zbyt szybko.

— Muszę iść do domu.

— Pojedziemy razem. Zapewniam cię, że mój samochód nie zmienił się w dynię.

— Nie lubię zostawiać ciotki Berthy bez opieki. Jest stara i ma problemy ze zdrowiem.

Po raz pierwszy opuścił Siedzibę Piratów o drugiej nad ranem. Gdy wychodził z Margaret Leigh, Hooter i James wykrzykiwali coś, czego nie rozumiał. Na pewno były to słowa nieodpowiednie dla uszu damy.

Pomógł Margaret Leigh przy wchodzeniu do samochodu. Usiadł za kierownicą i ruszył ku Allen Street. Myślał, że w drodze powrotnej będzie bardziej odprężona, ale niestety tak nie było. Wkrótce domyślił się, dlaczego. Spodziewała się, że to on zrobi pierwszy krok.

Cichutko zagwizdał. Chciał ją pocałować, to było pewne od momentu, gdy zachwycił się jej soczystymi ustami. Ze zdziwieniem odkrył także, że pragnie czegoś więcej. Trzymając ją blisko siebie w tańcu, czuł się jak po zażyciu potężnej dawki afrodyzjaku. „Działaj ostrożnie — ostrzegaj sam siebie — ona jest niedoświadczona w tych sprawach.”

Zaparkował samochód w cieniu starego dębu i odprowadził ją do drzwi, obejmując lekko jej kibić. Czuł drżenie jej ciała, gdy wchodzili na schody. To ożywiło jego nadzieję. Czuł już prawie ustami dotyk jej ust, z początku nieśmiały, później żarliwych, rozbudzonych ogniem namiętności.

U drzwi frontowych obrócił ją lekko ku sobie. Światło werandy ujawniło blask jej kasztanowych włosów i przestach w oczach.

Nie spodziewał się strachu. To go zaskoczyło.

— Dziękuję ci za uroczy wieczór — szepnęła.

Przygryzła drżącą wargę, a on już wiedział, że nie może tego zrobić tak, jak zaplanował.

— To ja ci dziękuję, Margaret Leigh. — Cofnął się o krok z poczuciem ofiary, jaką ponosi. Gdy pochylił się nad jej dłonią i dotknął ustami, poczuł zapach. To była jakaś niedzisiejsza woń, mieszanina róż i bzów, które rosły wokół letniego domku jego babki. Trwało to moment. Zaraz wyprostował się i puścił rękę.

— Cała przyjemność po mojej stronie. Byłaś najładniejszą dziewczyną na tańcach.

— Żartujesz.

— Nie, to prawda. — Skrzywił się w uśmiechu i skłonił elegancko. — Dobranoc, ślicznotko.

Opuścił werandę pogwizdując. Był niezmiernie dumny z siebie. Czuł się jak wysłannik tajnej misji, naukowiec rozpracowujący sekretną formułę, Pigmalion tchnący życie w posąg. Lecz Margaret Leigh nie była kamiennym posągiem. Była z krwi i kości, z róż i bzu. Miała skórę jak chińska porcelana i nieśmiałe spojrzenie. Była jego największym odkryciem.

Wsiadł do samochodu i pojechał do domu, do swoich psów.

Margaret Leigh cichutko weszła do środka i oparła się o drzwi. Z zewnątrz dochodził hałas silnika. Przyłożyła rękę do piersi. Czuła się tak, jak ten stary, rozregulowany silnik. Bała się, i on o tym wiedział.

„Pewnie myśli, że jestem najgłupszą kobietą chodzącą po ziemi. Boże, co za chaos.” — Zamknęła oczy, lecz nie pomogło to ani trochę. Ciągle widziała Andrew, postawnego, przystojnego i męskiego, patrzącego na nią tak, jakby miał zamiar zjeść ją na śniadanie. Prawdopodobnie mógł mieć każdą kobietę, której zapragnął. Dlaczego, do diabła, miałyby sądzić, że chciałby ją włączyć do swojej diety?

Doświadczenie. To było jeszcze w szkole średniej, gdy zdecydowała się na eksperyment. Buntując się przeciw wychowawczym metodom Berthy, postanowiła zlekceważyć wszystkie ostrzeżenia ciotki i odkryć tajemnicę na własny użytek. Działo się to wieczorem, w święta Halloween. Nieznajomy chłopak, z którym miała się spotkać, był wysoki i przystojny. To była randka zaaranżowana przez Barb, najpiękniejsza dziewczynę w szkole.

Wyprowadził ją z zabawy i zaprosił do samochodu. Nie kosztowało go to dużo wysiłku. Była przerażona, ale pragnęła mieć to już za sobą. Pamięta tylko jego ręce, niezgrabne, spocone i zachłanne. Nie wytrzymała. Zaczęła walczyć, broniąc się łokciami, kolanami i paznokciami. Chłopak był wystarczająco mądry, aby w porę zrezygnować. Zawiózł ją do domu, w podartych pończochach, nietkniętą.

Nigdy nie próbowała eksperymentować ponownie. Nie miała na to czasu. Jej ojciec, całe życie chory na cukrzycę, został inwalidą, gdy kończyła szkołę. Opiekowała się nim aż do śmierci. Ofiarowała mu dwa lata. Mieszkali razem w starym, rodzinnym domu. Dzielili czas między pracę w bibliotece i opiekę nad ojcem. Nigdy nie żałowała tego. Aż do dzisiejszego wieczora. Na myśl o czułych, opiekuńczych ramionach Andrew McGilla poczuła tęsknotę. Dlaczego nie potrafi całować tak naturalnie, jak się oddycha? Chciała być kobietą pociągającą, swobodnie zachowującą się w męskich ramionach.

— Ciociu Bertho — wyszeptała — co ty ze mną zrobiłaś? Dlaczego tak mnie wychowałaś?

Ściągnęła buty i cichutko, na palcach wspinała się po schodach do swej sypialni na poddaszu.

— Dzień dobry, ciociu Bertho.

Bertha poderwała się i z hałasem zatrzasnęła notatnik.

— O Boże, dziecko, przestraszyłaś mnie śmiertelnie. Co ty robisz tak wcześniej?

Odgarniając rzadkie włosy z twarzy, spojrzała na Margaret Leigh stojącą w drzwiach i zauważyła na jej policzkach rumieńce, żywsze niż kiedykolwiek. Poczowała ucisk strachu w żołądku.

— Nie jest tak wcześniej. Czas do kościoła. — Margaret Leigh spojrzała uważnie na ciotkę. — Wyglądasz mizernie. Żle spałaś?

— Nie mogłam zasnąć. Martwiłam się.

Znajdowały się w pokoju na parterze, który był sypialnią ciotki w czasie jej odwiedzin. Margaret Leigh przysiadła na brzegu łóżka.

— Mam nadzieję, że jest ci ze mną dobrze. Mój dom jest twoim domem, tak długo, jak tylko zechcesz.

— Nie chciałabym narzucać się tobie i Tess.

— To nie jest narzucanie się. Byłaś dla nas jak matka. Chcemy się tobą opiekować. Zaslugujesz na to.

— Nie wszyscy w rodzinie zgodziliby się z tobą.

— Kto na przykład?

— Grace.

Na wspomnienie młodszej siostry matki, Margaret Leigh zmarszczyła nos. Były trzy siostry Adams — Bertha, najstarsza, i sądząc ze starych fotografii najładniejsza, Margaret, jedyna, która wyszła za mąż i Grace, beniaminek, o budowie niedźwiedzia grizzly i trudnym charakterze. Śmierć subtelnej Margaret Adams Jones była tragicznym zrzędzeniem losu. Margaret Leigh była wdzięczna Bogu, że przynajmniej Bercie, a nie

Grace, pozostawiono opiekę nad dziećmi. Bertha była surowa, zbyt surowa, jak zawsze mawiała Tess, ale ciotka Grace była nie do zniesienia. Uważała, że jest najmądrzejsza. Wydawała dyspozycje całej rodzinie. Ciotka Bertha powiedziała kiedyś, że gdyby Grace nie bała się potępienia piekielnego, radziłaby Bogu, jak rządzić światem.

— Nie zwracaj uwagi na ciotkę Grace.

— Ona twierdzi, że powinnam mieć własne mieszkanie i zostawić was w spokoju.

Margaret Leigh poczuła się winna. Czasem myślała tak samo. Przeszła przez pokój i otoczyła ciotkę ramieniem.

— Natychmiast przestań o tym myśleć. Będę się o ciebie troszczyć. — Łagodnie pogłaskała jej siwe włosy. To było takie niepodobne do niej — ostatnio przestała dbać o fryzurę. — Nie chcę, żebyś martwiła się dłużej.

Oczy Berthy były wilgotne, gdy uniosła głowę.

— Myślę, że treser psów nic ci nie zrobił. Ledwie stłumiła złość. Ciotka Bertha zachowywała się tak, jakby Margaret i Tess miały ciągle po szesnaście lat, a nie ponad trzydzieści. To dlatego, że je kochała. I starzała się.

— Tańczyliśmy, ciociu Bertho. To wszystko.

— Wydaje mi się, że jest rozwyrzonym typem. Chyba nie powinnaś się z nim spotykać, kochanie.

— Nie martw się, ciociu Bertho. Jestem już dorosła i potrafię dbać o siebie.

— Jednak...

— Zresztą, wszystko na to wskazuje, że więcej się ze mną nie umówi. Myślę, że nie jestem w jego typie.

— Nie bądź przygnębiona z tego powodu, kochanie. — Bertha poklepała rękę Margaret Leigh. — Pewnego dnia pojawi się odpowiedni mężczyzna, prawdziwy dżentelmen. Bądź cierpliwa, a zobaczysz, że spełnią się twoje marzenia...

Margaret Leigh chciała powiedzieć, że jeśli poczeka jeszcze dłużej, to będzie tak stara, że przestanie jej na tym zależeć, ale milczała. Pocałowała ciotkę w czubek głowy i poszła do kuchni przygotować śniadanie.

Tej niedzieli Margaret Leigh robiła to co zwykle. Poszła do kościoła, a potem zabrała ciotkę na lunch. Po południu, w ramach zajęć szkółki niedzielnej, odwiedzała chorych w Traceway Manor. Po powrocie do domu wstawiła pieczeń do piekarnika i pomyślała o kolacji. Rozsiadła się na sofie z gazetą.

Lecz nie czuła się zwyczajnie. Momentami brakowało jej tchu. Policzki jej pałały. Wiedziała, co się z nią dzieje. Andrew McGill — to on sprawił, że poczuła się młodą, atrakcyjną, ponętną kobietą. Była bardzo bliska zadurzenia.

Odłożyła gazetę i zapatrzyła się w przestrzeń. Co on teraz robi? Czy myśli o zeszłej nocy? Czy pamięta, jak stał na parkiecie przytulony do niej tak mocno, że trudno było powiedzieć, gdzie jedno ciało się kończy, a drugie zaczyna?

— Nie bądź głupia, Margaret Leigh.

Dźwięk własnego głosu otrzeźwił ją. Gdyby nawet, jakimś cudem znów się z nią umówił, co miałyby robić z takim mężczyzną jak on, żyjącym w lesie z psami myśliwskimi? Każdy w jej rodzinie starał się kimś być. W rodzinie matki był nawet gubernator. Miała większe ambicje.

Otworzyła gazetę i postanowiła porzucić niemądre tęsknoty. Zaczęła przeglądać rubrykę kulturalną — zatrzymała się przy recenzjach książek. Nagle uświadomiła sobie, że jednak nie zamierza spędzić reszty popołudnia z gazetą w ręku. Choć raz w życiu musi zdobyć się na odwagę.

Jak w transie szła na górę. Poprawiła makijaż i rozejrzała się za torebką. W ostatniej chwili wyjęła spinki z koka i rozczesała włosy. Zwisaly ciężkie i jedwabiste wokół policzków, a ona czuła się młoda aż do zawrotu głowy. Chwyciła płaszcz, torebkę i zeszła na dół.

Bertha siedziała przy oknie w sypialni. Miała na głowie kapelusz, którego zapomniała zdjąć. Margaret Leigh szybko przeszła przez pokój i objęła ją ramieniem.

— Ciociu Bertho, co robisz?

— Obserwuję ptaki.

Margaret Leigh już miała coś powiedzieć na temat kapelusza, ale zrezygnowała. Zdjęła go z głowy ciotki i delikatnie przyglądała jej włosy.

— Jest piękne popołudnie.

Ciotka Bertha wolno odwróciła się od okna. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyła były włosy Margaret Leigh, następną — torebka.

— Czy gdzieś idziesz, kochanie?

Po raz pierwszy w życiu Margaret Leigh skłamała. Natychmiast wytłumaczyła sobie, że robi to po to, żeby zaoszczędzić jej niepotrzebnych zmartwień.

— Po prostu idę coś załatwić. Czy mogłabyś zwrócić uwagę na pieczeń.

— Oczywiście. — Bertha schwyciła jej rękę. — Bądź ostrożna.

Margaret Leigh udała, że nie rozumie ostrzeżenia.

— Zawsze prowadzę ostrożnie.

Słońce prawie zachodziło, gdy dotarła do Boguefala Bortom. Zaparkowała samochód przy czerwonej półciężarówce Andrew i wspięła się na schodki domu. Pukała nieśmiało, później coraz mocniej. Przy czwartej próbie pomyślała, że nikogo nie ma w domu. Zaczęła schodzić ze schodów.

— Nie odchodź!

Na dźwięk jego głosu odwróciła się gwałtownie. Andrew stał w drzwiach nagi do pasa, w obcisłych dżinsach i z gitarą w ręku. Nie mogła oderwać wzroku od jego piersi; zafascynowana, badała każdy szczegół z uwagą, na jaką zasługiwałby jakiś rzadki obiekt muzealny. Zachodzące słońce igrało w jego złotych włosach.

— Chciałabyś się poczęstować, Margaret Leigh? Gwałtownie wyprostowała głowę.

— Co, proszę?

Przeszedł przez werandę, ujął jej rękę i poprowadził . do drzwi.

— Uwielbiam, gdy kobieta patrzy na mnie w ten sposób. — Pociągnął ją do środka, kopniakiem zamykając za sobą drzwi. — Nic tak nie ożywia niedzielnego ; wieczoru jak kobieta, która chce mnie mieć na kolację.

Rozdział czwarty

Andrew był zachwycony obrotem sprawy.

Całą niedzielę gratulował sobie rozwagi. Nie miał doświadczenia w uwodzeniu tego typu kobiet, ale sądził, że trzeba to robić powoli. I oto ona była tu, w jego domu w Boguefala Bottom, z tym szczególnym wyrazem w oczach, który znał tak dobrze. To było spojrzenie kobiety pragnącej mężczyzny.

— Cóż za przyjemna niespodzianka. Usiądź, Margaret Leigh. — Puścił jej rękę, a ona podeszła do bujanego fotela. — Nie, nie tam. Siądź tu, na tapczanie, przy mnie. Tak będzie bardziej po przyjacielsku.

Oparła się o fotel, jak żeglarz dotknięty chorobą morską chwytający się łodzi ratunkowej.

— Nie po to tu jestem — zaczerpnęła głęboko powietrza — żeby cię mieć na kolację.

— Szkoda. Spodobałoby ci się to.

— Czy to miejsce sprawia, że jesteś taki grubiański?— Rumieniec oblał jej policzki, a gniew rozblęsnął w oczach. — Ostatniej nocy byłeś dżentelmenem w każdym calu. Już myślałam, że się zmieniłeś.

— Zmieniłem się? — Andrew był zdziwiony.

Całą duszą pragnął, aby czuła się dobrze, a ona zachowywała się tak, jakby popełnił przestępstwo. Może nie było na to rady. Właśnie teraz odgrodziła się od niego tak grubą warstwą lodu, że trzeba by chyba użyć lampy lutowniczej, aby go roztopić. Ale on miał na to sposób. Celowo usadowił się tak, żeby widziała jego opalony tors.

— Po co zwracać sobie tym głowę.

— Kim jesteś Andrew McGill, jak myślisz? Darem niebios dla kobiet?

— Tak. — Rozmyślnie ją prowokował.

— Otóż nie jesteś nim. Jesteś zwykłym... — Przyłożyła ręce do palających policzków, a w chwili potem zagłębiła się znów w bujanym fotelu. — Skończmy ten temat, przyszłam zobaczyć psa, to wszystko.

Andrew pożałował swoich słów. Nie była abstrakcją, ale nieśmiałą, bezbronną kobietą, która najwidoczniej złamała wszystkie surowe zasady, przychodząc do niego. A on zachowywał się jak arogancki osioł, traktując ją jak obiekt pożądania.

Szybko wstał, przeszedł przez pokój i ukucnął przy niej, zanim mogła wyrwać się i uciec.

— Przepraszam, Margaret Leigh. Spójrz na mnie. — Uniósł ku sobie jej twarz i odgarnął włosy do tyłu. — Rozpuściłaś włosy.

Przytaknęła, nie odrywając oczu od jego twarzy.

— To mi się podoba.

— Dziękuję.

Dama w każdym calu. Odkrył w sobie niewyczerpane źródło opiekuńczości.

— Nie odejdziesz, zanim cię nie przeproszę, prawda?

— Już to zrobiłeś. — Uśmiechnęła się nieśmiało.

— Nie, jeszcze nie. Przyjechałaś zobaczyć psa, a ja wywnioskowałem, że chodzi ci o mnie, o moje opalone ciało.

— Jest rzeczywiście pięknie opalone. — Ogarnęła spojrzeniem brązową pierś i zarumieniła się.

— Dziękuję.

Nikt nigdy nie rumienił się na widok jego piersi. To sprawiło, że poczuł się lepiej. Przysiadł na pietach i uśmiechnął się przepraszająco, aby udowodnić, że dobre wychowanie nie znikło zupełnie z życia mężczyzn Południa. Musiał odpokutować. Koniecznie trzeba ratować honor.

— Siedziałem tu, grając na gitarze. Towarzyszyły mi jedynie psy. Nagle ty przekroczyłaś próg mojego domu. Przez moment straciłem głowę. Po prostu jesteś prawdziwą damą, która nigdy nie przyszłaby do domu mężczyzny w innym celu jak z sąsiedzka wizytą.

Margaret Leigh czuła, że Andrew robi wszystko, aby się nie gniewała. Jej serce zmiękło. Był dla niej zagadką, niegodziwie niewinnym facetem, który doprowadzał ją do szaleństwa, drażnił i intrygował, jak żaden inny mężczyzna. I w dodatku brał całą winę na siebie. Nie mogła do tego dopuścić.

— Właściwie nie przyszłam wyłącznie zobaczyć się z Christine.

— Nie? — Jego uśmiech był nagrodą.

— Przyszłam także, aby zobaczyć się z tobą. Myślałam nawet o zaproszeniu cię na rodzinny obiad.

— I ciągle o tym myślisz?

— Od czasu do czasu.

— Jak znów pomyślisz, zaproś mnie.

— Dobrze.

Tak bardzo pragnęła zdobyć się na odwagę, ale nie mogła. Zamiast tego oparła się o fotel. Zrozumiał jej sygnał i wstał. Wracając do tapczanu, podniósł gitarę.

— Jeżeli zostaniesz jeszcze chwilę, zagram piosenkę dla ciebie. — Zaczął stroić instrument. — Co lubisz? Blues? Jazz? Klasykę?

— Muzykę klasyczną. Potrafisz?

— Postaram się.

Zagrał piękną sonatę e-moll Scarlattiego. Margaret Leigh była oczarowana. Gdy przebrzmiał ostami akord, patrzyła na niego wytrzeszczonymi ze zdumienia oczami.

— To najpiękniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałam. — Po chwili dopiero wyszeptwała.

— Też coś! — Andrew udawał skromnego, ale wiedziała, że jest zadowolony.

— Mógłbyś występować na scenie. Mógłbyś nagrywać. Mógłbyś to wszystko zostawić. — Jej ramię zatoczyło szeroki krąg obejmujący dom ze zwykłą, drewnianą podłogą i skromnymi zasłonami z perkalu.

— Dlaczego miałbym to wszystko zostawić?

— Mógłbyś naprawdę być kimś, Andrew.

— Uważam się za skończony produkt. Nie mam zamiaru zmieniać się. Dla nikogo!

Twardy, chłodny ton jego głosu powstrzymał Margaret. Spojrzała na niego. Gdzieś się podział szczęśliwy wyraz twarzy małego chłopca. Nie było w niej niczego, co mogło cieszyć.

— Przepraszam, myślę, że mnie poniosło. — Wstała. — Pozwolisz mi zobaczyć się z Christine? Pójdę już.

W pierwszej chwili poczuł ulgę. Lepiej niech idzie. Lubił odmianę, ale nie komplikacje. A ona stanowczo komplikowała mu życie. Jednak był dżentelmenem. Nie chciał dopuścić, aby rozstali się w złej atmosferze.

— Nie idź. — Andrew zbliżył się do fotela. — Nie odchodź w ten sposób.

— Dlaczego miałabym zostać?

— Może z powodu mojego czaru? — Uśmiechnął się.

Odwzajemniła uśmiech.

— Nie powinnam tego wszystkiego mówić. Myślę, że to sprawa mojego wychowania. Pochodzę z rodziny, która ceni sukces. — Zaciśnęła ręce. — Zresztą twój styl życia, to nie moja sprawa. Jeśli chcesz, mieszkać w lesie z psami.

Znieruchomiał, potem zamrugał oczami. Margaret spojrzała w jego oczy, były lodowato-niebieskie. Poczowała ucisk w piersi. I lekkość w głowie.

— Przyniosę ci psa. — Andrew odwrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju. Wiedział, kiedy wyjść.

Stała w jego pokoju, robiąc sobie wymówki. Zegar na ścianie tykał głośno w rytm przyspieszonych uderzeń serca. Rozejrzała się po skromnym wnętrzu. Posiadało pewien surowy wdzięk, tak jak jego właściciel. Tapczan był stary, lecz w dobrym stanie. Bujany fotel — sponiewierany, a stoły proste i mocne. Prostota tego pomieszczenia świadczyła o tym, że gospodarz nie dbał zbyt o gromadzenie dóbr materialnych.

Dlaczego tu przyszła? Czyżby wyobrażała sobie Bóg wie co po jednej randce? Co ją podkusiło, żeby robić uwagę o braku ambicji? To prawda, że Andrew nie pasowałby do jej ambitnej rodziny, ale on najwidoczniej nie aspirował do roli męża. Najlepiej będzie, jeśli zobaczy Christine i szybko odejdzie, zanim zrobi z siebie kompletną idiotkę.

Andrew wrócił, niosąc śpiącą Christine. Wręczył pudelka Margaret Leigh, unikając fizycznego kontaktu.

Przytulając pieska do policzka, Margaret Leigh obróciła się nieco, tracąc Andrew z oczu. Czuła jednak, że ją obserwuje. Poczowała dreszcze na szyi. Zapragnęła jak najszybciej zakończyć wizytę.

— Do widzenia, Christine. Sprawuj się dobrze. — Pocałowała pieska w nos i podała go Andrew. — Do widzenia.

— Czy zamierzasz ucałować także mój nos? — Słowa były zaczepne, ale głos chłodny.

Przygryzła dolną wargę. Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Wybrała bezpieczny sposób — pomachała ręką i szybko wyszła.

Stojąc w oknie, Andrew obserwował samochód znikający w ciemności. Christine kręciła się niespokojnie na jego ręku.

— Zanim się pokłóciliśmy, prawie zaprosiła mnie na obiad. — Podrapał brzusek pieska. — Wiesz, czego mi potrzeba? Małej zachęty.

Umieścił Christine na sofie, podniósł słuchawkę telefonu i wykręcił numer. Po trzykrotnym sygnale usłyszał głos brata.

— Rick, czy możesz coś dla mnie zrobić?

— Mów głośniej! Chłopcy hałasują gorzej niż twoje psy.

Andrew słyszał wrzaski trojaczków bawiących się bez wątpienia w kowbojów i Indian. Może nawet skalpowali się nawzajem gumowymi nożami? Zachichotał. Chłopcy Ricka to diabły wcielone.

— Słuchaj, w Tupelo ma się odbyć rodzinny zjazd. Może to być rodzina Jonesów lub Adamsów. Dowiedz się kiedy i gdzie.

— Nie muszę być detektywem, aby udzielić ci informacji. Każdy o tym wie. Nawet gubernator Ben Adams przyjeżdża jutro do miasta na zjazd Centrum Bel Air jutro o siódmej.

— Takie wieści zawsze docierają do Boguefala Bottom z opóźnieniem.

— Czy masz jakiś specjalny powód, aby to wiedzieć?

— Tak. Muszę udowodnić coś znajomej damie.

Gdy w poniedziałkowy wieczór, o siódmej piętnaście, Andrew wszedł do Centrum Bel Air, pierwszą osobą, jaką zobaczył, była Margaret Leigh. Właśnie rozmawiała z gubernatorem Adamsem i jego śliczną żoną. Andrew znał Kate Adams ze zdjęć w prasie. Jako burmistrzynie Saltillo znana była z manipulacji politycznych. Ale to nie sławni politycy zwrócili jego uwagę.

Margaret Leigh ubrana była w miękką, czerwoną, wełnianą suknię i miała rozpuszczone włosy. Z satysfakcją pomyślał, że to jego wpływ.

Szybko przedostał się przez tłum. Stała do niego tyłem, ciągle rozmawiając z gubernatorem.

— Witaj, ślicznotko.

Odwróciła się gwałtownie. Była zdumiona.

— Andrew, skąd się tu wzięłeś?

— Przyjąłem twoje zaproszenie. — Przystąpił do grona rozmawiających, potrząsnął ręką Bena Adamsa w geście powitania. — Witam, gubernatorze Adams. Andrew McGill. Ma pan miłą rodzinę.

— Tak mi się wydaje. — Ben dotknął łokcia Kate. — Czy zna pan moją żonę?

Margaret Leigh czuła się tak, jakby cyrk, wyposażony w szesnaście tygrysów i wielką orkiestrę, wmaszerował w sam środek rodzinnego przyjęcia Adamsów. Jeden z tygrysów miał ją w swojej mocy. Była świadoma obecności Andrew, ciężaru jego ramienia, zapachu igieł sosnowych i słońca, jakie niósł ze sobą. Nie docierały do niej słowa. Wiedziała tylko, że czaruje Bena i Kate Adamsów.

— A więc w twojej rodzinie jest gubernator? Ocknęła się z transu i zauważyła, że Ben i Kate odeszli.

— Tak, jest moim kuzynem. Mają troje dzieci — Jane, z jej pierwszego małżeństwa, Bena Jr. i Betsy. — Wiedziała, że papple, ale nic na to nie mogła poradzić. — Jane jest teraz w Szkole Prawa Vanderbilta.

— Przedstaw mnie, Margaret Leigh. Chcę poznać wszystkich ludzi sukcesu w twojej rodzinie.

— Ciągłe gniewasz się o to, co powiedziałam wczoraj?

— Ja się nigdy nie gniewam, Margaret Leigh. Po prostu rewanżuję się.

— Skąd wiedziałeś, gdzie mnie znaleźć?

—Jasnowidzenie. Mam wbudowany radar, który cię śledzi i prowadzi moje serce do twojego. — Położył dłoń na jej sukni akurat nad sercem. Czuł, jak mocno bije.

— Weź rękę.

— Dlaczego? — Uśmiechnął się łobuzersko.

— Wszyscy patrzą.

— Więc powinniśmy zrobić coś, na co można patrzeć z przyjemnością.

Schylił się i pocałował ją w obecności Boga i całej rodziny Adamsów, delikatnie i pieszczotliwie. Zaczęła upajać się tym pocałunkiem. Zapomniała, gdzie się znajduje.

Dwaj dalecy kuzyni zaczęli bić brawo. Reszta rodziny rozmawiała.

Margaret Leigh przyłożyła do ust drżącą dłoń.

— Co ty wyprawiasz? Chcesz wywołać rodzinny skandal?

— Moja rodzina nie uważa całowania za coś skandalicznego. Pochodzę z rodziny ceniącej ciepło, radość, spontaniczność i szczęście.

— Czy musiałeś czekać do dzisiejszego wieczora, aby mi to powiedzieć? Dlaczego nie zrobiłeś tego wczoraj?

— Chciałem to zrobić przy świadkach. Zemsta bez świadków nie daje satysfakcji.

— Chcesz zmusić mnie do przekleństw, Andrew McGill.

— Zaczynaj, Margaret Leigh. Myślę, że nie zgorszysz nikogo.

— Do diabła!

— Brawo. Oto początek.

Podniosła dumnie głowę i spojrzała mu prosto w oczy.

— Uważam się za skończony produkt. Nie potrzebuję, żebyś mnie zmieniał.

Patrzyli na siebie przez moment.

— To moja wina. — Jego oczy zmarszczyły się od śmiechu. — Myślę, że oboje jesteśmy winni. Od chwili, gdy cię zobaczyłem, próbuję cię zmienić.

— Przynajmniej jesteś szczerzy.

— Ty też. Oprócz tego jesteś dzielna. Nie każda kobieta może oprzeć się urokowi McGilla.

— Myślę, że nie jestem podobna do kobiet, które znałeś.

Obserwował ją przez dłuższy czas. Zauważył dumny zarys podbródka i zdecydowane spojrzenie. Czuł, że jest szczerą, bezpretensjonalną i dobrą.

— Z pewnością nie, Margaret Leigh. Myślę, że jesteś niezwykła.

— Żaden mężczyzna mi tego nigdy przedtem nie powiedział.

— Cieszę się, że jestem tym pierwszym. Zarumieniła się. Poglądził dłonią jej policzek i dotknął ust.

— Mam to, po co przyszedłem. Ktokolwiek powiedział, że zemsta jest słodka, miał rację. Jest bardzo słodka! — Cofnął się. — Myślę, że pójde już, chyba że chcesz, abym został.

— Zostań, Andrew.

— To wspaniale, Margaret Leigh. Cieszę się.

Podczas obiadu Margaret Leigh obserwowała Andrew. Tuż obok ciotka Bertha uśmiechała się sztucznie, a ciotka Grace chichotała. Andrew był dowcipny kiedy chciał, lub poważny, gdy zachodziła potrzeba. Zachowanie jego było czymś więcej, niż tylko dzielną obroną przed atakami dalekich kuzynów Margaret Leigh, wyróżniających się na polu medycyny, prawa i edukacji. Był inteligentny, czytany, błyskotliwy.

Ze wstydem wspomniała, w jakich kategoriach myślała o nim poprzedniego dnia. Proste życie nie oznaczało prostego umysłu.

Wkrótce po posiłku wyszedł. Margaret Leigh odprowadziła go do szklanych drzwi Centrum.

— Cieszę się, że przyszedłeś, Andrew. Nie lubię nieporozumień...

— Ani ja. — Wyciągnął ręce i delikatnie pogładził ją po policzku. — Uważaj na siebie, moja śliczna.

Stała w drzwiach, obserwując go. Był tylko wielkim cieniem w ciemności, a jednak patrzyła. Potem odwróciła się wolno i skierowała do toalety, zastanawiając się, czy go kiedykolwiek jeszcze zobaczy. Oczywiście, spotka się z nim, gdy będzie odbierać Christine, ale to co innego. Czy zaprosi ją znów na tańce? Czy znów przyjdzie do niej z oczami jak niebieskie diamenty i dotykiem jak płomień?

Raczej nie. Różnili się pod każdym względem. Zranili się nawzajem, a urazy są przeważnie trudne do uleczenia.

Wślizgnęła się do kabiny i zamknęła za sobą drzwi.

— Widziałas tego wspaniałego faceta? Margaret Leigh rozpoznała głos. To była jedna z jej kuzynek, Suelynn Adams Green. Największymi osiągnięciami w jej życiu było to, że urodziła się blondynką i dobrze wyszła za mąż. Jej mąż, Mack Green, był chirurgiem.

— Co taki mężczyzna może widzieć w tej myszce, Margaret Leigh?

Jej rozmówczynią była Glenny Adams, znana w rodzinie plotkara, uszczypliwa, złośliwa i zarozumiała, córka najlepszego adwokata karnego w stanie Missisipi.

Margaret Leigh stała spokojnie. Nie lubiła podsłuchiwać, ale pragnąc uniknąć kłopotliwej sytuacji, nie ujawniała się.

— Ona wcale nie jest podobna do Tess. Tamta to dopiero piękność.

— Moja droga, to ty nie znasz rodzinnego sekretu? — Glenny przerwała ostrym śmiechem. — One nie są siostrami.

Krew uderzyła do głowy Margaret Leigh, zagłuszając wszystko. Zrobiło jej się niedobrze, pochyliła się, ciężko oddychając. Zielonkawa ściana tańczyła jej przed oczami. Uklękła, chwytając się brzegów muszli klozetowej.

— Nie zemdleję — wyszeptała — nie zemdleję.

Usłyszała dźwięk spuszczonej wody, stukot wysokich obcasów, a potem trzaśnięcie drzwi.

Wstała, aby wyjść. One nie są siostrami. Słowa huczały jej w głowie, ciągle na nowo. Przycisnęła dłonie do uszu, aby tego nie słyszeć.

Nogi uginały się pod nią. Przysiadła na desce. One nie są siostrami. Te słowa wracały, rozdzierając jej serce, duszę, wolę. Skuliła się, z głową na kolanach tkwiła w szoku. Obawiała się każdego ruchu, jakby miał grozić katastrofą.

Czas przestał istnieć. Wydawało jej się, że unosi się w próżni.

— Margaret Leigh. — To była ciotka Bertha. — Margaret Leigh, kochanie, jesteś tutaj?

Nie miała siły, aby się poruszyć. Zamknęła oczy i próbowała odciąć się od wszelkich dźwięków.

— Grace powiedziała, że weszłaś tu pół godziny temu. — Ciotka Bertha uklękła i zajrzała pod kabinę. Zobaczyła buty siostrzenicy. — Wychodź, kochanie.

Margaret Leigh podniosła się wolno i otworzyła drzwi. Nie wiedziała nawet, czy ma prawo nazywać kobietę stojącą przed nią, ciotką.

— Dobry Boże! Jesteś biała jak prześcieradło, niedobrze ci?

— Tak. — Ujęła ciotkę za ramię, głównie dla dodania sobie otuchy. — Chodźmy do domu.

— Tylko wezmę torebkę.

Jechały do domu w milczeniu. W nikłym świetle tablicy rozdzielczej, wymizerowana i ściągnięta bólem twarz Margaret Leigh wyglądała na starszą, niż była naprawdę.

Margaret Leigh działała machinalnie. Przyzwyczajenie pomogło jej zaparkować samochód, wejść na schody werandy i otworzyć drzwi. Po omacku weszła do swego pokoju, zapaliła lampkę, znalazła krzesło.

Ciotka Bertha stanęła niezdecydowana w drzwiach. Na jej twarzy malował się niepokój i przestrasz.

— Może powinnaś iść do łóżka, kochanie?

— Musimy porozmawiać.

— Prawdopodobnie zjadłaś coś, co ci zaszkodziło. — Ciotka Bertha splotła dłonie.

— Nie, usłyszałam coś, co mi zaszkodziło. Margaret Leigh podniosła głowę i spojrzała na ciotkę ogromnymi oczami pełnymi wyrzutu.

— Czy Tess jest moją siostrą?

Ciotka Bertha zbladła. Jedną drżącą dłoń przycisnęła do serca, drugą chwyciła się futryny drzwi.

Margaret Leigh nie mogła się opanować. Poczowała ogarniający ją strach.

— Czy Tess jest moją siostrą? — powtórzyła. — Tak, czy nie? — Dźwięk własnego, chrapliwego głosu brzmiał jej w uszach. Odniosła wrażenie, że unosi się nad swoim ciałem i patrzy na własną, wzrastającą histerię. — Tak, czy nie?

— O, dobry Boże w niebiosach. Co ja takiego zrobiłam? — Ciotka Bertha schyliła głowę. Łzy, którym pozwoliła płynąć, były łzami winy, smutku, ale także ulgi, po latach dźwigania wielkiego ciężaru tajemnicy.

Rozdział piąty

Margaret Leigh podniosła się z krzesła jak lunatyczka. Schwyciła ciotkę za ramiona.

— Ciociu Bertho. Spójrz na mnie. Muszę wiedzieć. — Czuła, że ciotka drży. — Czy Tess jest moją siostrą?

Bertha podniosła ku niej załzawioną twarz.

— Nie. — Podeszła do sofy i usiadła.

Znając wreszcie prawdę, Margaret Leigh poczuła się silniejsza. Przemierzała pokój, naładowana gorączkową energią i pragnieniem zrozumienia sytuacji.

— Dlaczego trzymano to w sekrecie? Adopcja nie jest zbrodnią.

Ciotka Bertha znów skryła twarz w dłoniach i za-szlochała.

— Ciociu... — Margaret Leigh zatrzymała się przy sofie i zwróciła twarz ku ciotce. — Czy to ja byłam adoptowana? A może Tess?

— Nie. — Ciotka wolno podniosła głowę. Prawda wyszła na jaw. Teraz trzeba było tylko spróbować zrobić wszystko, żeby Margaret Leigh ją rozumiała. — To ty... jesteś nieślubnym dzieckiem urodzonym w sekrecie, oddanym mojej siostrze Margaret, aby cię wychowała jak własne dziecko... Ona cię kochała. Była dobrą matką. A ty miałaś dom.

Padaly kolejne słowa. Urodzona w sekrecie. Oddana Margaret. Poczucie strachu wzrastało, groziło uduszeniem.

— Dlaczego urodziłam się w tajemnicy, ciociu Bertho? Dlaczego byłam oddana?

— Musisz zrozumieć, Margaret Leigh. On był zonaty... Ciotka Bertha znów zaszlochała.

Margaret Leigh usiadła. Prawda wisiała w powietrzu jak brzydka szmata. Wszystko, w co wierzyła, roztrzaskało się u jej stóp. Wszystko, czym żyła, okazało się kłamstwem.

— Kto jest moją matką? Ciotka Bertha zapłakała głośniej.

— Ciociu... — Margaret Leigh uniosła się na sofie, ściskając kurczowo dłonie dla dodania sobie otuchy. — Kto jest moją matką?

Ciotka Bertha zadrzała. Gdy uniosła głowę, Margaret Leigh przeraziła się, jakby ujrzała śmierć.

— Ja.

To słowo wstrząsnęło Margaret Leigh do głębi. Ciotka Bertha, która złorzeczyła łajdakom i grzechowi, głosząca cnotę i dobro. Ciotka Bertha, która wychowała ją na starą pannę, nie była jej ciotką. Była jej matką.

Po szoku nastąpiła wściekłość. Margaret Leigh wyprostowała się jak żołnierz idący na bitwę i zdecydowanym krokiem wyszła z pokoju.

— Margaret — krzyknęła za nią Bertha — Dokąd idziesz?

— Grzeszyć!

— Poczekaj. Pozwól mi wytłumaczyć.

Margaret Leigh wypadła z domu, zbiegła po schodach i prawie na oślep trafiła do samochodu. Przekręciła kluczyk w stacyjce. Była bękartem Berthy Adams, poczętym w grzechu i urodzonym w tajemnicy. Nie potrzebowała żadnych wyjaśnień ani żadnych usprawiedliwień. Kłamstwa. Całe jej życie oparte było na kłamstwie. Nawet nie była Margaret Leigh Jones. Była jakąś tam Adams. I Bóg jeden wie, kim jeszcze.

Uruchomiła silnik i odjechała. Wydawało jej się nawet, że to nie był już jej dom. Wszystko wydawało się nierealne. Dokąd zaprowadziła ją cnota? Donikąd. Jaka matka, taka córka. Mogła równie dobrze uwieść całe to przeklęte miasteczko.

Zaciśnięte palce zbieleły na kierownicy. Zorientowała się, że wyjeżdża z miasta. Dokąd kobieta idzie grzeszyć? Przypuszczała, że większość kobiet zna przynajmniej tuzin miejsc, sposobów, mężczyzn. A ona знаła tylko jednego — Andrew McGilla.

W jego domu było ciemno. Nie dbała o to. Weszła po schodach i zapukała do drzwi, po czym, nie czekając na odpowiedź, zaczęła walić tak mocno, aż poraniła sobie palce.

Nagle drzwi otworzyły się. Stał w nich Andrew, boso, w obcisłych dżinsach, przyglądając dłonią potargane włosy.

— Margaret, co u diabła...?

Stała na frontowej werandzie, wytrzeszczając na niego zielonkawę oczy. Ujął ją za łokieć i delikatnie wprowadził do środka.

— Czy ktoś jest chory? Może twoja ciotka? Margaret Leigh wolno przymrużyła oczy i uśmiechnęła się.

— Moja ciotka? Moja ciotka! — Odrzuciła głowę do tyłu i zaśmiała się tak, że Andrew przeszły ciarki.

— Chodź tu, Margaret, usiądź. — Poprowadził ją do sofy, objął ramieniem i zmusił, aby usiadła. Cały czas masował jej ramię, starając się pocieszyć. — Gdzie twój płaszcz? Zapomniałaś płaszcz, kochanie?

— Nie. Nie zapomniałam niczego.

Oddychała płytko, patrząc gdzieś wysoko, jakby dostrzegając coś niedostępnego dla jego wzroku.

— Cieszę się, że przyszedł do mnie. — Kontynuował masaż, umiejętnie ugniatając sztywne mięśnie ramion i naprężonych pleców. — Umieć dobrze słuchać i całkiem nieźle pocieszać. — Milczenie. — Mam siostrę i brata, wiesz? Puck był zawsze niezależny, a Jo Beth była małą, wątlą blondyneczką z talentem do przysparzania sobie kłopotów. — Margaret Leigh wzdrygnęła się. Andrew ciągle mówił. — Pewnego razu poszła do sadu sąsiada i ukradła parę małych, zielonych jabłek. Jadła, aż się rozchorowała. Wtedy wziąłem winę na siebie. Poszedłem do starego Clifforda i przeprosiłem go za kradzież. — Margaret Leigh westchnęła cicho. Odprężyła się trochę. Andrew pieścił ją ciągle i mówił niskim, śpiewnym głosem jak muzyka. — Był starym skąpcem. Zawsze patrzył przez płot i groził, że się na nas poskarży. Oczywiście, Jo Beth i ja zasługiwaliśmy na to. Zawsze psociliśmy.

Margaret Leigh oparła głowę na ramieniu Andrew.

— Mów jeszcze.

— Teraz Jo Beth ma męża, jest nim lekarz z San Francisco, Colter Gray Wolf. Jest Apaczem, strasznym siłaczem i świetnie jeździ na koniu. Nie spotykamy się często, ale chyba przyjadą po narodzinach dzieci. Ona jest w ciąży. Lekarz twierdzi, że będą bliźniaki. Próbują dotrzymać kroku Rickowi i jego żonie, Marcie Ann. Im urodziły się trojaczki dwukrotnie — mają trzech chłopców i trzy dziewczynki. — Margaret przysunęła się bliżej, Andrew przytulił ją. — Teraz każdego dnia mogę zostać wujem. Zawsze wuj, nigdy ojciec.

— Możesz być ojcem.

— Co?

— Powiedziałaś, że możesz być ojcem. Dzięki mnie. Chcę mieć z tobą dziecko.

— Dobry Boże! O czym ty, do diabła, mówisz?

— Nie chcesz mnie? — Jej usta zadrżały.

Patrzył na nią badawczo spod przymrużonych powiek. Coś się działo, a on nie mógł zorientować się w sytuacji.

— O czym my tu rozmawiamy? O małżeństwie czy o seksie?

— O sek się.

Nie mrugnął nawet. Udał, że rozmowę wymuskanej panny Margaret Leigh Jones o seksie uważa za sprawę całkiem naturalną.

— Chcesz się kochać? — Nie poruszyła się. — Czy po to tu przyszedł, Margaret? Kochać się ze mną?

Wzięła głęboki oddech.

— To nie miłość. To pożądanie. — Pochyliła się. — Powiedz, że mnie pragniesz, Andrew.

— Pragnę cię.

— Więc weź mnie.

— Czy wiesz, czego żądasz?

— Nie chcę gwiazdki z nieba, tylko trochę staromodnego grzechu. ?

— Miłość to nie grzech.

— Tak, jak ja to widzę, jest.

Zaplotła mu ramiona na szyi, przyciągnęła jego głowę ku sobie, i nagle poczuł jej gorące, spragnione wargi. W ogromnym napięciu zdawał sobie sprawę, że nie powinien do tego dopuścić. Ale nie mógł już myśleć racjonalnie.

Była niedoświadczona, to było widać. Ale była bardzo chętna do nauki. Nie, to było coś więcej niż ochota. To była desperacja.

Przycisnął ją mocno do siebie, całując głęboko, długo, intensywnie, robiąc to, czego pragnął od czasu nocy spędzonej na parkiecie. Była miękka i uległa w jego ramionach, aż nazbyt uległa.

Przytulając ją mocno, czuł, że drży. Uspokajał ją rękami i ustami, starał się uleczyć dotykiem, pocieszyć pocałunkiem.

Nie miał zamiaru brać jej do łóżka. Przynajmniej nie teraz. Może nigdy. Nie dlatego, żeby nie była godna pożądania, albo żeby jej nie pragnął. Lecz żył według pewnego kodeksu honorowego — kiedy obcował z kobietą, robił to z miłości, nie z żądy. Nie oznaczało to, że był związany na śmierć i życie z każdą kobietą, którą brał do łóżka. Ale czuł pewien rodzaj miłości, nieodpartą jej potrzebę.

Margaret Leigh ponownie przywarła do jego ust. Była bardziej słodka niż myślał, z zapachem róż i bzów we włosach i smakiem miodu na ustach. Czuł, że zmierza ku granicy, bez odwrotu.

Oderwał usta i unióśł jej głowę ku sobie. Miała twarz mokrą od łez.

— Płaczesz. — Dotknął jej policzka tak delikatnie, jakby bał się ją skrzywdzić.

Próbowała się uśmiechnąć.

— Nieważne. Pocałuj mnie. Musnął ustami jej policzek.

— Nie tak. — Schwyciła go za ramiona, wbijając paznokcie w ciało.

Teraz dopiero spojrzął na jej dłonie.

— O, Boże. Ty krwawisz.

Trzymał dłoń, badając kostki. Skóra była zdarta, miejscami widać było zakrzepłą krew.

— Co, do cholery, robiłaś?

— Przeklinasz. Nigdy nie słyszałam, abyś przeklinał.

— Jest na to pora. — Chwycił drugą rękę. Była taka sama, poobijana i krwawiąca. Próbowwała się wyrwać, ale trzymał ją mocno. — Czy powiesz mi wreszcie, co się dzieje?

— Nie przyszedł tu, aby rozmawiać. — Jej dłonie zacisnęły się w pięści. — Nie chcę rozmawiać.

Wtedy przyjrzał się jej badawczo. Oczy Margaret błyszczały gorączkowo, a oddech był przyspieszony i płytki. Nie był lekarzem, ale słyszał wystarczająco dużo, aby się domyślić, że Margaret Leigh jest w szoku. Co robić z kimś w takim stanie? Trzymać go w ciepłe i ciszy, zdecydował. Ale najpierw musi opatrzeć jej dłonie.

— Poczekaj, Margaret.

Podparł jej plecy poduszką, jakby była zepsutą lalką. Wydawało się, że uszło z niej życie.

— Dokąd idziesz?

— Po bandażu. — Wstał, starając się poruszać spokojnie. Mówił przyciszonym głosem. — Zostań tu, nie ruszaj się. Zaraz wrócę.

Wpadł do łazienki, zabrał wszystkie potrzebne przybory tak szybko, jak to możliwe. Gdy wrócił, Margaret Leigh siedziała dokładnie tak, jak ją zostawił, podparta poduszkami, z jedną ręką na kolanie, z drugą na sofie.

Zamrugła oczami, gdy usiadł obok, ale wydawało się, że go nie dostrzeża. Delikatnie oczyścił jej rany. Była bezradna jak noworodek.

Gdy skończył, wziął ją za rękę.

— Margaret, uważam, że nie powinnaś prowadzić. Zawiozę cię do domu.

— Nie! — Skoczyła na równe nogi i zaczęła chodzić po pokoju. — Nie jadę do domu. Nie mogę wracać. Nie mam domu. Już nie. Nie mogę iść... nie mogę spojrzeć jej w twarz... nie mogę.

— W porządku. Dobrze. — Andrew podszedł do niej, wziął ją w ramiona, przytulając drżące ciało.

— No już, już. Cicho. Wszystko dobrze. — Głaskał jej plecy, włosy, ramiona. — Nie musisz iść. Możesz zostać. Cicho. Wszystko w porządku.

Stopniowo zaczynała się odprężać. Z westchnieniem poddała się kojącej pieczyocie.

— Mam dodatkową sypialnię. Możesz tam spać. — Skinęła głową, a on ciągle delikatnie jej dotykał. Z kim nie chciała się spotkać? Co się stało, że nie ma już domu? Ostrożnie podjął temat.

— Czy chciałabyś zatelefonować?

— Nie! — Jej gwałtowna odpowiedź wstrząsnęła nim. Przypomniawsobnie, jak w sobotnią noc prosiła o wcześniejszy powrót, żeby nie denerwować ciotki Berthy. Nic się nie zgadzało. Ale nie był to dobry czas na szukanie odpowiedzi.

— Robi się późno — zauważył. — Dlaczego nie idziemy spać? Czasem dobry sen nadaje problemom inny wymiar.

Nie komentowała, jak ufne dziecko pozwoliła zaprowadzić się do sypialni.

— Myślę, że mam tu gdzieś swój stary podkoszulek. Zastąpi ci koszulę nocną. Zaraz wrócę.

Przeszedł przez korytarz. Po chwili grzebał w szafce, szukając podkoszulka. Był obszerny, z dużym, brązowym buldogiem na białym tle. Kiedyś był biały, a teraz, po latach i niedbałym praniu, żółty, ale nadal miękki, ciepły i wygodny.

Gdy wrócił do sypialni, Margaret Leigh stała dokładnie tam, gdzie ją zostawił. Była jak posąg. Wyciągnął do niej rękę z podkoszulkiem.

— Margaret, to jest twoja koszula nocna. — Nic nie odpowiedziała. Cisnął podkoszulek na łóżko. — Odwróć się, kochanie. Mam zamiar rozpiąć ci sukienkę.

Odwróciła się powoli, jakby wypełniała trudne zadanie i zapomniała, jak się do niego zabrać. Rozsunął zamek błyskawiczny i opuścił sukienkę wzdłuż ramion. Jej skóra była jasna i delikatna, jakby nigdy nie była wystawiana na słońce. Andrew oparł się pokusie, chciał przesunąć ręce wzdłuż ciała, w ślad za suknią.

„Pomyśl o niej jak o siostrze” — powiedział sobie. Upomnienie pomogło, ale niewiele. Opuszczał dalej sukienkę, przez płaski brzuch, szczupłe nogi, aż rozplynęła się jak wino u jej stóp. Pod spodem nosiła jedwabną halkę koloru brzoskwini. Żadnych koronek, fantastycznych ozdóbek, po prostu zwykła część garderoby, miło przylegająca do ciała we wszystkich właściwych miejscach.

Miała piękne ciało, zgrabne, długie nogi i szyję Audrey Hepburn. Innym razem zatrzymałby się dłużej nad szczegółami, oceniłby wszystko przy pomocy rąk, ust i oczu.

Dziś wieczór starał się je tylko zapamiętać.

— Dobrze się czujesz, kochanie?

Nie było odpowiedzi. Wstrząsnął nią dreszcz, otuliła się ramionami.

— Zimno ci?

Potrząsnęła głową, ale nie był pewny, czy dotarło do niej to, co powiedział. Pomyślał o zaprowadzeniu jej do łóżka jak stoi, ale wiedział dość o damskiej bieliznie, aby orientować się, że spanie w biustonoszu jest niewygodne.

— Teraz zdejmę ci halkę, Margaret.

Spojrzała na sukienkę leżącą na podłodze z tym samym niedbałym zaciekawieniem, z jakim patrzy się na przechodzącego robaka. Wydawało się, że to jej nie dotyczy.

Andrew poczuł, że Margaret drży. „To nie zimno — pomyślał. — To strach.”

— Czego się obawiasz, Margaret? Nie mam zamiaru cię skrzywdzić.

Podniosła na niego smutne, zielone oczy, ale ciągle milczała. Podobny wyraz oczu widział u matek chorych dzieci i u wdów. Bez słowa otoczył ją ramionami i przygarnął do siebie. To był gorący, przyjacielski uścisk, bliskość dodająca otuchy.

Stała chwilę sztywno, a potem oparła policzek na jego nagim ramieniu. Ujął jej głowę w dłonie, zagłębiając palce we włosach jak jedwab.

— Chcesz mi o tym opowiedzieć, kochanie?

— Nie.

Ledwo ją słyszał.

— Dobrze. Będę całą noc po drugiej stronie korytarza, jeśli będziesz mnie potrzebować, krzyknij. To wystarczy. Przybiegnę do ciebie.

Odpowiedziała coś, co było podobne do szeptu wiatru wśród wierzb. Potem lekko skinęła głową.

Wszystko w niej było kruche: policzek na jego piersi, dłoń w jego dłoni, uczucia... Nie wiedział, co się stanie, gdy skończy ją rozbierać. Ale nie czas na to teraz. Pożądanie będzie musiało ustąpić miejsca rozsądkowi. A rozsądek podpowiadał, aby położyć ją do łóżka, uspokojoną i ciepłą, tak szybko, jak to tylko możliwe.

— Teraz położę cię do łóżka, Margaret.

Znów skinęła głową. Jedwabne włosy musnęły mu policzek. Sięgnął po nocną bieliznę.

— Podnieś ramiona. — Zrobiła to. Założył jej swój podkoszulek.

— W tym będzie ci ciepło i wygodnie. — Zachowywał jednostajny, monotony ton głosu, gdy brał ją na ręce. Była apatyczna, nie stawiała żadnego oporu. — Łóżko ma stary materac z pierza. Jako dziecko przepadałem za nim. Zostało mi to do dziś.

Oparł kolano na łóżku, aż zaskrzypiały sprężyny. Margaret Leigh przywarła do Andrew, przytulając twarz do jego piersi. Zaczął opuszczać

ją na łóżko, ale zauważył, że nie jest zdjęty koc. Balansując ręką i kolanem, ściągnął nakrycie i delikatnie opuścił Margaret Leigh na prześcieradło.

Zagłębiła się w materac z pierza wzdychając. Przykrył ją z wielką troską, otulając kocem nogi i szyję. Gdy skończył, schylił się i pocałował w czoło.

— Spij spokojnie, kochana.

Spojrzenie Margaret Leigh powstrzymało go. Oczy błyszczały od niewypłakanych łez i były ogromne z bólu. Czułe odgarnął jej włosy z czoła.

— Wszystko będzie dobrze, Margaret. Zobaczysz.

— Dziękuję, Andrew. — Ledwo dosłyszał jej szept.

— Nie ma za co, czuj się jak u siebie.

Odszedł od łóżka i kręcił się po pokoju. Chciał, aby było jej jak w niebie. Zdjął lampkę nocną z półki, postawił na szafce i włączył ją. Potem podniósł z podłogi sukienkę, wygładził i zawiesił starannie na oparciu krzesła. Wreszcie zgasił górne światło i wyszedł z pokoju.

Długo stał pod drzwiami nasłuchując. Gdy przekonał się, że zasnęła, przeszedł przez korytarz do swojej sypialni. Postanowił nie zamykać drzwi, rozebrał się szybko i wszedł do łóżka. Prześcieradło było chłodne i szorstkie. Uderzył pięścią w poduszkę, taki miał zwyczaj, i właśnie układał się na brzuchu, aby zasnąć, gdy przypomniał sobie, że jest nagi. A jeśli będzie musiał biec do Margaret w środku nocy? Nie wyszedłby do niej całkowicie nagi, pomimo że próbowała go uwieść.

Wyszedł z łóżka i założył szorty. Czuł się tak skrepowany, jakby dźwigał ekwipunek ekspedycyjny na Biegun Północny, ale chciał ponieść tę ofiarę. Poza tym, nie każdej nocy mężczyzna może być bohaterem. Położył się z rękami pod głową i zapatrzył w przestrzeń. Naprawdę trudno było nim być w obecnej sytuacji.

„Co u diabła ją dręczyło? Co wyгнаło ją z domu w środku nocy?” — Próbował zgadnąć na podstawie skąpych informacji i słów, które wymknęły się jej mimochodem, ale zasnął kołyszany szeptem sosen i dalekim głosem lelka.

Obudziło go szlochanie. Z początku był zdezorientowany, potem skoczył na równe nogi i przebiegł przez korytarz.

Margaret Leigh siedziała skulona na środku łóżka, z kolanami podciągniętymi pod brodę. Obejmując nogi kiwała się i płakała.

— Margaret Leigh! — zawołał.

Nie odpowiedziała. Właściwie, nawet nie spojrzała w jego kierunku.

Zbliżył się do łóżka ostrożnie. Nie chciał powiedzieć, ani zrobić czegoś, co jeszcze bardziej wyprowadziłoby ją z równowagi.

— Czy mógłbym ci w czymś pomóc?

— Chciałabym, aby był koniec świata. — Uniosła ku niemu twarz całą we łzach. — Czy możesz to dla mnie zrobić, Andrew?

Andrew McGill wiedział, że nagle potrzeba domaga się drastycznych środków. Odchylił koc i wsunął się do łóżka.

Objął ją silnym ramieniem i mocno przytulił.

— Nie mogę sprawić, aby był koniec świata, Margaret. Ale jest coś, co go przypomina.... — Mówił trzeźwym tonem, używanym przez jego rodziców, gdy miał dziecinne poczucie, że problemy będą trwać wiecznie. — Teraz po prostu połóż głowę na moim ramieniu.

Poczuł, jak zeszywniała. Jej nastrój zmienił się gwałtownie. Ze smutku przeszedł w złość. Zaczęła go popychać z siłą zrodzoną z wściekłości. Trzymał ją mocno.

— ? No, nie walcz ze mną, kochanie. Jestem duży i silny, i na pewno zwyciężę.

— Nie chciałeś mnie... ofiarowałam ci się, a ty odmówiłeś.

— Nienawidziłabyś mnie rano. Uspokój się, Margaret.

Walczyła rękami i kolanami, drapiąc jego plecy i ramiona. Była silniejsza, niż na to wyglądała.

— Dobry Boże, kobieto. — Pochylił się, aby uniknąć ciosu.

— Wynoś się z mojego łóżka.

— To nie jest twoje łóżko, kochanie. Ono jest moje. Przestała na moment. Nagle znów zaczęła walczyć.

Był z tego zadowolony. Jej bezsilność przerażała go. Pomyślał, że wściekłość będzie być może oczyszczeniem.

— Ty bestio! Ty łajdaku! — Jej pięści miały siłę moskita walczącego z nosorożcem, ale paznokcie drapały do krwi. — Co z ciebie za mężczyzna? Odmawiasz damie?

— Jesteś damą, czy tak? — Chwycił wymachujące pięstki i przygwoździł do łóżka. — Żadna ze znanych mi dam nie miała takiego wspaniałego sierpowego jak twój.

Scisnął jej ręce nad głową i usiadł okrakiem na jej biodrach.

— Walcz, ślicznotko. Wyrzuć z siebie całą wściekłość.

— Nie chce wyrzucić jej z siebie w taki sposób! — Rzucała się pod nim. — Puszczaj mnie!

— A w jaki sposób?

— Weź mnie.

— Innym razem.

— Nie ze mną, Romeo ostępów.

Z zemsty ugryzła go w ramię. Poczuł ból, ale nie zwolnił uścisku.

— Tak, jestem nim, kochanie. Nikim więcej. Może któregoś dnia ci to udowodnię.

— Zamknij się.

Znów szamotanie. Już nie mógł tego wytrzymać. Złość była zawsze podniecająca, a ta naturalna stymulacja, połączona z bliskością jej ciała, wprowadziła go w stan nie budzący żadnych wątpliwości. Prawie uległ pokusie dania jej tego, czego się domagała, ale wiedział, że później żałowałiby oboje. A poza tym, gdyby wziął Margaret Leigh w takim stanie ducha, nie mógłby nigdy uważać się za człowieka honoru.

— Nie teraz, kochanie. Chcę cię uchronić przed zrobieniem głupstwa.

— Czy kobieta pragnąca mężczyzny jest głupia? A co z mężczyzną w takiej sytuacji?

— Jest spragniony kobiety.

— Udowodnij to.

— Psiakrew, Margaret.

— Udowodnij mi.

Jego usta zacisnęły się na jej wargach. Margaret ciągle walczyła. Tarzali się po łóżku ze splecionymi nogami, złączeni dzikim pocałunkiem. To była walka woli, w której oboje byli zdecydowani zwyciężyć.

Margaret Leigh nie знаła sekretów miłości, ale odgadła je bezbłędnie. Przycisnęła się do mocnego, muskularnego ciała Andrew, drażniąc go zachęcającymi, drobnymi ruchami bioder.

Była perfekcjonistką, nie wiedząc o tym. Andrew resztkami sił zachowywał kontrolę nad sobą, zwalczając szalejącą namiętność. Wydawało się, że oboje przekroczą wszelkie granice rozsądku. Pomyślał, że jeśli będzie ją czule całował, ona uspokoi się i wyciszy.

Ona zaś miała nadzieje, że pod wpływem pocałunków Andrew podda się wreszcie i otrzyma to, czego pragnie. Pragnęła seksu. Nie chciała miłości, czułości, pieśczoł, nawet namiętności. Chciała tarzać się w erotycznej fascynacji fizycznego spełnienia. Wydawało jej się, że w tej chwili każdy byłby do tego dobry.

Podniecała go, nienawidząc tego, co robi. Z kobiety ze złamanym sercem zmieniła się w kobietę drapieżną.

Kiedy to się stało? Przeżywała dziką huśtawkę uczuć. Wydawało jej się, że kręci się na karuzeli i nie może zejść. Nawet nie chciała tego. Jeśli

zejdzie, będzie musiała stawić czoło prawdzie. A prawda była okrutna. Dużo lepiej było zapomnieć o niej. „Jaka matka, taka córka”.

W pewnej chwili, gdy ręce Andrew zsunęły się delikatnie wzdłuż jej pleców, prawie uspokoiła się. Zagłębiła twarz w poduszkę i zaczęła płakać. Andrew był dla niej dobry, serdeczny, delikatny, słodki, hojny. Przyjął ją, opatrzył ręce, rozebrał i zaofiarował swoje łóżko.

Nie. Nie pozwoli sobie na miękkość i sentymenty. Od tej chwili będzie twarda, cyniczna i grzeszna jak sam diabeł. Skończyła z wiarą i ostrożnością. Zbrzydła jej cnota.

Andrew odchylił się, aby zaczerpnąć powietrza, jego uścisk zelżał. Skorzystała ze sposobności. Usiadła. Ściągnęła podkoszulek. Andrew chwycił ją za ramię.

— Co, u diabła, robisz?

— Nie zamierzam tego robić po raz pierwszy w ubraniu.

— Do cholery, Margaret!

Rzuciła mu wyzywające spojrzenie. W przyćmionym blasku księżycy widział zdecydowanie w jej twarzy. Jednym szybkim ruchem ściągnął szorty. Zaparło jej dech z przejęcia i odwróciła oczy.

Mógłby paść na kolana i chwalić wszystkich świętych za ten jeden mały gest, ten jeden znak, który powiedział mu, że Margaret Leigh nie jest kompletną bezwstydnicą. Ale nie miał czasu.

Wyciągnął do niej ręce.

— Nareszcie przestałaś się wygłupiać. — Zbliżyła się chętnie.

Skręcił szorty i zawiązał je wokół przegubu.

— Co robisz?

— Biorę cię do niewoli, moja droga.

Położył dłoń na jej dłoni i szybkim ruchem związał oba przeguby mocnym węzłem.

— Ale dlaczego...

— Kładź się i bądź cicho. Mam zamiar zasnąć. — Wyprostował się, nagi jak nowo narodzony, i zamknął oczy. — Jutro rano muszę tresować psy.

Myślała o rozpoczęciu nowej walki, ale poczuła, że energia ją opuszcza. Położyła się jak najdalej od Andrew i próbowała zasnąć.

Rozdział szósty

Promienie porannego słońca wpadającego przez okno obudziły Andrew. Pierwsza myśl, jaka przyszła mu do głowy, to co dzieje się z jeńcem. Margaret Leigh leżała na boku z ręką pod policzkiem i kolanami przyciągniętymi do brzucha. Jej grube, jedwabiste włosy były zachwycająco splecione, a długie rzęsy ocieniały policzki zaróżowione od snu.

„Wszystko to mogło być moje” — pomyślał. Cicho wysunął rękę z więzów i wstał z łóżka. Margaret nie poruszyła się. Była bez wątpienia wyczerpana wrażeniami minionej nocy.

Z zewnątrz dobiegało ujadanie psów witających poranne słońce i przypominających, że czas na śniadanie. Szybko wyszedł z pokoju i delikatnie zamknął za sobą drzwi. Na pewno będzie spała aż do jego powrotu.

Margaret Leigh obudziła się w jednej chwili. Słońce świeciło ukośnie i przez moment myślała, że znajduje się we własnym łóżku. Jednak tępy ból głowy i ociężałość szybko wyrwały ją z marzeń. Już nigdy w życiu nie będzie miała radosnego poranka.

Usiadła. Trzymała się za głowę jęcząc. Szorty zwisały z przegubu jej ręki i dotykały policzka. Zerwała je i cisnęła w głąb pokoju. Wylądowały w kącie i leżąc tam, wydawały się drwić z niej — były przecież żywym przypomnieniem tego, co zaszło w nocy.

Z płonąca twarzą wyskoczyła z łóżka i spojrzała na zmiętoszone prześcieradło. Rzuciła się na Andrew jak bezczelna ulicznica. A on nią wzgardził. Upokorzenie przygniotło ją tak, że trudno jej było oddychać.

Musi wynieść się stąd. Musi opuścić to miejsce, zanim znów się ośmieszy. Gdzie była jej sukienka? Nawet nie pamiętała, gdzie się rozbierała. Wreszcie dostrzegła ją, przewieszoną na oparciu krzesła. Zobaczyła też bandaże na dłoniach. Zapomniała o nich. To Andrew je założył. Ciągle ten Andrew.

Walczyła z sukienką, zbyt słaba i zmęczona, aby podciągnąć zamek błyskawiczny.

— Pomogę ci.

Gwałtownie odwróciła głowę. Stał w drzwiach, po prostu oferując pomoc. Jak gdyby nigdy nic, jakby jej nie odrzucił, nie wszedł nago do jej łóżka i nie związał swoją bielizną.

Wściekłość i upokorzenie omal jej nie zabiły.

— Jeśli znów mnie dotkniesz, uduszę cię.

— Cieszę się, że lepiej się czujesz dziś rano. — Zaśmiał się.

Przeszedł przez pokój, odrzucił jej drżące ręce i zapiął sukienkę, jakby miał do tego pełne prawo.

Wrócił do drzwi. Oparł się o futrynę, stojąc jakby na straży.

— Jesteś blada, Margaret. Powinnaś jeszcze poleżeć w łóżku.

— Nie wejdę do twojego łóżka, choćby to było ostatnie miejsce na ziemi, gdzie można się położyć.

— Złość jest znakiem, że wracasz do siebie.

— Czuję się świetnie. — Przeczesała włosy palcami, przygotowując się do odejścia. — Zejdź mi z drogi.

— Dokąd idziesz?

— Co cię to obchodzi?

— Przyszłaś do mnie. Pamiętasz?

Pamiętała aż nazbyt dobrze. Powieki piekły od łez, ale powstrzymała je.

Andrew szybko przeszedł przez pokój. Czowała delikatność jego ręk, gdy brał ją w ramiona.

— Możesz tu zostać jak długo zechcesz, Margaret. Jeśli chcesz mówić, będę słuchał, jeśli nie, to nie będę nalegał. — Uniósł jej podbródek jednym palcem. — Pozwól mi być twoim przyjacielem.

— Nie potrzebuję przyjaciela. Potrzebuję kochanka. — Odepchnęła go i pewnym krokiem wyszła z pokoju.

Chciał ją zawołać, ale wiedział, że to byłoby bez sensu. Nie mógł zatrzymać jej siłą. Stał w sypialni. Usłyszał trzaśnięcie drzwi wejściowych. Potem wszedł do swojego pokoju i spojrzął przez okno. Trzymała głowę wysoko, wsiadając do samochodu.

— Na pewno jej się uda. Będzie dobrze.

Słowa Andrew zabrzmiały echem w cichym pokoju. Zastanowił się, dlaczego zależy mu na pomyślności Margaret Leigh. Kim była dla niego? Po prostu śliczną kobietą, jakby z innej epoki, którą zabrał na tańce. Właściwie to lepiej, że pozwolił jej odejść.

Pogwizdując poszedł do kuchni, aby zrobić śniadanie. Zawsze wierzył, że trochę muzyki i zaspokojenie głodu pomaga rozpocząć nowy dzień. Przyrządził sobie jajecznicę i tosty, potem wyciął plasterki banana do płatków kukurydzianych i zalał to dużą szklanką soku pomarańczowego, cały czas powtarzając sobie, że ma psa do tresowania i nie może martwić się z powodu Margaret Leigh.

Margaret Leigh kurczowo ścisnęła kierownicę, pozostawiając za sobą dom w Boguefala Bottom. Co miała teraz robić? Nie mogła iść do pracy

w takim stanie, nie mogła też iść do domu. Przed sobą dostrzegła stację obsługi. Zatrzymała się. Zabierając torebkę z przedniego siedzenia samochodu, weszła do toalety.

Przywróciła włosy i twarz do porządku, na ile to było możliwe.

W barze kupiła słodczyce i zimny napój. Oto śniadanie. Jeszcze wczoraj nie przyszłoby jej do głowy, aby niszczyć sobie żołądek czymś podobnym. Ale to było wczoraj, a dzisiaj wszystko jest inaczej. Może jeść cukierki i pić wodę sodową przez resztę życia. Najwyżej umrze z niedożywienia, jeśli przedtem nie umrze z upokorzenia. Dobrze tak ciotce Bercie.

Dzień w bibliotece dłużył się. Takie są dni, którym towarzyszy gniew, udręka i poczucie winy. Margaret Leigh odgarnęła kosmyk włosów z oczu i położyła książki na wózku. Smuga popołudniowego słońca wpadała ukośnie przez wysokie okna budynku, pokazując kurz tańczący między książkami przeznaczonymi do katalogowania. Zegar ścienny skrupulatnie pilnował czasu, wydzielając go oszczędnie z każdym obrotem minutowej wskazówki.

Margaret Leigh spojrzała na zegar. Za pięć piąta. Jeszcze tylko pięć minut i będzie mogła pójść. Ale co wtedy? Dokąd pójdzie?

— Jak to dobrze, że jesteś sama.

Gwałtownie odwróciła głowę w stronę drzwi. Stał w nich Andrew McGill. W skórzanej kurtce, wśród książek, wyglądał jak wilk na zebraniu owiec. Błyskawicznie zmobilizowała swe liche środki obrony.

— Tu nie wypożycza się książek. Proszę zejść na dół.

— Nie chcę niczego wypożyczać.

Jeśli zapyta, po co tu przyszedł, będzie stracona. Stała w miejscu, szczęśliwa, że przedziela ich wózek z książkami.

— Jestem tu po to, aby zobaczyć, jak się czujesz.

— Czuje się wspaniale. Fantastycznie! Wolna jak ptak.

— Więc dlaczego się nie uśmiechasz?

— Uśmiecham się. — Odsłoniła zęby w sztucznym uśmiechu.

— Nie, nie uśmiechasz się. Cierpisz.

— Nie chcę twojego współczucia.

— To nie współczucie, to przyjaźń.

Nie chciała przyjaźni. Przyjaciele ufają sobie nawzajem, a ona nigdy i nikomu nie zaufa.

— Nie chciałeś mnie, więc dlaczego pragniesz przyjaźni?

— Psiakrew, Margaret, między kobietą i mężczyzną może istnieć coś więcej niż seks.

— Nie zauważyłam.

— Może źle szukałaś.

— Gdzie miałam szukać? W Siedzibie Piratów"? „To moja wina — pomyślał Andrew. — Pokazałem jej inną stronę życia, aby zmieniła się. Plan wypalił przedwcześnie.”

Wolno przeszedł przez pokój, odepchnął wózek i chwycił ją za ramiona.

— Nie widziałem kobiety tak bardzo zdesperowanej. Zniszczysz samą siebie. Dlaczego to robisz?

— Co cię to obchodzi?

Jego rysy zmiękły, a dłonie zaczęły wykonywać powolne koła na jej ramionach.

— Żebym to wiedział.

Nie pamiętała bardziej pieszczotliwego uśmiechu na jego twarzy. Opanowała się szybko.

— Może dlatego, że lubię, gdy tresowane przeze mnie psy i ich właściciele są szczęśliwi. — Wierzchem obu dłoni musnął jej twarz. — Lub może dlatego, że masz taką delikatną skórę. — Gładził jej policzki i patrzył prosto w oczy. — To samo pytanie zadałem sobie dzisiaj.

— Więc nie znasz odpowiedzi? — Nienawidziła siebie za swój miękki głos znizony do szeptu i za to, że drżała, czekając na jego odpowiedź. To mówiła Margaret Leigh, która już nie istniała, która bała się pocałować mężczyznę, wierząc jednocześnie w zbawienne działanie miłości. Nowa Margaret Leigh miała inne oblicze. Odepchnęła ręce Andrew. — Ale właściwie, co mnie to obchodzi?

Andrew wcisnął ręce do kieszeni.

— Nie bierz tego do siebie. To ja staję się miękki. Ból, jaki odczuła, był niespodziewany i przykry. W jej życiu nie powinno być miejsca na cierpienie. Musiała pozbyć się tego mężczyzny, raz na zawsze. Złośliwość, zrodzona z rozpacz, przyszła jej z pomocą.

— Ręczę za to. Zmiękleś w wielu miejscach. Odrzucił głowę w tył i ryknął śmiechem. Nie była to reakcja, jakiej się spodziewała.

— Jeśli będziesz ciągle prowokować mnie w podobny sposób, będę zmuszony udowodnić ci, że się mylisz.

— Miałeś szansę i zmarnowałeś ją.

— Co ja mam z tobą zrobić?

— Nic, to strata czasu. Idę. — Wzięła torebkę i ruszyła w stronę drzwi.

— Dokąd idziesz? Do domu?

— Nie twoja sprawa, Andrew McGill. — Odwróciła się w drzwiach.

— Mylisz się, to jest moja sprawa.

— Wiec powinienes wiedziec, ze nie jestem tą samą kobietą, która przysłała do ciebie ostatniej niedzieli. Jestem nową, płomienną Margaret Leigh. Nie podchodź za blisko, bo możesz się spalić.

— Ogień dobrze mi robi.

Przewiesiła torbę i wyszła z pokoju z wysoko podniesioną głową, wybijając gniewny rytm wysokimi obcasami na kafłowej podłodze. Andrew nawet nie próbował zachowywać pozorów. Podążył za nią, nie dbając o to, czy ktokolwiek w bibliotece ich obserwuje.

Zbiegając po schodach, Margaret Leigh wiedziała, że Andrew idzie za nią. Słyszała, jak zamyka drzwi wejściowe, jak uruchamia samochód i rusza z parkingu. Andrew McGill miał zamiar jechać za nią do domu.

Zabrakło jej odwagi na myśl o powrocie do domu na Allen Street. Musiała kiedyś wrócić. Nie było innego wyboru. Miała tylko to, co na sobie, a w torebce dokładnie trzydzieści dwa dolary i piętnaście centów. Nie starczyłoby nawet na skromny motel. Zbliżały się święta Bożego Narodzenia i nie chciała obciążać karty kredytowej.

Posmutniała na myśl o świętach. Komu w tym roku pośle prezenty? Nie wiedziała nawet, kim byli jej prawdziwi krewni.

Powłócząc nogami, wysiadła z samochodu i weszła po stopniach na werandę. Straciła całą energię, stawiając czoło Andrew w bibliotece. Kątem oka widziała jego czerwony samochód, zaparkowany zuchwale przy krawężniku. Miała nadzieję, że osiwieje z nudów, czekając na nią.

Pchnęła frontowe drzwi i wślizgnęła się do środka.

— Margaret Leigh, czy to ty, kochanie?

Bertha Adams ukazała się w drzwiach swojej sypialni. Miała podkrążone oczy, a jej różowa, jedwabna sukienka wyglądała tak, jakby w niej spała.

Margaret Leigh stłumiła nagły przyływ współczucia. Stare przyzwyczajenia trudno wykorzenić. Miała zamiar zrobić wszystko, aby skończyć z nimi szybko i definitywnie.

— Tak, to ja. Lecz niepotrzebnie się trudzisz, nie zostanę długo. Nie pogawędzimy jak matka z córką.

— Proszę cię. — Bertha nerwowo poprawiła przerzedzone, siwe włosy. — Wejdz i porozmawiaj ze mną. Pozwól mi wytłumaczyć.

— Już to zrobiłaś. Spałaś z mężem innej kobiety, a gdy znalazłaś się w kłopotliwej sytuacji, postąpiłaś bardzo szlachetnie, oddając mnie.

— To nie było tak. Kochaliśmy się.— Bertha wyszła z pokoju i chwyciła kurczowo rękaw Margaret Leigh. — Musisz zrozumieć. Nie miałam innego wyjścia.

— Pozostaw nam trochę godności. Proszę. — Wyrwała rękę i zaczęła wchodzić po schodach.

— Dokąd idziesz?

— Spakować się.

— Jedziesz do Chicago? Do Tess?

— Nie. Mam zamiar zamieszkać z pierwszym mężczyzną, który mnie zechce.

Bertha poczuła zamęt w głowie. Przycisnęła rękę do serca. Nagły wybuch miłości macierzyńskiej dodał jej odwagi. Energicznie ruszyła za córką. W tym momencie nie liczyło się nic oprócz Margaret Leigh. Stała w drzwiach i uczepliła się kurczowo futryny. Patrzyła, jak Margaret Leigh wpycha do walizki rzeczy, bezładnie, niczego nie układając. To było zupełnie do niej niepodobne. Zawsze była taka porządna.

Bertha odetchnęła głęboko, nabrała powietrza i zaczęła mówić pospiesznie.

— Nie sądziłam, że mogę zajść w ciążę. Byłam już stara, przechodziłam menopauzę. — A jednak to się stało. — Zamilkła, aby zaczerpnąć powietrza, i mówiła dalej. — W latach sześćdziesiątych samotne kobiety w ciąży były napiętnowane. Aborcja nie wchodziła w grę. Nie było domów dla samotnych matek, w każdym razie nie w Tupelo. Niezamężna kobieta w tych czasach była wyrzutkiem społeczeństwa. Jeszcze gorsze piętno ciążyło na dziecku. Przezywano je.

— Znam to przewisko. Bękart. Bertha zignorowała to.

— Margaret wiedziała, że nie może mieć więcej dzieci. Lekarz powiedział, że to by ją zabiło. Nie mogłam iść do twojego ojca, więc poszłam do niej. Razem z Grahamem mieszkali wtedy w Południowej Karolinie. Pragnęli cię. Kuzyn Joseph dopełnił formalności prawnych.

„Tatusz Glenny. Pasuje—pomyślała Margaret Leigh. — To dlatego Glenny znała sekret rodzinny.”

— Zgodziliśmy się wszyscy, że najlepiej będzie, jeśli nigdy się o tym nie dowiesz.

— Najlepiej dla kogo? Dla ciebie? Dla... — Nie mogła wypowiedzieć: „mamusi i tatusia”. — Najlepiej dla Margaret i Grahama Jonesów? — Zatrzasnęła zamek walizki. Odchodzi. Nie czekaj na mnie.

— Gdzie będziesz mieszkała? — Bertha odsunęła się, gdy Margaret Leigh zdecydowanym krokiem szła w kierunku drzwi. — Gdzie byłaś ostatniej nocy? Co robiłaś? — Lodowata cisza i oddalająca się sylwetka córki stanowiły dla niej jedyną odpowiedź. — Bądź ostrożna — zawołała. Frontowe drzwi zatrzasnęły się. — Och, kochanie, uważaj na siebie.

Bertha zagłębiła się w fotelu i schowała twarz w dłoniach.

Andrew McGill nie spuszczał Margaret Leigh z oka. Poszedł za nią do sklepu z sandwichami Finneya. Usiadł w pobliżu i obserwował.

Czerwony samochód stale jej towarzyszył, gdy wędrowała bez celu, nie wiedząc co robić. Raz lub dwa próbowała go zgubić, ale bez przekonania. Co ją to obchodzi, że marnuje czas i benzynę.

Przechodząc obok kina, odruchowo weszła do środka. Trwała już projekcja filmu. Na sali było ciemno. Film był kiepski i dlatego większość miejsc była wolna. Andrew usiadł dwa rzędy za nią. Nie musiała nawet odwracać głowy, aby go zobaczyć. Czuli jego oczy na plecach. Wydawało jej się, że słyszy, jak chrupie prażoną kukurydzą. Bez wątplenia, zbiera siły przed atakiem, który na pewno zaplanował.

Już ona się postara, aby go odeprzeć. Nie dbała wcale o to, co sobie pomyśli. On ani ktokolwiek inny. Chciała tylko zemsty i rozpusty.

Spojrzała na zegarek. Była dziewiąta. „To czas — pomyślała — gdy Siedziba Piratów nabiera rozpędu przed nadejściem późnych gości.”

Wstała z miejsca i szybko wyszła z kina.

Andrew siedział na stołku przy barze i obserwował, jak Margaret Leigh tańczy z Hooterem. Siedział nad piwem i rozmyślał. Nie był nigdy niczym aniołem stróżem, z wyjątkiem Jo Beth, ale to się nie liczyło. Był wtedy bardzo młody i nic nie wiedział o poczuciu winy.

Hooter przesunął rękę wzdłuż pleców Margaret Leigh, a Andrew zacisnął dłoń na uchwycie kufła. Wypełniało go poczucie winy. To on przedstawił ją towarzystwu Hootera i Johnsona. Gdyby coś się stało, byłaby to jego wina.

Zaczęli tańczyć poza zasięgiem jego wzroku, więc wstał, aby sprawdzić, gdzie się znajdują. Z daleka wyglądało to tak, jakby Hooter próbował włożyć rękę pod bluzkę Margaret Leigh. Andrew musiał się powstrzymać, aby nie dopaść do niego i nie zdzielić go w twarz.

Był raczej spokojnym człowiekiem. Co go opętało, że natychmiast chciał zrobić użytek z pięści? Z powrotem usiadł na stołku i starał się pocieszyć piwem. Ale myślał o rękach Hootera na plecach Margaret Leigh.

Z hałasem odstawił kufel i zaczął się przepychać przez zatłoczoną salę. Było to trudne. Siedziba Piratów była niezwykle zatłoczona. Zanim dotarł do parkietu, musiał parokrotnie zatrzymywać się, przepraszać. Przeszukiwał tłum. Margaret Leigh była wysoka, a Hooter miał wzrost stuletniego dębu. Musieli tu gdzieś być.

— Cześć, Andrew. Zgubiłeś dziewczynę?

James Johnson i jego partnerka, kobieta o rozjaśnionych włosach i ciągle zmarszczonych brwiach, zatrzymali się obok Andrew.

— Szukam Hootera i wysokiej, ciemnowłosej dziewczyny...

— Czy tej, z którą byłeś w sobotę wieczorem?

— Zgadza się. Widziałeś ją?

— Razem z Hooterem. Ulotnili się tylnymi drzwiami, jakieś pięć minut temu.

Andrew wielkimi krokami ruszył przed siebie. Tym razem rozstępowano się przed nim. Gdyby w tym momencie mógł zobaczyć swoją twarz, wiedziałby dlaczego. Wyglądał, jakby ścigały go psy z piekła rodem.

Gdy wreszcie dotarł do samochodu, nie tracił ani chwili na myślenie. Wiedział, gdzie mieszka Hooter, około szesnastu kilometrów od jego domu. Znał także zwyczaj Hootera. Zawsze zaprasza kobiety do siebie.

Błyskawicznie odjechał z parkingu, wzbijając na wirażu tumany żwiru.

Był już głęboko w lasach Boguefala Bortom, gdy samochód odmówił posłuszeństwa. Andrew szybko przejrzał wrak. Nic nie mógł poradzić. Naprawa wymagała fachowca i czasu. Pozostał jeszcze kilometr. Zamknął samochód i zaczął biec.

Margaret Leigh zaczęła żałować swojej decyzji.

— Mam w lodówce zimne piwo i whisky. Co lubisz, laleczko?

Hooter spojrzał na nią pożądliwie. Otuliła ramiona płaszczem i zapragnęła być w domu na Allen Street. Żałowała teraz, że odrzuciła pomoc Andrew. W ogóle pragnęła być gdziekolwiek, byle nie w tym brudnym domku w lesie.

— Co się stało? Ugryzłaś się w język?

Hooter zostawił otwarte drzwi lodówki i podszedł do stołu kuchennego. Siedziała skulona, okryta płaszczem, przygnębiona, nie bardzo wiedząc, co robić. Położył jej rękę na głowie.

Opanowała odruch cofnięcia się. Nagle wyprostowała ramiona i uniosła głowę. Przecież chciała zapomnieć o kłopotach. Pragnęła towarzystwa mężczyzny. Oto miała jednego w całej okazałości.

Postanowiła stać się inną kobietą, nawet gdyby miało ją to dużo kosztować. Uśmiechnęła się do niego.

— To miło z twojej strony, że zaprosiłeś mnie na noc.

— Byłaś wspaniała, to rewanż. — Hooter wziął ją za rękę i podniósł z krzesła. — Tak to jest, mała.

Przyciągnął ją do swego ogromnego cielska i pochylił się nad nią. Czula jego oddech; mieszaninę piwa, cygar i przetrawionego czosnku. Gdy ją pocałował, myślała, że się udusi. Stłumiła nerwowo chichot.

Hooter podniósł głowę.

— No, kochanie, rozluźnij się.

— Myślę, że jednak się czegoś napiję.

— Oczywiście, laleczko. Co ma być?

— Cokolwiek. Zrób mi niespodziankę. Trzymała się mocno oparcia krzesła, gdy poszedł do

lodówki. Hooter nucił coś, a kawałki lodu uderzały o szkło. Nagle rozległo się głośnie walenie do drzwi frontowych. Był to łomot, od którego drżał cały domek.

— Hooter, otwórz!

To był Andrew. Margaret Leigh poczuła, że dętwieją jej nogi.

Hooter odstawił szklanki i podszedł do drzwi.

— Nie wybrałeś najodpowiedniejszego momentu na wizytę, chłopie.

— Nie miałem czasu przesłać eleganckiego zawiadomienia. — Andrew wszedł do środka, wnosząc ze sobą zapach świeżego, nocnego powietrza. — Przyszedłem po moją dziewczynę.

— Chcesz zabrać dziewczynę? — Hooter podrapał się w głowę. — Masz do niej wyłączne prawo?

— Tak. — Andrew pomógł Margaret Leigh wstać z krzesła. Potem przyciągnął ją pod silne, opiekuńcze ramie. — Chodźmy do domu.

Margaret Leigh miotała się między pragnieniem zastrzelenia go na miejscu a rzuceniem mu się na szyję. Nie zrobiła żadnej z tych rzeczy. Pomyślała, że jutro rozpocznie wszystko od nowa z kimś wyjątkowym, a na razie zabawi się z Andrew. Odchyliwszy głowę do tyłu, mrugnęła do niego porozumiewawczo.

— Jestem gotowa... kiedy chcesz... kochanie.

— Poczekaj no. — Hooter nie dawał za wygraną. — Wytłumacz mi. Jeśli ona jest twoją dziewczyną, to dlaczego zostawiłeś ją bez opieki? Przyszła ze mną do domu i nawet przyniosła walizkę. Czy się mylę?

Margaret Leigh uwolniła się z ramion Andrew. Wolno podeszła do Hootera i poklepała go po twarzy, prowadząc grę do końca. Widziała Tess, która robiła to milion razy.

— Wiesz, Hooter, mieliśmy jedną z tych małych, głupich sprzeczek kochanków. — Uszczypnęła go dla osłody w policzek. — Byłam na niego wściekła, więc flirtowałam z tobą.

— Kochanie, to co robiłaś, było czymś więcej niż flirtem. To była prowokacja.

— A ty byłeś taki słodki. Dziękuję, że zaprosiłeś mnie na drinka.

Andrew mocno chwycił ramię Margaret Leigh.

— Nie mogła być w lepszych rękach. Dzięki za opiekę. — Wyciągnął rękę do Hootera w geście przyjaźni. Zmieszany Hooter przyjął ją. — Przyjadę po samochód rano.

— Co ty, razem z Jamesem przywieziemy ci go za chwilę. Będzie to drobna przysługa za to, że próbowałem odbić ci dziewczynę.

— Pojadę swoim samochodem — wtrąciła Margaret Leigh.

— I znów pozbawisz mnie swego towarzystwa? — Andrew zacisnął chwyt. — Mamy sobie dużo do powiedzenia, kochanie.

Spojrzała na niego tak, jakby chciała go zabić. Zaśmiał się. Miała ochotę poczęstować go kopniakiem, ale nie odważyła się. Co by się stało, gdyby Hooter zechciał ją ratować? Odłoży na później zemstę.

Gdy Andrew i Margaret wyszli z domku, usłyszeli, że Hooter dzwoni do brata. Nawet po zamknięciu drzwi jego donośny głos rozlegał się w ciemności nocy.

— Słuchaj, James. Wyrwij się z Siedziby Piratów i przyjedź do mnie. Dziewczyna wyleciała z gniazdka, potrzebuję partnera do kart.

Margaret Leigh oparła się o drzwi. Była szczęśliwa, że pozbyła się Hootera, ale nie dała tego po sobie poznać.

— Popsuleś mi wieczór.

— To była po prostu mała misja ratunkowa. Możesz mi podziękować.

— Dziękuję! — Podniosła dumnie głowę i ruszyła do samochodu. — Nie potrzebuję ratunku i z pewnością nie potrzebuję ciebie jako opiekuna.

— Mylisz się. — Zrównał się z nią i szarpnął za rękę.

— Zostaw mnie.

— Dlaczego? Abyś mogła wrócić do swego ukochanego?

— Żeby mogła pojechać do domu, łajdaku. — Zaczęła kopać i wymachiwać ramionami.

Nie zwracając na to najmniejszej uwagi, Andrew zagwizdał cicho. Czarny ogier wybiegł kłusem z lasu. Andrew posadził Margaret Leigh na jego grzbiecie i wskoczył za nią.

— Wspaniale. Nie mogę uwierzyć. Jestem porwana na koniu.

— Siedź spokojnie, Margaret. Chcesz go przestraszyć?

— Jeśli myślisz, że pojedę z tobą dokądkolwiek, jesteś szalony.

— Owszem, jestem. — Ruszyli przez las. Margaret Leigh czuła, że wzbiera w niej histeryczny

śmiech. Stłumiła go. Starala się znaleźć oparcie w rzeczywistości. Kopyta ogiera uderzały o ziemię, a sosnowe drzewa wyciągały do niej upiorne ramiona. Wysoko nad głową wędrował po niebie październikowy księżyc, stwarzając pozory władzy nad paroma gwiazdami ozdabiającymi noc. A ona jechała, Bóg jeden wie, dokąd.

— Chcę jechać samochodem.

— Cicho, Margaret. Przez twoje gadanie nie mogę upajać się przyrodą.

— Zepsuleś mi wieczór. Nie widzę powodu, dla którego miałabym osłodzić ci tę romantyczną przejażdżkę.

— Mogę zawieźć cię z powrotem do Hootera, jeśli tego pragniesz. Jest hałaśliwy, niezdarny i nieokrzesany. To stuprocentowy mężczyzna, tak twierdzą kobiety. Nigdy nie sądziłem, że jest w twoim typie, ale jeśli chcesz, z przyjemnością wyświadczę ci tę przysługę.

Milczała przez chwilę.

— Właśnie miałam wychodzić, gdy wpadłeś jak burza.

Zachichotał.

— Tak myślałem.

Resztę drogi jechali w milczeniu. Ukazał się dom Andrew. Przywołał upokarzające wspomnienia. Margaret postanowiła nie zastanawiać się nad tym. Szukała sposobu odegrania roli wampa. Nie mogła sobie wybaczyć, że znalazła się w roli odtrąconej kobiety. Gniew podniecał ją coraz bardziej. Na razie jednak nic nie mogła zrobić. Zacisnęła pięści i czekała na okazję.

Andrew nie zatrzymał się przy domu. Zabrał Margaret Leigh aż do stajni. Gdy mijali psiarnię, dało się słyszeć ujadanie.

— To ja, chłopaki. — zawołał Andrew. — Przywiozłem ze sobą damę, więc bądźcie grzeczni.

Było coś uspokajającego i swojskiego w człowieku przemawiającym do psów. To wrażenie niepostrzeżenie wkradło się do jej świadomości. Szybko wróciła do wspomnień ubiegłej nocy.

Czar rozwiął się jak dmuchawiec na wietrze.

Andrew wjechał do stajni i zsunął się z grzbietu ogiera.

— Schodź, damo. — Wyciągnął ręce, aby jej pomóc. Specjalnie kopnęła go w nogę. — Hej, a to za co?

— Za twoje zachowanie. Za porwanie mnie. Za zmarnowanie dzisiejszego wieczoru.

— O co ci chodzi? Ciągłe szukasz faceta do łóżka? — Rozsiadł konia. Zaczął wycierać go energicznymi ruchami. — Otóż, powiem ci, nie musisz udowadniać swego powabu obcym. Jesteś atrakcyjną kobietą.

— Hooter tak uważa. A on jest stuprocentowym mężczyzną.

Andrew zaprowadził ogiera do zagrody i zamknął drzwi. Gdy się odwrócił, ujrzał Margaret Leigh z rękami na biodrach, błyszczącymi oczami i rozwichrzonymi włosami. Wyglądała bardzo bojowo.

Podchodził do niej powoli. Cofała się coraz dalej, wreszcie sterta siana zagroziła jej drogę. Wtedy chwycił ją w pa się. Jednym silnym ruchem przyciągnął mocno do siebie. Pochylił się nad nią z wyrazem dzikiego zdecydowania.

— On jest prawdziwym mężczyzną, tak? — Głos Andrew był niebezpieczny. — Myślałaś, że da ci to, czego chcesz? — Złapał jej twarz jedną ręką, wpijając palce w delikatne ciało. Próbowwała się wykręcić. — Do diabła, Margaret, spójrz na mnie.

— Jak śmiesz mnie dotykać.

— Mam do tego prawo. — Pochylił się bliżej, aż poczuła woń sosny, skóry i siana. — Czy tego chcesz, Margaret?

Przycisnął usta do jej ust. Zaciśnęła zęby, usiłując wyrwać się z jego objęć, ale nie mogła. Jego usta były uwodzicielskie, władcze, despotyczne. To nie był pocałunek, to było trzęsienie ziemi. A ona, wbrew woli, zareagowała na ten żywiol.

Wiedział, w którym momencie poddała się. Wtedy poczuł wzbierające w piersiach zwycięstwo. Nie wytrzymał. Podniósł głowę, a jego pełen satysfakcji śmiech wypełnił stajnię. Ogier zarżał radośnie w odpowiedzi.

Margaret Leigh była wściekła.

— Jeśli myślisz, że dlatego jesteś stuprocentowym mężczyzną, to się mylisz.

— Jeszcze nie skończyłem, moja droga. — Zamknął jej usta pocałunkiem.

Była zakłopotana swoją uległością. Każdym nerwem czuła jego siłę. Przenikała jej ciało i elektryzowała. Serce chciało wyskoczyć jej z piersi, a w głowie wirował świat.

A więc takie uczucia towarzyszą prawdziwemu pożądaniu? Żadne, wcześniejsze doświadczenia nie dały jej takich przeżyć. Andrew McGill sprawił, że zapomniała o wszystkim.

Przywarła do niego, zarzucając ramiona na szyję. Powoli osunęli się na siano.

RS

Rozdział siódmy

Ich ciała splotły się, a oddechy stawały się coraz krótsze. Poprzez mgłę szaleństwa, Andrew zdał sobie sprawę z tego, co robi. Wmawiał sobie, że chodzi mu o pokazanie, jak niebezpieczna może być gra. Niech wie, do czego prowadzi uwodzenie mężczyzn.

Zaciskając usta na jej ustach, włożył rękę pod spódnicę. Jednym szybkim ruchem podciągnął ją. Zaczepnęła powietrza i zadrżała. Jak dotąd wszystko dobrze — pomyślał. — Niech zna konsekwencje swojego zachowania."

Pieścił jej nogi i nagle wszystkie jego motywy uległy zmianie. Ogarnęło go poczucie rozkoszy. Dotykał miękkiej, atlasowej skóry, poznawał delikatne kształty ciała, które doprowadzały go do szaleństwa. A jednak było coś więcej, niż ponętne ciało Margaret. Ona była czymś więcej, niż obiektem seksualnym na sianie. Należała do niego, uległa i drżąca. Czuł się tak, jakby nigdy przedtem nie kochał. Miał wrażenie, że jest jego pierwszą dziewczyną.

Nie, to nie tak. Przecież miał udzielić lekcji, a nie poddawać się emocjom.

— Czy tego właśnie chcesz, Margaret? — Zsunął jej płaszcz, potem szybko rozpiął zamek w spodniach i zaczął rozchyłać dekolt w jej bluzce aż ukazały się nagie ramiona. Jego usta przesuwają się po szyi, coraz niżej.

— Widzisz, jakie to proste dla mężczyzny.

— Czy to lekcja poglądowna? — Zesztywniała.

— Tak. — Andrew usiadł i gwałtownie okrył jej gołe ramiona. Z kamienną twarzą zasunął rozporek. — Nie jesteś partnerką dla mężczyzny. Nie jesteś dość silna.

Wyglądził jej spódnicę na kolanach, nie zwracając uwagi na jej reakcję. — Nie pozwolę, abyś wskoczyła, do łóżka z pierwszym lepszym facetem.

Zamierzyła się na niego pięścią, ale chwycił jej przegub. Patrzyła na niego piorunującym, pełnym nienawiści wzrokiem.

— Kto cię upoważnił do pilnowania mnie?

— Nie myśl, że chcę być twoim rycerzem w świecącej zbroi. Zabijanie smoków, to nie moja specjalność.

— Nikt cię nie prosił o zabijanie smoków.

— Sądzę, że to sprawa mojego charakteru. Nie zniosę, żebyś marnowała się z Hooterem.

— Znajdę więc kogoś innego, kto byłby chętny.

— Na pewno nie tej nocy.

Podniosła ją z siana. Nie była drobną kobietką, a on wziął ją na ręce tak, jakby była chucherkiem.

„To chyba świeże, wiejskie powietrze dodaje mu sił”— pomyślała. Patrzyła na niego uważnie. Z resztkami siana na ubraniu i we włosach wyglądał apetycznie, jak owoc świeżo zerwany z wiejskiego sadu. Poczowała, że ma sucho w ustach. To było dla niej zupełnie nowe przeżycie. Pierwszy raz patrzyła na mężczyznę z taką żarliwością. Pocałunki... Nie, nie będzie myślała o jego pocałunkach. Musi od niego odejść.

Nie dorównywała mu siłą, to był fakt. Był sprytny, więc nie mogła go przechytrzyć. Będzie musiała po prostu doprowadzić go do kresu wytrzymałości i wtedy jej odejście przyjmie z ulgą.

— Przypuszczam, że zamierzasz przywiązać mnie znowu do swego łóżka.

Zacisnął szczęki i milczał. Podniósł jej płaszcz z siana i wstał. Godnym krokiem wyszedł ze stajni, niosąc ją jak na ofiarę. Poczowała chłodny wiatr na twarzy, ale powstrzymała drżenie.

— To źle, że nie potrafisz utrzymać kobiety w łóżku, nie przywiązując jej.

— To zależy od kobiety.

Tym razem ona wybrała lodowate milczenie. Leżała w jego ramionach. Świadomość, że jest równie zdenerwowany jak ona, była przyjemna. Czuła brak swobody w jego ruchach. Poruszał się bez naturalnego wdzięku, szorstko, niepewnie, krokiem człowieka obchodzącego pole minowe.

Psy jak zwykle przywitały swojego pana, ale Andrew tym razem do nich nie przemówił. W milczeniu szedł do domu.

Trzymając Margaret Leigh w ramionach, pchnął drzwi i wszedł do środka.

— Witaj w domu. — Jego głos był ostry i zimny, gdy stawiał ją na podłodze.

— Spotkałabym się z cieplejszym przyjęciem w zakładzie pogrzebowym. — Ze złością straciła z ubrania resztki siana.

— Wiem, jakiego przyjęcia oczekujesz.

Za późno zauważyła błysk w jego oczach. Znów miał ją w objęciach, zanim zdążyła pomyśleć o ucieczce. Zdecydowała, że najlepiej będzie zachować spokój. Lekko uniosła głowę i czekała na pocałunek.

Zamiast tego usłyszała śmiech, ale nie było w nim radości. Był to raczej głuchy śmiech człowieka walczącego z samym sobą.

— Czy myślisz, że mam zamiar znów cię pocałować, Margaret?

— Twoje zachowanie na to wskazuje.

— Nie tym razem, moja mała. Wiesz, co chciałbym zrobić? Dać ci parę klapsów na śliczny tyłeczek.

Margaret zarumieniła się. Uświadomiła sobie, że ten mężczyzna rzeczywiście widział ją nago. Aby pokryć zmieszanie, uniosła głowę i spojrzała na niego z błyskiem w oczach.

— To jest niezwykle kuszące, ale nie jestem w nastroju do dalszych gier. — Usłyszała w odpowiedzi.

— To ty prowadzisz grę.

— Z Hooterem też.

— Może to była miłość?

— A może ja jestem królem Anglii? — Wziął ją znów na ręce i niósł przez kuchnię, pokój, korytarzem do sypialni. — Nie, moja miała flirtiaro. Mam dla ciebie ciepłe przyjęcie w postaci gorącej kąpieli i dużej porcji grogu.

Propozycja kąpieli zabrzmiała w jej uszach niebiańsko, ale Margaret Leigh nie miała zamiaru tego okazać.

— Nie możesz mnie zmusić do kąpieli. Tym razem jego śmiech był szczery.

— Chciałabyś się o to założyć, Margaret?

— Wykąpię się, ale nie dla ciebie, tylko dlatego, że sama tego chcę.

— Moja mała, przewrotna dziewczynka.

— Pirat.

— To komplement.

Kopnięciem otworzył drzwi sypialni i zdecydowanym krokiem szedł w stronę łóżka. Opuścił ją na prześcieradło, a potem pochylił się nad nią.

— Teraz słuchaj uważnie. Jestem zmęczony i chce mi się spać. Rozbierzesz się, weźmiesz miłą, relaksującą kąpiel, a ja w tym czasie zrobię ci gorący grog. Wypijesz go i bez protestu pójdziesz spać.

Rozejrzała się po pokoju. Był wypełniony solidnymi meblami, książkami w skórzanych oprawkach i indiańskimi wyrobami garncarskimi. Na drewnianej podłodze leżał kolorowy, indiański dywanik.

— Tu będziesz spała.

— Zgadza się, a ty będziesz po drugiej stronie korytarza.

Wyprostował się i szybko wyszedł z pokoju.

Margaret padła jak kłoda. Odwróciła się na brzuchu i przytuliła głowę do jego poduszki. To był jej pierwszy błąd. Poduszka miała szczególny zapach sosny i skóry Andrew. Szybko usiadła.

Była mu naprawdę wdzięczna, że wyrwał ją z czosnkowego uścisku Hootera. Może powinna zrezygnować z walki i po prostu iść do domu. Położyła się ponownie. Dochodziło ją trzaskanie drzwi i łaskoty w kuchni. Owładnęło nią poczucie bezpieczeństwa, odprężyła się.

Głosy pojawiły się niespodziewanie. Kim jest moja matka? To ja. To ja. To ja. Zaciśnęła szczęki i przyciskała ręce do uszu, aż głosy uciszyły się. Wezbrały w niej gniew i determinacja. Wstała z łóżka i poszła do łazienki. Szybko rozebrała się i weszła pod prysznic. Był tylko jeden sposób, żeby zagłuszyć drwiące głosy. I wkrótce go znajdzie, gdy tylko wydostanie się z tego więzienia.

Andrew stał pod drzwiami łazienki ze szklanką gro-gu w ręce. Słyszał szum spadającej wody. Dobrze. Bierze prysznic, to ją zrelaksuje.

Pchnął drzwi i wszedł do środka. Jej sylwetka ostro rysowała się za zasłoną prysznica. Nie, nie miał zamiaru przypatrywać się, ale to było silniejsze od niego.

Przez cienką warstwę przezroczystej, plastikowej zasłony widział zgrabną figurę Margaret. Oparł się o framugę drzwi i patrzył. Oceniał, że tyle jest mu winna.

Była najbardziej nieznośną kobietą, jaką kiedykolwiek spotkał. Co więcej, zabierała dużo czasu. Nie był tak długo z żadną kobietą, chyba że z Trucie, ale ona wygrała dla niego Narodowe Mistrzostwa Umiejętności Psów Myśliwskich. Tennessee Tiffany Trixie. Była dobrym, starym psem myśliwskim. Jednym z najlepszych.

— Oto twój drink.

Margaret Leigh drgnęła i zasłoniła się ramionami. — Wynoś się stąd.

— To moja łazienka.— Wsunął rękę z drinkiem za zasłonę. — Może chcesz, żebym umył ci plecy?

— Nie wstyd ci?

— Wcale. — Potrząsnął ręką ze szklanką. — Mam wejść do środka?

Zakręciła wodę i wyrwała mu szklankę. Nagle coś przyszło mu na myśl.

— Czy ty pijesz, Margaret?

— Cóż to za pytanie? Uśmiechnął się.

— Nie pij za szybko. A jeśli będziesz potrzebować pomocy przy wychodzeniu spod prysznica, po prostu daj znać. Będę za drzwiami.

Pospiesznie zabrał ubranie Margaret Leigh i wyszedł z łazienki. Najpierw chciał powiesić je w szafie, ale rozmyślił się. To było zbyt ryzykowne, mogłaby je znaleźć. Podeszedł do swojego pokoju i schował je. Naga kobieta nie może zająć daleko.

Usiadł na brzegu łóżka z uśmiechem zadowolenia na twarzy. Rozwiązał problem. Znalazł sposób, aby zatrzymać ją przy sobie. Nie mógł spać z nią w jednym łóżku. Wiedział, że jeszcze jedna noc spędzona u jej boku zniszczy albo jego honor, albo jej cnotę. Był tylko człowiekiem. Nie miał żadnych wątpliwości. Margaret była dziewicą. Mój Boże. Dlaczego taka kobieta porusza niebo i ziemię, byleby oddać się pierwszemu, lepszemu mężczyźnie.

Jutro rozwiąże zagadkę. Jeśli Margaret Leigh nie zwierzy się, pojedzie do ciotki Berthy. Ona powinna mu pomóc.

Rozpinał koszulę, gdy usłyszał wołanie.

— Co zrobiłeś z moim ubraniem? — Starannie cedziła słowa. Grog podział.

— Jest w bezpiecznym miejscu. Rano dostaniesz je z powrotem.

— A co teraz?

— Teraz idziemy do łóżka. Musimy się wyspać.

— Jeśli myślisz, że wyjdę z łazienki bez ubrania, jesteś szalony.

Był zachwycony. Kobieta zdecydowana pójść z mężczyzną do łóżka, martwi się tym, że on zobaczy ją nago.

— Wychodź. Zamknę oczy.

— Nie ufam ci.

— Masz rację. Sam sobie nie ufam.

Podeszedł do szafki i wyciągnął szlafrok. Była to pamiątka po romansie z Joyce Latoń sprzed trzech lat. Joyce była piękną kobietą. Jego rodzice mieli nadzieję na małżeństwo, ale on nie traktował tego poważnie. Szybko się nią znudził. Poza tym ona nie lubiła psów.

Uchylił lekko drzwi łazienki i wsunął rękę ze szlafrokiem.

— Co to?

— Szlafrok. Myślę, że będzie dobry.

— To damski szlafrok.

— Zgadza się.

— Myślisz, że będę nosić rzeczy pozostawione przez twoje kochanki.

Zaskoczyła go. Była zazdrosna.

— To przebrzmiała sprawa, ona po to nie przyjdzie.

— Świetnie, w środku nocy byłoby to nie do zniesienia.

— Do licha, Margaret.

— Nie zaczynaj, Andrew. Pamiętaj, że to ty mnie tu przywiozłeś, i to wbrew mojej woli.

Cofnął rękę i zamknął drzwi łazienki.

— Mogłabyś okazać nieco wdzięczności.

— Wpadłam z deszczu pod rynnę, jeśli o to chodzi.

— Jak będziesz tak krzyczeć, obudzisz Christine.

— Ja nie krzyczę.

Kobiety. Dlaczego są tak skomplikowane. Cisnął szlafrok na krzesło, zdjął z siebie koszulę i podał Margaret.

— Proszę. Powinna przykryć to co najważniejsze. Wyrwała ją i zatrzasnęła drzwi, prawie przytraskując mu palce. Po paru minutach zjawiła się w koszuli ze zwisającymi do kolan rękawami. Nigdy nie podejrzewał, że jego koszula może wyglądać tak bardzo sexy.

Miała silne rumieńce, gdy wyszła z łazienki. Przechodząc rzuciła mu przelotne spojrzenie.

— Nie musisz mnie odprowadzać. Znam drogę.

— Dobranoc. Śpij dobrze.

Trzaśnięcie drzwi było jedyną odpowiedzią. Zdjął spodnie i zamierzał wziąć prysznic, wtem przypomniał sobie o ubraniu. Nie mógł ryzykować, mogłaby je znaleźć podczas jego kąpieli.

Wszedł do łóżka zadowolony. Dzięki niemu jeszcze i tej nocy Margaret Leigh będzie bezpieczna. Jeśli ją znał, a tak mu się wydawało, nie odważy się wyjść z domu w męskiej koszuli.

Margaret Leigh przeszła dumnie przez korytarz do gościnnego pokoju. Wsunęła się pod koc i zaczęła układać plany. Andrew McGill nie może jej pokonać. Jak tylko Hooter i James odstawią jej samochód, ucieknie stąd. Odwróciła się na drugi bok i postanowiła zdrzemnąć się na chwilę. Na pewno rozpozna warkot starego samochodu. Oby tylko nie obudził się Andrew.

Otulona koszulą, uspokojona i rozgrzana trunkiem, zwinęła się w kłębek i zapadła w sen.

Bertha usłyszała samochód Margaret Leigh. To był klekot volkswagena, bez wątplenia. Obróciła głowę i spojrzała na zegar przy łóżku. Była piąta rano. Odrzuciła przykrycie i na palcach przeszła przez pokój. Boże, to zamartwianie się o Margaret Leigh wpędzi ją do grobu.

Usłyszała kroki na schodach. Czekala. Kiedy była pewna, że Margaret Leigh jest już w swoim pokoju, poszła na górę. Zawsze gardziła podsłuchiowaniem, ale istniały okoliczności wymagające tego. To właśnie

była jedna z nich. Nie czując wstydu, przycisnęła ucho do drzwi. Margaret Leigh telefonowała.

— Tess, tu Margaret Leigh... tak, wiem, która godzina... nic złego. Nie jestem przeziębiona, ale chyba będę. — Przerwała, aby wytrzeć nos.

Bertha stała pod drzwiami. Nie wiedziała, czy ma wejść do pokoju i pocieszać córkę, czy pozostać na miejscu. Postanowiła zostać i zorientować się, o co tu naprawdę chodzi.

— Tess, dzwonie, aby zasięgnąć rady na temat mężczyzn... Wiem, że mi nie odmówisz. Znasz się na tym... Jak znajdujesz faceta do łóżka?... Przestań przeklinać. Mówię poważnie... No, wiesz, znam tylko starego Harry'ego Coxa... Dobrze... OK... Nie wiem, czy będę mogła to zrobić... Spróbuję... Czuję się świetnie, Tess. Nie martw się... Ja też cię kocham. Do zobaczenia.

Bertha pospiesznie opuściła swoje stanowisko i zeszła na palcach ze schodów. Boże, co się dzieje z jej córką?

Pierwsza myśl, jaka przyszła Andrew do głowy po przebudzeniu, związana była z Margaret. Co się z nią dzieje? Uchylił drzwi i zajrzał do środka. Łóżko było puste. Z początku nie mógł uwierzyć własnym oczom. Stał w drzwiach oniemiały — jego plan zawiódł. Nie był przyzwyczajony do niepowodzeń.

Podszedł do łóżka. Nawet nie wyglądało na to, że ktoś w nim spał. Było w całkowitym porządku. „Bez paniki — powiedział sam do siebie — może jest w kuchni i robi śniadanie.”

Pospiesznie przemierzył cały dom. Dom był mały, więc Andrew szybko obszedł wszystkie kąty, ale Margaret Leigh nie było. Dokąd ona poszła? Na pewno nie do Hootera.

Był tylko jeden sposób, aby to sprawdzić. Idąc do telefonu, spojrzął na zegar. Była dopiero siódma. Nie mogła odejść w środku nocy.

Hooter podniósł słuchawkę po pierwszym sygnale.

— Hooter, tu Andrew.

— Cześć, stary. Jak się miewa twoja ślicznotka dzisiejszego ranka?

Andrew poczuł ulgę. A więc Margaret Leigh nie wróciła do Hootera. Starał się dowiedzieć jak najwięcej.

— Czuję się świetnie. Dzięki za odstawienie samochodu.

— Też coś! Żaden problem. Nie spałem całą noc, grałem z Jamesem w karty.

— Nawet nie słyszałem, kiedy przyjechaliście. Musiało być wcześniej.

— Wyjechaliśmy zaraz po tym, jak James doszczętnie mnie ograł. Przysiągłbym, że oszukiwał.

— O której to było, Hooter?

— Chyba około czwartej trzydzieści.

— Dziękuję, Hooter. Jeśli będę ci mógł kiedyś zrobić przysługę, daj mi znać.

— No cóż, znasz mojego starego psa, Possuma. Zastanawiałem się, czy możesz coś dla niego zrobić.

— Przyrowadź go. Wytresuję go, za darmo.

Hooter wyraźnie chciał porozmawiać o tresurze Possuma, ale Andrew znalazł sposób zakończenia rozmowy. Szybko wyszedł z domu, aby nakarmić psy.

Gdy wrócił, Christine jeszcze spała. Obudził ją, nakarmił i wyprowadził. Zanim wziął prysznic i ubrał się, była prawie ósma. Najgorsze było to, że nie miał samochodu. Jego ogier był świetny do wędrówek po lesie, ale nie mógł jechać na nim do Tupelo. Pozostawało tylko jedno wyjście — zadzwonić do brata.

— Rick, mam do ciebie prośbę.

— Możesz mówić głośniejsze, Andrew? Urwanie głowy! Dziewczynki wrzeszczą, bo mają mokre pieluszki, a chłopcy starają się dolecieć na księżyc rakieta domowej roboty.

— Zbudowali rakieta?

— To ja ją zbudowałem. Każdy chłopiec powinien mieć rakieta.

Andrew zaśmiał się i przeszedł do sedna sprawy.

— Chciałbym pożyczyć corvette, i to szybko.

— Dlaczego się tak spieszysz? Kłopoty z kobietami?

— Skąd wiesz?

— Sam przez to przeszedłem.

Rick przerwał rozmowę. Przechodziła właśnie Martha Ann i chciał ją pocałować. Trudno powiedzieć jak długo by to trwało, gdyby Andrew im nie przerwał.

— Rick! Co z moją sprawą?

— W porządku. Załatwione!

Umówili się, że Rick przyjedzie do Boguefala Bottoni, a z nim jego przyjaciel i niezły mechanik, Alvin Vinny. Andrew weźmie corvette, a Rick zostanie i pomoże w reperacji jego starej półciężarówki. Zamienią samochody, kiedy to będzie możliwe. Martha Ann miała swój samochód, więc Rickowi nie spieszyło się z odbiorem corvette.

Była dziewiąta trzydzieści, gdy Andrew zajechał na Allen Street. Wysiadł z eleganckiego samochodu brata i pospiesznie szedł ścieżką w stronę domu.

Ciotka Bertha przywitała go w drzwiach.

— Dzień dobry. Jestem...

— Wiem, kim pan jest. — Chwyła go za rękaw i pociągnęła do środka. — Niech pan wejdzie.

Andrew wszedł za nią do małego pokoju gościnnego. Była blada, a ciemne obwódki pod oczami nadawały jej twarzy wyraz udręczenia. Usiadła ciężko na krześle, gestem zachęcając go do zajęcia miejsca.

— Proszę usiąść. Przypuszczam, że przyszedł pan w sprawie Margaret Leigh.

Andrew był zdziwiony. Sądził, że ciotka Bertha go nie akceptuje, a oto ona zachowywała się tak, jakby był bohaterem wracającym z wojny.

— Właściwie tak.

— Na razie jest bezpieczna. Wyszła do biblioteki może godzinę temu.

— To dobrze.

— Czy była z panem ostatniej nocy?

— Tak. — Nie widział powodu, aby kłamać. Sam lubił prawdę.

— Czy coś się stało?

— Jeśli ma pani na myśli to, czy z nią spałem, odpowiedź brzmi: nie.

— Dzięki Bogu. — Ciotka Bertha pochyliła głowę i rozplakała się.

Andrew kręcił się na krześle.

— Czy pani powie mi, co się dzieje? Ostatnio Margaret Leigh jest niezwykle zdenerwowana. Zachowuje się tak, jakby stała się zupełnie kimś innym.

Ciotka Bertha podniosła głowę, wycierając łzy wierzchem dłoni. Andrew podał jej chusteczkę.

— Dziękuję. — Wytarła twarz i nos, potem westchnęła głęboko i oparła się na krześle. — W poniedziałkowy wieczór na rodzinnym przyjęciu podsłuchiwała rozmowę kuzynek. Mówiły rzeczy nie przeznaczone dla jej uszu.

— Jakie rzeczy?

— Pomyśli pan, że jestem okropna.

Andrew czuł, jak bardzo jest strapiona. Wstał z krzesła i ukląkł przy niej, biorąc ją z rękę.

— Panno Adams, nie jestem tu po to, aby panią lub kogokolwiek osądzać, ale po to, by pomóc Margaret Leigh.

— Podoba się panu, prawda?

— Tak.

— Czy pan ją kocha?

Andrew nie wiedział, co powiedzieć. To nie pasowało do jego stylu życia. To było coś, o czym wolał nie myśleć. Długo rozważał pytanie. Czy kochał Margaret Leigh?

— Zależy mi na niej... bardzo.

— To wystarczy. — Ciotka Bertha wzięła głęboki oddech i zaczęła opowiadać rodzinny sekret.

Słuchał, nie okazując zdziwienia.

Gdy skończyła, nie wyrażał opinii na ten temat. Otoczył ją ramionami i próbował pocieszyć. W końcu westchnął głęboko i oparł się na krześle.

— Czy pan może pomóc mojej córce, Andrew?

— Spróbuję. Będę dziś po południu w bibliotece. Dotrzymam towarzystwa, gdy będzie wychodziła z pracy i zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby jej pomóc.

— Dziękuję. — Poglaskała go po twarzy. — Cofam wszystko, co kiedykolwiek powiedziałam o mężczyznach w skórzanych kurtkach.

Spokojny, wiedząc, że Margaret Leigh jest bezpieczna, Andrew pojechał do domu. Porozmawiał z Rickiem i jego przyjacielem. Podziękował za zreperowanie forda i zabrał się do pracy. Do późnego popołudnia tresował psy. Był całkiem zadowolony z siły i stylu Rekxa, ale rozczarowany jego umiejętnościami tropienia. Jeszcze będzie musiał sporo popracować nad przygotowaniem go do egzaminu konkursowego.

Pod bibliotekę zajechał o czwartej trzydzieści, pół godziny przed zakończeniem pracy. Ale Margaret Leigh już nie było. Nabral podejrzeń, gdy nie znalazł jej samochodu na parkingu. Ponownie wszedł do biblioteki. Był wściekły — nie powinien jej ufać, ani przez chwilę, zwłaszcza po tym, jak uciekła z domu wczesnym rankiem, mając na sobie tylko jego koszulę.

Pochylił się nad pulpitem do wydawania książek i opanowując wściekłość, uśmiechnął się czarująco.

— Czy pani wie może, dokąd poszła Margaret Leigh? Dziewczyna była młoda, brak jej było pewności siebie. Przygryzła dolną wargę.

— Szczerze mówiąc, nie wiem. Nie chce plotkować. — Ja bym to nazwał osobistą przysługą. Przyrzekłem jej ciotce, że odbiorę ją dziś z pracy — wzruszył ramionami — ale, jak pani widzi, przyszedłem za późno.

— Prosiła o wcześniejsze wyjście. Może nie powinnam tego mówić, ale przypadkowo usłyszałam, jak podczas przerwy na lunch rozmawiała przez telefon z kimś o nazwisku Harry Cox... Mówiła o wesołym miasteczku...

— Dziękuję. Jest pani kochana.

Margaret Leigh stała z Harrym Coxem na środku alei ozdobionej neonami. Jadła kukurydze i przytulała wygraną maskotkę. Nagle spostrzegła Andrew McGilla. Miał na sobie obcisłe dzinsy, skórzaną kurtkę i wyglądał groźnie. Tak zapewne wyglądał Hannibal po przekroczeniu Alp.

Schwyciła Harry'ego za klapy marynarki, plamiąc mu koszule musztardą.

— Chodźmy obejrzeć przedstawienie wybryków natury.

— Mówiłaś mi, że tego nie lubisz.

— Zmieniłam zdanie. — Szarpnęła go mocno. — Chodź, Harry.

Harry Cox spokojnie wytarł musztardę i spełnił jej życzenie. Margaret Leigh była zdenerwowana. Spoglądała mu przez ramię, gdy kupował bilety, potem niemal zaciągnęła go ku krzesłom w ciemnym kącie namiotu. Wiedziała, że Andrew siedzi tuż za nią. Nawet nie musiała odwracać głowy, aby się o tym przekonać. Czula go. To było tak, jakby znalazła się w samym oku cyklonu.

— Cóż za spotkanie, ślicznotko. — Ciepły oddech musnął jej policzek.

Patrzyła przed siebie, nie zwracając na niego uwagi. Pochylił się bliżej, szepcząc jej do ucha.

— Widzę, że się ubrałaś.

Odwrociła głowę, ale pożałowała tego. Była z nim teraz twarzą w twarz, tak blisko, że mogła patrzeć w jego płomienne oczy. Czula prawie smak jego ust.

— Odejdź — wyszeptala.

— Nigdy! — Wskazał głową Harry'ego, który właśnie wychylał się, aby lepiej zobaczyć ciele o dwóch głowach. — Czy on jest następnym obiektem pożądania?

— Cicho, bo usłyszysz.

— To znaczy, że on jeszcze nie wie. Powiedz mu ode mnie, że brać udział w tej grze, to wielka przyjemność.

Andrew oparł się na krzesło. Udawał, że ogląda przedstawienie. Cały czas jednak obserwował Margaret Leigh. Widział, jak cierpi. Kipiała w niej złość, nienawiść i bunt. Chciała zaprzeczyć prawdzie, ale przede wszystkim uparcie i zdecydowanie pragnęła wykonać plan samodestrukcji i zemsty.

— Po moim trupie.

Nawet nie wiedziała, że wymówił głośno swoje myśli, aż mężczyzna, który właśnie wszedł na przedstawienie, zatrzymał się w połowie drogi do krzesła i zapytał:

— Słucham?

— Nic, mówiłem do siebie.

Rozdział ósmy

Margaret Leigh i Harry Cox wyszli z przedstawienia. Andrew szedł krok w krok za nimi. Gdy zatrzymali się, aby wrzucać pieniądze do butelki, zatrzymał się również. Margaret Leigh próbowała zgubić go w Domu Śmiechu, ale bezskutecznie.

Dla Andrew było oczywiste, że Harry Cox nie orientuje się w sytuacji. Margaret Leigh flirtowała z nim bezwstydnie, gładziła dłonią jego kark i przytulała się do niego w tłumie. Biedny człowiek miał nieprzytomne spojrzenie i wyglądał na oszołomionego, jakby nie mógł uwierzyć w niespodziewane szczęście.

Andrew czekał. Nie po to tu był, aby znowu porwać Margaret Leigh, po prostu chciał mieć pewność, że nie wpakuje się w nowe kłopoty. Anioł stróż — to nie była rola, do jakiej przywykł, ale miała swoje zalety. Hałas służył jako inkubator dla jego myśli i cieszył się, że nie musi dzielić ich z nikim. To było wspaniałe obserwować naturę ludzką. Czuł się, jakby był za kulisami teatru i oglądał ludzi grających jakieś role na scenie.

A nikt nie grał lepiej niż Margaret Leigh. Prowadziła grę flirtu, i robiła to nadzwyczaj dobrze. Andrew nie mógł się nadziwić, że to ta sama nieśmiała kobieta, która przysłała do jego domu zeszytej soboty. Sobota wydawała mu się odległą przeszłością.

Harry Cox przeprosił i wszedł do męskiej toalety. Wtedy Andrew wykonał swój ruch. Podeszedł ostrożnie z tyłu i ujął Margaret Leigh za ramię.

— Muszę z tobą porozmawiać.

Odwrociła się. Na jej twarzy odbijały się kolorowe światła karuzeli. Tuż obok dochodziły dźwięki muzyki i śmiech dzieci.

— Zostaw mnie, Andrew. Nie mamy o czym rozmawiać.

Dotknął jej twarzy z wielką czułością i spojrzął głęboko w oczy.

— Wiem, dlaczego uciekasz, Margaret. Odwiedziłem dziś Berthę Adams!

— Nie miałeś prawa!

— Zależy mi na tobie i właśnie to daje mi prawo.

— Słyszałam takie bajki nieraz. To wszystko kłamstwa.

Próbowała się wyrwać, ale Andrew zatrzymał ją gwałtownie.

— Nie rób tego, Margaret.

— Czego?

— Czy myślisz, że nie widzę, jak uwodzisz tego faceta? To, co masz zamiar zrobić, nie rozwiąże niczego. Pozwól, że zabiorę cię do domu.

— Do domu matki? Nie mam zamiaru słuchać jej kłamstw! Dziękuję.

— Każdy ma coś, czego się boi. Uciezka niczego nie załatwi, a odrzucanie tego, co zawsze było dla ciebie cenne, nic nie pomoże. Potem zostanie niesmak i żal.

— Co to ma być? Psychologia amatorska?

— Przyjaźń.

— Nie chcę żebyś był moim sumieniem. Ani doradcą. Idź do domu, Andrew. Wracaj do swoich psów.

Zdecydowanie, ze złością i determinacją w każdym kroku, ruszyła w kierunku męskiej toalety. Andrew pozostało tylko jedno wyjście — wyprzedził ją szybko i wszedł do toalety.

Harry Cox stał nad brudną umywalką i mył ręce. Potem spojrzął w pęknięte lustro i przyglądał rzadkie włosy. Andrew stanął obok. — Jestem Andrew McGill, a Margaret Leigh Jones jego moją dziewczyną.

Uniesione ręce Harry'ego zawisły w powietrzu. Otworzył usta, aby coś powiedzieć, ale nie zdołał.

— Pokłóciliśmy się. Margaret próbowała się zemścić i dlatego umówiła się z tobą do wesołego miasteczka.

— Nie wiedziałem. — Harry przełknął z trudem ślinę.

— Nic nie szkodzi. Myślę, że wyjaśniliśmy wszystko. Zaopiekuję się nią przez resztę wieczoru.

Harry zdecydował się na jedyny odważny krok.

— Skąd mam wiedzieć, że mówisz prawdę? Może jesteś facetem próbującym wejść mi w paradę?

— Margaret Leigh mieszka na Allen Street z ciotką Bertha. Jej mały pies, Christine, nosi różowe wstążki i nie lubi hałasów. Margaret Leigh nie pije, nie pali, a na tańce zakłada niebieską, taftową suknię. Jest niezwykle dumna ze swojej rodziny, zwłaszcza z gubernatora Bena Adamsa. Pracuje w bibliotece. — Pochylił się nad Harrym, po raz pierwszy w życiu robiąc użytek ze swego wzrostu w celu zastraszenia. — Czy to wystarczy?

— Myślę, że tak.

Andrew przestawił Harry'emu Coxowi swój plan i wyszedł. Zastał Margaret Leigh siedzącą na pomalowanej czerwoną farbą ławce.

— Harry nie wyjdzie.

— Nie wierzę.

— Powiedziałem mu, że przejmuję opiekę nad tobą. Pozostanie tam tak długo, aż odejdziemy stąd.

Skoczyła do niego z rękami zaciśniętymi w pięści.

— Jak śmiesz! — Zamierzyła się na niego. Złapał ją za przegub i przyciągnął do siebie. Jego

szczeki zacisnęły się.

— Nie pozwolę, abyś to zrobiła.

— Co? — Próbowała nadać sobie wygląd niewiniątka.

— Nie chce, abyś zaciągnęła biednego, starego Harry'ego Coxa do łóżka.

— Czy on ci to powiedział?

— Nie musiał. To widać.

Zerknęła w stronę toalety. Za chwile ponownie usiadła na ławce.

— On wyjdzie. Poczekam.

— Dobrze. — Andrew usiadł obok. — Poczekamy oboje.

Siedzieli sztywni i chłodni jak dwa pomniki w parku. Jedyne różnica polegała na tym, że ptaki nie siadały im na głowach. Harry Cox stał na palcach i dyskretnie wyglądał z okna toalety. Minęła godzina, a oni ciągle tam siedzieli. Jak długo tak wytrzymają? Badał ich twarze. Andrew był nieugięty, a Margaret groźna.

— On nie wychodzi, Margaret.

— To nie znaczy, że pójdę z tobą do domu. — Wstała. — Na pewno znajdzie się tu gdzieś mężczyzna, który zechce mnie odprowadzić. — Ruszyła ku głównej alei.

Andrew chwycił ją za ramię i zastąpił drogę.

— Zawsze lubiłem takie imprezy. Co teraz zrobimy, kochanie? To nie znaczy, że siedzenie na ławce przez godzinę nie było zabawne, ale może zbyt monotonne, jak na mój gust. Co lubisz? Karuzelę? Diabelskie Koło?

— Nigdy nie byłeś w stanie sprawić mi przyjemności. — Uśmiechnęła się łobuzersko.

Zacisnął zęby. Trzymając ją kurczowo za ramię, kupił dwa bilety na Diabelskie Koło.

Stanęli w długiej, poruszającej się powoli kolejce. Oczekując jazdy, Margaret Leigh zaczęła jawnie flirtować z przystojnym operatorem Diabelskiego Koła. Andrew był zdziwiony, że to go denerwuje. Zanim usiadł i zapiął pasy, uświadomił sobie, że traci panowanie nad sobą. Powstrzymała go tylko świadomość motywów jej postępowania.

Koło zostało wprawione w ruch, a oni rozpoczęli szalony taniec w powietrzu. Margaret Leigh odsunęła się od Andrew, jak mogła najdalej.

— Nie jest ci zimno?

— Nie. Miłość mnie rozgrzewa. — Wychyliła się i przesała całusa nieznanemu.

— Psiakrew, Margaret, czy nie wiesz, że to, co robisz jest niebezpieczne?

— Niebezpieczne życie jest dużo ciekawsze...

— Nie przestaniesz zanim nie dopniesz swego, prawda?

— Właśnie!

Andrew odpiął pas zabezpieczający i odrzucił go. Potem jednym, szybkim ruchem pokonał odległość dzielącą go od Margaret Leigh i przyciągnął ją brutalnie do piersi. Podniósł jej twarz jedną ręką i uważnie przypatrywał się jej z bliska. Była ogromnie zdeterminowana. Przywarł ustami do jej ust.

Usiłowała walczyć, wykręcając twarz na bok.

— Co ty wyprawiasz?

— Będę twoim pierwszym mężczyzną, Margaret.

— Nigdy. — Spojrzała na niego płomiennym wzrokiem. — W żadnym wypadku nie pozwolę na to.

— Jesteś dziewczcą.

— Skąd wiesz?

— Po prostu wiem. — Próbowала wykręcić mu się jeszcze raz, ale chwycił jej twarz w dłonie. — Nie zamierzam siedzieć spokojnie i patrzeć, jak jakiś niezdarny głupiec będzie cię obłąpywał.

— Nie pójdę z tobą do łóżka, nawet gdybyś był ostatnim mężczyzną na świecie.

— Zmuszę cię do zmiany decyzji.

Zabrał się do tego od razu. Diabelkie Koło obracało się wolno przy wtórze muzyki. Światła neonów odbijały się na ich twarzach wszystkimi kolorami tęczy. Andrew McGill całował Margaret Leigh nieustannie i pieścił tak, że poczuła się zupełnie bezsilna. Udowadniał jej, że nie może odrzucić jego oferty. Powtarzał to sobie w myśli, upajając się słodyczą jej ust.

A ona pozostawała wierna sobie, ale nie potrafiła się już dłużej opierać. Nie wiedziała, co się z nią dzieje. Nie mogła powstrzymać się od omdlewania, przytulania się aż do utraty tchu.

Powiedziała sobie, że może jeszcze nie teraz, ale skończy z tym, gdy będzie tego chciała. Pojedzie z Andrew do jego domu lub dokądkolwiek

zechce. Pozwoli rozebrać się, a nawet położyć do łóżka. Poczekaj do momentu, aż będzie rozpalony i spragniony, i wtedy zemści się. Wstanie i odejdzie.

Jeszcze mu pokaże. Pokaże im wszystkim. Nie potrzebowała nikogo, zupełnie nikogo, tylko obcego człowieka bez twarzy, który pomógłby jej przejść przez to wszystko. Operator Diabelskiego Koła wydawał się odpowiedni. Wróci do wesołego miasteczka, jeśli nie tego wieczoru, to następnego. Zresztą, wesołe miasteczko przyjechało tu na tydzień. Będzie miała tydzień dzikiej, bezmyślnej namiętności i gorącego, niewyszukanego seksu. A potem następny tydzień... Nie wiedziała, jak przeżyje następny tydzień, ale coś wymyśli. Może wyruszy w egzotyczną podróż morską lub po prostu spakuje torbę i wyjedzie autobusem poza miasto, albo jako kochanka tego mężczyzny ucieknie stąd na zawsze.

Nawet nie zauważyła, kiedy koło zatrzymało się. Otulona ciasno ramionami Andrew opuściła wesołe miasteczko. Jak we mgle wsiadła do samochodu i pozwoliła zawieźć się do jego domu.

Podczas jazdy nie mówili nic. Zbyt byli zajęci myśleniem o tym, co się wydarzy.

Ponościł szlachetną ofiarę. Miał zamiar dać się wykorzystać Margareet Leigh, aby wyrwać ją z rąk jakiegoś głupca. Postanowił być jej nauczycielem i przewodnikiem. Delikatnie wprowadzić ją w świat miłości. A gdy już się to stanie, gdy już nie będzie miała powodu zastanawiać się, czym jest miłość lub czy ona może ukoić ból, chętnie pozwoli jej zostać w swoim domu, aż dojrzeje do pogodzenia się z ciotką Bertha. Pomoże jej przejść przez ten trudny okres. A gdy już odzyska równowagę ducha, wróci do tresury psów i spokojnych, sobotnich poranków.

Zaparkował półciężarówkę pod drzewami i spojrzał na Margaret. Jej twarz była blada w księżycowej poświacie.

— Jesteśmy na miejscu, Margaret. Oto mój dom.

— Czy przywozisz tu wszystkie dziewczyny?

— Nie. Tylko wyjątkowe.

Przez chwilę wyobraziła sobie, że jest najatrakcyjniejszą kobietą na świecie, a okoliczności są zupełnie inne. Otoczyła mu szyję ramionami.

— Czy ja jestem wyjątkowa? — Zamknęła oczy, podnosząc ku niemu twarz.

Ustami musnął jej powieki i policzek. Odchyliła głowę, a on pocałował ją jeszcze raz. Zawsze wiedział, że praktyka tworzy mistrza, ale nigdy jeszcze nie zaznał takiej rozkoszy, jak teraz, gdy całował gorące,

soczyste, spragnione usta Margaret Leigh. Cały ogień, nagromadzony w niej przez lata, wybuchnął teraz płomieniem żarliwej namiętności, która rozpałała Andrew.

Pocałunki stały się głębokim, zaborczym preludium miłości. Gdyby to była jakakolwiek inna kobieta, a nie Margaret Leigh, zrobiłby to w samochodzie. Jak to możliwe, że czuł się oszołomiony przy kobiecie, którą jedynie zamierzał ratować? Odsunął się od niej i próbował zobaczyć jej twarz w ciemności. Była blada.

— Margaret Leigh, możesz się wycofać. Powiedz tylko słowo, a odwiozę cię do domu... dokądkolwiek zechcesz. — Czule głaskał jej policzki. — To nie znaczy, że nie pragnę ciebie. Jesteś śliczną, atrakcyjną kobietą. Lecz chcę, żebyś wiedziała, że to ty jesteś panią sytuacji. Powiedz nie, a przestanę.

— Kochaj mnie.

Bez słowa wyszedł z samochodu, wziął ją na ręce i zaniósł do domu. Wewnątrz było ciemno. Ani jedna lampa nie oświetlała drogi do sypialni. Jego kroki rozbrzmiewały głośno, gdy szedł wzdłuż korytarza.

To był najdłuższy spacer w życiu Margaret Leigh. Otulona ramionami Andrew, pod osłoną ciemności, czuła się tak, jakby rozpoczęła długą podróż do dalekiego i tajemniczego królestwa. Słyszała jego ciężki od namiętności oddech i swój własny, płytki, urywany.

Przywarła do jego piersi. Kiedy poczuła mocne, umięśnione ciało pod materiałem koszuli, odzyskała poczucie rzeczywistości. W innym wypadku mogłaby sądzić, że znajduje się w środku jednego z najbardziej nierealnych, romantycznych snów.

Andrew wszedł do sypialni. Pokój był ciemny, za wyjątkiem plamy światła księżycowego na łóżku. Opuścił ją na ten krąg jasności.

— Wyglądasz, jakbyś należała do tego miejsca — szepnął.

Nie mogła wypowiedzieć słowa. Była prawie sparaliżowana. Nie było w niej strachu ani złości, a właśnie tego się spodziewała. Nigdy nie przypuszczała, że bezsilność, która nią owładnęła, może wynikać z oczekiwania na to, co ma się zdarzyć.

Andrew pochylił się jeszcze bardziej. Widziała teraz jego twarz całkiem blisko. Księżyc oświetlił jego oczy — takie czyste i jasne, że prawie trudno było w nie patrzeć.

— Chcę cię uczyć, Margaret. — Pieścił jej twarz i szyję. — Gdy mężczyzna i kobieta spotykają się, nie jest to po prostu spotkanie ciał, to jest spotkanie serc, umysłów i dusz.

Jego głos był czuły aż do bólu. Sprawiał, że nieomal zapomniała o swoim planie. Roztaczał nad nią urok, a ona trwała w zachwycie.

— Miłość jest najlepsza, gdy się nią delektuje. Chcę upajać się tobą, śliczna, i nauczyć cię upajać się mną.

Pozwoliła mu zsunąć z siebie płaszcz. Obserwowała, jak ostrożnie kładzie go na krześle. Na ile może mu pozwolić? Ile jeszcze potrwa rozbieranie, zanim Andrew będzie w stanie nieokiełznanej, niepohamowanej namiętności? Teraz całkowicie nad sobą panował. Myślała, że seks będzie czymś innym. Wyobrażała sobie, że podciągnie jej spódnicę do góry i rozpocznie szaloną, seksualną przygodę. Myślała, że będzie mogła spokojnie czekać, aż przyjdzie czas, żeby wyjść i zostawić go w stanie nienasyconia.

A to ona była nienasycona, to ona pragnęła jego głosu, jego oczu, jego dotyku — była oczarowana tym wszystkim. Był znów przy niej, rozpiął sukienkę i opuszczał ją wolno wzdłuż ramion, a ona czuła, jakby jej ciało nagle stało się skrzypcami, a Andrew wirtuozem. Pieścił ją tylko palcami, z niezwykłą delikatnością, a ona cała wibrowała muzyką jego dotyku.

Wyszeptał jej imię — Margaret — tak bardzo miękko. Spojrzała mu w oczy i wiedziała już, że nie może się odwrócić. Nie tej nocy. Może nigdy. Przyjmie to, co jej ofiaruje w każdych okolicznościach. To nie miało znaczenia, że on tylko udzielał lekcji. Straciły też znaczenie śluby, że nigdy nie będzie się z nim kochać. Nic się nie liczyło oprócz tego momentu i pięknej symfonii, stworzonej przez magiczne dotknięcie mistrza.

Podniosła ku niemu ramiona.

— Jestem tu, Andrew. Kochaj mnie.

Do tego momentu Andrew myślał, że ratuje ją ze szpon nieznajomego. Myślał, że spotkanie w jego łóżku będzie podobne do wielu innych, ot, krótka wymiana przyjemności między dwojgiem ludzi, bez większych wzlotów. Nagle uświadomił sobie, że wcale nie jest szlachetny, nie jest żadnym bohaterem ani rycerzem w błyszczącej zbroi. Jest śmiertelnie zakochany.

Szukające odkrycie sprawiło, że znieruchomiał. Dopiero po chwili nachylił się i spojrzał na nią. Patrzył głęboko w jej piękne oczy zastanawiając się, kiedy się zakochał, i jak mógł być tak ślepy.

— Moja kochana. Moja słodka. — Przyciągnął ją do siebie i ułożył w ramionach. Z twarzą w jej pachnących włosach, szeptał melodyjnie. — Aż do chwili, gdy cię poznałem, nie wiedziałem, co naprawdę znaczy

słowo „zachwyty”. Nigdy nie wiedziałem, że można czcić przelotny obraz kobiety, czuć rozkosz na widok ciemnych, mahoniowych włosów lub delikatnej linii policzka.

Kołysał delikatnie jej ciałem, przytulonym ciasno do niego. — Nie sądziłem nigdy, że kobieta w niebieskiej sukni z tafty, spełni wszystkie moje sny. Czulem, że nic nie da mi większej rozkoszy, niż twoje soczyste wargi.

Przez moment trwał w milczeniu. Zachwycał się cudem bycia zakochanym. Zawsze było w życiu Andrew tak, że poruszał się z absolutną pewnością siebie. Teraz wypełniały go wątpliwości. Jak może kochać się z nią w tych okolicznościach. Wykorzystywała go, aby zapomnieć. Wierzyła, że on udziela jej lekcji. Ale jak mógł pozwolić, aby odeszła? Uważałaby to za odrzucenie lub coś gorszego. A jeśli zadeklaruje swoją miłość, ona pomyśli, że to tylko element prowadzonej przez niego gry.

Wziął jej prawą dłoń i złączył palce. Potem ścisnął mocno, jakby nie chciał dopuścić do jej odejścia. Nie, nie pozwoli na to. Nie będzie niczego gmatwać, wyjaśniać, bo Margaret ucieknie w ramiona innego mężczyzny.

Zamknął na chwilę oczy i modlił się o mądrość. Pragnął, aby ta noc była dla Margaret Leigh piękna. Położyła się. Andrew rozebrał się szybko i położył obok. Był nagi.

— Dotknij mnie, Margaret. — Wziął jej rękę i prowadził po owłosionej piersi. — Poznaj moje ciało.

Czuł jej przyspieszony oddech. Nie cofnęła ręki. Jej palce nieśmiało błądziły po jego piersiach. Serce Andrew waliło jak młot z siłą, która go zaskakiwała. Myślał, że sypialnia nie ma już dla niego żadnych niespodzianek. Mylił się. Teraz czuł się jak uczeń tuż przed wtajemniczeniem w rozkosze ciała.

— Zobacz, co ze mną robisz. — Przykrył jej rękę własną i poprowadził niżej. Ręka zadrżała, potem znieruchomiała. Gdy otoczyła najwrażliwsze miejsce, wciągnął gwałtownie powietrze. Drżał pod jej dotknięciem. — Posiadasz tę moc, Margaret, aby uczynić mnie instrumentem twojej rozkoszy.

Jego ręce musnęły wygięcie kształtnych bioder Margaret.

— Pozwól mi się dotykać. Pozwól mi poznać twe ciało.

— Proszę. — Odchyliła głowę, a gdy ogarnęła ją rozkosz, jej ciało zaczęło falować.

— Poczekaj, kochana. Teraz już czas. — Zdjął jej halkę. Miała piękne ciało, wąską talię i małe piersi, długie nogi i zgrabnie wyrzeźbione biodra. Objął jej talię, potem przesunął ręce do góry, aby objąć jej piersi — były jędrne i twarde. Uśmiechnął się z uznaniem. Margaret Leigh była kobietą stworzoną do miłości. Miała wrodzoną zmysłowość, której brakowało wielu kobietom.

Czuł, że pożądanie wymyka się mu spod kontroli. Opanował się wielką siłą woli. Gdyby teraz rozpoczął akt, bez dalszej gry wstępnej, zniszczyłby jakąkolwiek szansę ofiarowania jej rozkoszy.

Delikatnie przesunął rękami po jej ciele, pozwalając, aby oswoiła się z jego dotykiem. Gdy zaczynała się odprężyć, odpiął jej stanik i rzucił na podłogę. Całował ją namiętnie. Poruszyła się gwałtownie, zadrżała jęcząc.

— Jesteś taka piękna.

Pieszcząc ustami i językiem jej piersi, wodził rękami po udach. Przez jedwabne majteczki czuł gorąco. Z ulgą wsunął rękę do środka i odszukał jego źródło. Odrzuciła biodra ku górze.

— Spokojnie, kochana. Nie ma pośpiechu.

Uniósł się na łokciu i obserwował jej twarz, delikatnie sięgając palcami w głąb jej ciała. Z początku ujrzał zaskoczenie, a potem nieśmiały uśmiech rozkoszy.

— Gdy mężczyzna i kobieta kochają się, istnieje wiele sposobów dania sobie nawzajem radości.—Jego palce zagłębiły się w jej ciało.

Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

— Andrew?

— Chcesz, żebym to robił, kochanie?

— Proszę...

Dla Margaret Leigh cała rozkosz skupiała się w tym jednym miejscu, które wolno budziło się do życia pod wpływem mistrzowskich zabiegów Andrew. Doznawała uczucia, że dopiero teraz rozpoczęła prawdziwe życie. Była płynna jak gorący miód nalewany z dzbanka. Każde zakończenie nerwowe, każdy mięsień, każda cząstka jej ciała odżyła. Do tej chwili była lunaticzką udającą żywą istotę. Z Andrew istniała naprawdę. Była świadoma każdego, najmniejszego nawet ruchu jego ciała. Czuła zapach lawendy i skóry, róż i sosny.

— Andrew... proszę. Jego palce znieruchomiały.

— Proszę, przestań? Niiiee...

Nagle naprężyła się i krzyknęła ze zdumienia. Usiadł, przyciągając ją do siebie, i utulił w ramionach.

— Ach, Andrew.

— To nie wszystko, moja śliczna. Tak dużo jeszcze przed nami. — Uspokajał ją, odgarniając włosy z wilgotnego czoła, przebiegając rękami lekko po jej plecach.

— Chcę tego.

— Czego chcesz, Margaret?

— Chcę wszystkiego.

Nawet teraz, nawet po chwili intymności, którą wspólnie przeżyli, potrzebował jej zgody na ciąg dalszy. Chciał usłyszeć, że go pragnie. To było małe zadośćuczynienie za nieodwzajemnioną miłość, ale to wystarczyło. Przynajmniej na tę noc.

Położył się, pociągając ją za sobą. Gdy już leżeli, zwróceni ku sobie twarzami, ujął jej rękę i poprowadził tam, gdzie była jego męskość. Pieścił ją długimi, zmysłowymi ruchami, poprzez piersi, biodra, uda, zwiększając tempo, budując napięcie, aż wyciągnęła ku niemu ręce, jęcząc z rozkoszy.

Jeszcze raz przycisnęła się do niego ze wszystkich sił, szukając wyzwolenia od ognia, jaki w niej płonął. Była przepelniona uczuciem cudowności, czaru i muzyki. I pytaniami. Małeńka część jej umysłu, ciągle uporczywie trzymająca się rzeczywistości, wołała: dlaczego ciotka Bertha ostrzegała przed seksem? Jak coś tak pięknego może być uważane za grzech i upadek?

Poczuła łagodną inwazję, gorące, jedwabiste ciało przeniknęło do wnętrza jej ciała. A poprzez mgłę rozkoszy usłyszała głos Andrew:

— Nie chcę cię skrzywdzić, Margaret.

— Ty nigdy...

— Ciii... — Dotknął jej ust koniuszkami palców. — Za pierwszym razem zawsze trochę boli.

Była szalona pożądaniem, pragnieniem poznania, odczuwania go głęboko w sobie. Uniosła biodra, dążąc do całkowitego zjednoczenia.

— Proszę... Andrew...

— Będę delikatny.

Powoli wniknął w jej ciało i nagle poczuła błysk bólu. Jej plecy wygięły się, cała zesztyniała.

— Odpręż się, kochanie. Już po wszystkim.

— Już?

Rozczarowanie zmieniło jej głos, a potem ukazało się na twarzy.

— Ta trudna część. — Zaczął się poruszać, powoli wnikając coraz głębiej. — To, co najlepsze właśnie się rozpoczyna.

Początek był ekstazą. Najpierw leżała pod nim spokojna i uległa. Potem wczuła się w melodię miłości i zaczęli tańczyć razem w rytm muzyki, którą tylko oni słyszeli. I nagle taniec przestał wystarczać. Poczuła narastające w sobie napięcie, dziką bestię domagającą się ujarznienia. Jej ręce zacisnęły się w pięści, a pot wystąpił na czoło.

— Wiem, kochanie. Wiem. — Ustami dotykał jej policzka, brwi, włosów. — Chodź ze mną.

— Wszędzie.

Muzyka zamieniła się w szaleństwo. Zanurzeni w namiętym rytmie tańczyli coraz szybciej, coraz intensywniej, aż do upojenia i zawrotu głowy.

— Tak, o, tak. — Zamknął oczy i odrzucił w tył głowę.

Wykrzyknęła jego imię. Potem przyszło wyzwolenie, słodkie i gorące. Odprężyła się, a on leżał na niej dysząc.

Uwolnił ją od swego ciężaru, podpierając się na łokciu tak, aby widzieć jej twarz. Była zroszona potem i błyszcząca szczęściem kobiety, która właśnie zaznała spełnienia. Wezbrała w nim cała miłość, jaką do niej czuł. Chciał jej to powiedzieć. Pragnął wypowiedzenia słów Kocham cię. Ale ona mu teraz nie uwierzy. Nie w tych okolicznościach. Stłumił jęk. Co on zrobił? Ratując ją, zniszczył siebie.

Margaret Leigh przyjęła jego milczenie jako dezaprobatę. Czy aż tak było mu z nią źle? Czy była taka niezręczna, że aż zaniemówił? Jej oczy wezbrały łzami, zacisnęła je, aby powstrzymać płacz. Nie będzie wymazywać swych grzechów płaczem. To, co ona uważała za cudowne, według niego mogło być niewarte jednego słowa.

Westchnęła ciężko, potem otworzyła oczy.

— Chcę iść do domu.

— Teraz?

— Tak. Teraz.

Poczuł ogromny ciężar, ale podniósł się z łóżka. Spojrzał na nią z góry. Ból, jaki zobaczył w jej lawendowych oczach, był zbyt wielki do zniesienia.

— Magg... — zamilkł. Jak mógł powiedzieć „przepraszam”? Po tym, co się stało? Pomyślałaby, że żałuje wspaniałych uniesień, pocałunków, tego wszystkiego, co przed chwilą jej ofiarował.

— Tak? — Czekala, mając nadzieje na jedno słowo, które przekonałoby ją, że to, co robili i dla niego było ważne.

Wytrzymał jej spojrzenie przez chwilę, która dla niego trwała wieczność. Potem odwrócił się.

— Zawiozę cię do domu. — Zebrał swoje rzeczy i ruszył ku drzwiom.
— Daj mi znać, jak będziesz gotowa.

Drzwi zamknęły się. Zacisnęła ręce w pięści i przycisnęła mocno do powiek.

— Nie pozwolę, aby widział moje łzy. — Odwróciła się, wciskając twarz w poduszkę.

Otoczył ją zapach Andrew. Oddychała głęboko, wchłaniając jego istotę całą duszą. Lekko pogładziła j poduszkę dłonią. To tutaj kładzie głowę. To tutaj śni. Czy kiedykolwiek będzie śnił o niej? Nigdy nie będzie takiej nocy, żeby ona nie marzyła o nim. Słumiła jęk.

Był jej pierwszym mężczyzną i będzie ostatnim. Andrew miał rację. Między kobietą i mężczyzną istniało coś więcej niż seks. To była miłość.

Nagle poczuła mdłości. Usiadła i zwiesiła głowę między kolanami. Poczła zawrót głowy. Co ona zrobiła? Wykorzystała Andrew, żeby zapomnieć, ale robiąc to, zniszczyła jakąkolwiek szansę na miłość.

Wyciągając rękę po ubranie, poczuła ciężar swego ciała. Ubrała się szybko, pragnąc opuścić miejsce występku. Otworzyła drzwi i wyjrzała na korytarz.

— Jestem gotowa, Andrew.

Nie było odpowiedzi. Wyszła z sypialni i znalazła go siedzącego w swoim pokoju, w ciemności. Trzymał na rękach Christine. Odwrócił się, gdy usłyszał jej kroki.

— Pomyślałem, że możesz także zabrać Christine. Zakończyłem tresurę, !

— Czy zakończyłeś także moją tresurę, Andrew?

Nie chciała tego powiedzieć, ale słowa wymknęły się, zanim zdołała je zatrzymać. Wstał, i nawet w ciemności mogła zauważyć, jaki był wściekły.

— Czy tak to nazywasz, Margaret?

— Tak — powiedziała, chociaż jej serce pragnęło zaprzeczyć kłamstwu.

— W takim razie uważam, że zostałaś przeszkolona. — Dumnie przeszedł przez pokój i wręczył jej pudła. Gdy ich ręce otarły się o siebie, poczuła dotknięcie jakby rozpalonym żelazem. Chciała chwycić jego rękę i przyłożyć ją do ust, błagać o przebaczenie, zrozumienie. Zamiast tego przyjęła w milczeniu pieska.

— Wiesz wszystko, co trzeba wiedzieć o seksie, Margaret, ale miłość to inna sprawa. — Ruszył do drzwi, rzucając przez ramię: — Chodź, robi się późno.

Rozdział dziewiąty

Siedziała skruszona w starej półciężarówce Andrew. Cisza, która panowała w samochodzie, mroziła ją do szpiku kości. Gdyby nie małe, ciepłe ciało Christine, chyba zamarzlaby na śmierć.

Dojechali do domu przy Allen Street. Siedzieli nadal w ciemności, ciągle bez słowa. Spojrzała na niego ukradkiem. Ręce miał zbielejące od kurczowego trzymania kierownicy, a szczęki zaciśnięte.

Poczuła znów zawrót głowy, walczyła sama ze sobą. Najchętniej położyłaby głowę na kolanach. W końcu Andrew przerwał złowrogą ciszę.

— Czy jesteś gotowa, żeby wejść do środka?

— Tak.

— I nie będziesz szukać wrażeń?

Obróciła się ku niemu z wściekłością wypisaną na twarzy.

— Nie jestem kobietą, która skacze z kwiatka na kwiatek.

Dwuznacznie się uśmiechnął i szybko wyszedł z samochodu, aby otworzyć jej drzwi. Lekko dotknął jej łokcia i poprowadził ścieżką do domu. Bertha zostawiła światło na werandzie. Nadawało ono bladej twarzy Margaret Leigh niemily, żółtawy odcień.

Coś w Andrew drgnęło. Objął jej talie i w przyjaznym uścisku przytulił Margaret do siebie.

— Pogódź się z Berthą. I ze sobą. — Zamknęła oczy, aby powstrzymać napływające łzy. — Uciezka nie rozwiąże problemu. Na krótko zapomnisz o bólu.

Mocno przygryzła dolną wargę, to pomogło powstrzymać łzy.

— Czy skończyłeś już lekcję, Andrew?

— To wcale nie była lekcja.

— W takim razie ja jestem królową Sabą. — Nagłym ruchem wyrwała się z jego ramion. Usiłowała włożyć klucz do zamka drzwi frontowych.

— Pozwól. — Chwyił jej drżącą rękę i wprowadził klucz.

Otworzyła drzwi i wśliznęła się do środka.

— Spij dobrze, Margaret.

Udała, że go nie słyszy. Zamknęła drzwi i oparła się o nie. On ciągle tam był. Nie musiała tego sprawdzać. Wiedziała, że tam jest. Całe ciało odbierało fale, jakie do niej wysyłał. Czułaby jego obecność na stadionie wypełnionym dziesięcioma tysiącami ludzi.

— Koniec — wyszeptwała. — Wszystko się skończyło. Christine zaskomlała, Margaret Leigh pogłaskała ją

za uszami.

— Jesteśmy same, moja maleńka. Myślę, że trzeba z tego zrobić jak najlepszy użytek.

Zaniosła butelkę do kuchni, rozwiązała obwisłe wstążki i ułożyła w koszyku.

— Obie byłyśmy tresowane przez mistrza, Christine. Mały piesek wtulił się w posłanie z psim uśmiechem na pyszczku i od razu zasnął.

Sen nie przyszedł łatwo. Margaret Leigh, na górze w swojej sypialni, odmierzała krokami pokój. Wreszcie, wyczerpana napięciem rozebrała się, rzucając ubranie niedbale na krzesło. Stojąc w halce, przeciągnęła rękami wzdłuż ciała. Zajęczała w ciemności, wymawiając jego imię.

— Andrew... Andrew... Andrew...

Jak w transie podeszła do szafki i wyciągnęła jego koszulę. Narzuciła ją na siebie i mocno przytuliła do ciała. Weszła do łóżka. Ogarnęło ją słodkie wspomnienie minionej nocy. Jej ciało reagowało tak, jakby leżał przy niej.

Wszystkie ostrzeżenia Berthy brzmiały w jej głowie, a ona wiedziała już, że były fałszywe. Tak fałszywe, jak pozostałe opowieści „kochanej cioteczki”. A sam seks... Chciała bezmyślnej namiętności i połączenia ciał, a to, czego doznała, było czymś zupełnie innym. Z Andrew seks był słodki, czuły i gorący, był piękną symfonią, wszechogarniającą i majestatyczną.

Wiedziała też, że nie mogłaby znaleźć się w łóżku Harry'ego Coxa lub Hootera, ani też żadnego innego mężczyzny. Teraz uświadomiła sobie, jaka była dziecinna i głupia.

Miała trzydzieści dwa lata, ale pod wieloma względami była ciągle szesnastolatką. Przypuszczała, że to klasztorna młodość przyczyniła się do tej naiwności, a także metody wychowawcze Berthy.

Jestem twoją matką. Zakryła uszy, aby nie słyszeć tego głosu. Potem wolno opuściła ręce. Nie może przecież ciągle uciekać przed prawdą. Musi stawić czoło ciotce Bercie. Ale najpierw powie o wszystkim Tess.

Telefon zadzwonił o piątej rano, budząc Andrew z niespokojnego snu. Od razu pomyślał o Margaret Leigh. Całkowicie rozbudzony podniósł słuchawkę.

— Andrew, tu Colter.

Andrew przeciągnął ręką po włosach, dziwiąc się, dlaczego szwagier dzwoni tak wcześnie.

— Colter, czy coś się dzieje z Jo Beth?

— Czuje się wspaniale. Ja też. Wszyscy czujemy się świetnie. — Głęboki śmiech Coltera rozbrzmiewał w słuchawce. — Mamy bliźniaki, urodziły się dwadzieścia minut temu. Mój syn waży trzy kilo, a córka dwa i pół. Jest piękną blondyneczką, bardzo podobną do matki.

— Bliźniaki! To fantastycznie. Jesteś pewny, że wszystko w porządku?

— Absolutnie. Poród przeszedł doskonale, szkoda, że tego nie widziałeś, Andrew. Wszyscy zachowali się po mistrzowsku.

— Mówisz jak lekarz.

— Mówię jak dumny ojciec. Czy możesz powiedzieć Silasowi i Sarze? Wasi rodzice na pewno ucieszą się z wnuków. Pomyślałem, że będzie najlepiej, jak ty im o tym powiesz, a ja zadzwonię do Ricka.

— Poczekaj do wschodu słońca. Obudzenie dzieci o tej porze byłoby podobne do rozpuszczenia gniazda szerszeni na orkiestrę dętą.

— Czy jest aż tak wcześnie? Nawet nie zauważyłem, która godzina. Powiedz Silasowi i Sarze, że chcielibyśmy w ich domu urządzić chrzciny. Przyjedziemy, jak tylko Jo Beth i maleństwa będą mogły podróżować.

— Powiem. Ucałuj ode mnie Jo Beth. Powiedz, że porozmawiam z nią, jak tylko odzyska siły.

Andrew odłożył słuchawkę, ubrał się i poszedł do kuchni. Otworzył piwo i usiadł w najbardziej mrocznym kącie. Siedział samotnie w ciemności, pocieszając się smakiem gorzkiej piwa prosto z butelki i rozmyślał, choć to nie było wcale w jego stylu. Myślał o swojej przegranej. Stracił Margaret Leigh. Tej nocy stracił szansę, jaką mógł jeszcze u niej mieć. Ona nigdy nie uwierzy, że z jego strony było to prawdziwe uczucie, a nie udzielanie lekcji. Nie uwierzy, że zrobił to z miłości. Tkwił w tym niezwykłym dla siebie stanie ducha tak długo, że nie zauważył wschodu słońca. Gdyby nie ujadanie głodnych psów, nie wiedziałby nawet, ile czasu spędził na rozmyślaniach.

Znając wrażliwość psów, nie mógł pójść do nich w tak posępnym nastroju. Pomyślał o noworodkach Jo Beth. Nie chciał, aby jakkolwiek niepokój lub negatywne uczucia przeszkodziły w przygotowaniu psów do zawodów.

Psy kręciły się, uderzały ogonami i lizały mu ręce na powitanie. Te dowody przyjaźni poprawiły mu humor. Znowu pomyślał o maleństwach. To jeszcze bardziej dodało mu otuchy. Przypomniał sobie rolę, jaką odegrał w rozpadającym się małżeństwie siostry. „McGill nigdy nie rezygnuje” — powiedział Jo Beth, gdy myślała już, że straciła Coltera.

— Słyszycie, McGill nigdy nie rezygnuje!

Okrzyk wystraszył wiewiórkę schodzącą z pobliskiego dębu. Pisnęła przeraźliwie i uciekła, chowając się w gałęziach drzewa.

Pogwizdując Andrew obszedł dom i stanął w miejscu, gdzie rosły własnoręcznie sadzone kwiaty. Grządki były trochę zaniedbane, ale udało mu się znaleźć parę okazałych chryzantem. Zerwał naręcze i poszedł do domu, nie przestając gwizdać.

Teraz pozostawało tylko iść w zaloty. Ale tym razem zrobi to jak należy. Najpierw przeprosi Margaret Leigh, że tak szybko i bez pardonowo wziął ją do łóżka. A potem przekonają o swojej miłości. To jest możliwe i on to robi.

Ale najpierw dotrzyma przyrzeczenia danego Colterowi. Odwiedzi rodziców i powie im o nowo narodzonych wnukach.

Gdy dojeżdżał do małego domku na Allen Street, słońce był już wysoko, a jego bukiet wyglądał nieco mniej świeżo. Próbował przywrócić kwiatom ich poprzedni wygląd.

— Podnieście główki do góry, idziemy w zaloty.

Wysiadł z samochodu. Bertha otworzyła drzwi. Miała ciągle podkrążone oczy i wyglądała, jakby straciła pięć kilo na wadze. Stała nieruchomo, trzymając klamkę tak mocno, że niebieskie żyły wystąpiły na jej dłoni.

— Nie ma jej tutaj — powiedziała, zanim zdążył zapytać.

— Czy jest w pracy?

— Nie. Zadzwoiła do kierownika biblioteki wcześniej rano. Poprosiła o parę dni urlopu.

— Czy mogę wejść?

— Oczywiście. Zna pan już skandal rodzinny. Myślę, że nic nie stoi na przeszkodzie, aby poznał pan resztę.

Andrew ścisnął bukiet, a potem wypuścił go z rąk.

— Czy coś się stało Margaret?

— Ona chyba zwariowała. Była całą noc poza domem, przypuszczam, że była z jakimś mężczyzną w łóżku.

— Była ze mną w łóżku, a to dlatego, że ją kocham.

— Obiecał pan, że nie stanie się jej żadna krzywda.

— Myślę, że skrzywdzono ją dawno temu.

— Och...

Ręka Berthy powędrowała do piersi. Mogła zawsze wymówić się chorym sercem, ale od Andrew McGill nie było ucieczki. Wyglądał na człowieka, który nie tolerował żadnych wymówek.

— Kochałam ją. Zrobiłam to, co uważałam za najlepsze dla niej.

— Ja również. Wydaje mi się, że oboje popełniliśmy błędy. Gotów jestem naprawić swój. Może mi pani powiedzieć, gdzie ona jest?

— Pojechała do Chicago. Dzwoniła na lotnisko wcześniej rano. Przypuszczam, że jest u Tess. Przyniosę adres.

Wyszła, a po chwili była już z powrotem z adresem Tess Jones Flannigan Carson O'Toole. Podała kartkę Andrew.

— Proszę jej powiedzieć, że ją kocham.

— Powiem.

Tess i Margaret Leigh, przebrane do snu, siedziały wygodnie, obserwując grę świateł nad Jeziorem Michigan. Nagle zabrzmiał dzwonek domofonu.

— Kto tam? — zapytała Tess.

— Andrew McGill.

Margaret Leigh zeskoczyła z sofy, otulając się szlafrokiem po samą brodę.

— Powiedz mu, że mnie nie ma.

Tess spojrzała w twarz siostry. Za chwilę powiedziała do słuchawki domofonu:

— Może pan wejść, panie McGill.

— Dlaczego to zrobiłaś, Tess?

— Jesteś w nim zakochana.

— Wcale tego nie powiedziałam.

— Nie musiałaś. Widać to na pierwszy rzut oka.

— Nie zakochałabym się w Andrew nigdy, nawet gdyby był jedynym mężczyzną na ziemi.

Tess wstała i położyła dłoń na ramieniu Margaret.

— Nie musisz go widzieć, jeśli nie chcesz, ale ja chcę zobaczyć mężczyznę, który ukradł serce i cnotę mojej siostry.

— Tess!

— Posłuchaj, uważam, że znam się na mężczyznach.

— Nic o nich nie wiesz! — Złość i strach sprawiły, że Margaret Leigh mówiła rzeczy, jakich nie odważyłaby się powiedzieć nigdy przedtem. — Miałaś trzech mężów, i wszyscy, Bóg jeden wie, gdzie są.

Tess odrzuciła w tył rude włosy i zaśmiała się.

— Widzę, że nabierasz odwagi, siostrze.

— Powiedziałam ci. Nie jesteście siostrami.

— Okoliczności nie zmieniają tego, kim i czym jesteśmy. Zawsze będziemy siostrami. Nieważne, kto cię urodził. — Objęła Margaret Leigh

ramieniem i zaprowadziła do sypialni. — Możesz się tu schować, a ja wszystko załatwię. Ale ostrzegam cię, chowasz się po raz ostatni w życiu. Musisz jak najszybciej porozmawiać z ciotką. Pogniewałaś się o takie głupstwo...

— Głupstwo!

— Tak. To nic więcej jak burza w szklance wody. Ona cię wychowała. Ona cię kocha. I nie ma żadnego znaczenia, czy jest twoją ciotką, czy twoją matką? To nie zmienia faktu, że jesteśmy rodziną. — Popchnęła siostrę lekko w stronę sypialni. — Cicho teraz. Słyszę kroki twojego chłopaka.

— On nie jest...

— Cicho.

Tess otworzyła drzwi.

— A... to pan jest Andrew McGill — oceniła śmiało. — Pochwalam.

— Margaret Leigh mówiła pani o mnie?

— Dosyć... — Wzięła go za ramię i poprowadziła do sofy. — Proszę usiąść obok mnie i powiedzieć, co pana łączy z moją siostrą.

Andrew nie odpowiedział wprost. Zamiast tego oparł się i obserwował Tess. Była wspaniałą kobietą o egzotycznych, bujnych, rudych włosach. Promieniowała pewnością siebie. Była w niej także arogancja, postawa mówiąca całemu światu, że zrobi tak, jak będzie chciała, bez względu na to, czy się to podoba, czy nie. Ale miała serce. Andrew był tego pewny. Życie w kontakcie z naturą pogłębiło jego intuicję i zaostrzyło instynkt. Tess Jones Flannigan Carson O'Toole kochała swoją siostrę. Założyłby się o to.

Usiadł tak, że mógł cały czas ją obserwować.

— Mogę powiedzieć pani, że moje intencje są całkowicie uczciwe.

Za drzwiami sypialni Margaret Leigh przykryła usta ręką, aby stłumić odgłos oburzenia.

— Ale nie mam zamiaru mówić pani, co czuję do Margaret Leigh. Nie będę korzystać z pośredników. Prowadzi to do nieporozumień. Nie chcę ryzykować.

— Mogę pana zapewnić, że moje zamiary także są uczciwe, panie McGill. Wcale nie interpretowałabym mylnie tego, co pan powie o Margaret Leigh. Ona jest moją siostrą i kocham ją.

— Dobrze. Lecz moje stanowisko jest ciągle takie samo. Kiedy będę mówił, co czuję do Margaret Leigh, ona pierwsza dowie się o tym.

Śmiech Tess był głośny i niepoohamowany. A gdy skończyła, otarła łzy wesołości.

— Lubię pana, Andrew McGill.

— Ja panią też, Tess.

— Niewielu mężczyzn jest mi się w stanie przeciwstawić.

— Nie wątpię w to.

— Tylko Flannigan... — Jej twarz zachmurzyła się na chwilę, ale znów rozjaśnił ją uśmiech. — Wie pan, ona tu jest.

— Tak myślałem.

Zielone oczy Tess zabłyśły łobuzersko.

— Oj, zapomniałabym, że przyrzekłam Patsy obejrzeć jej nowe krzesła. Nie ma pan nic przeciwko temu, że zostawię was samych na chwilę, prawda?

Za drzwiami Margaret Leigh zacisnęła dłonie w pięści i pomyślała: „Odpowiesz mi za to, Tess .”

— Ani trochę. — Andrew uśmiechnął się do niej. — Proszę się nie spieszyć.

— Nie będę. Oglądanie nowych mebli Patsy zwykle zajmuje mi dużo czasu. — Ścisnęła mocniej pasek szlafroka i wyszła z mieszkania.

Usiadł na sofie, czekając na wyjście Margaret Leigh z ukrycia. Nawet zaczął gwizdać jakąś melodię.

Margaret Leigh była wściekła na nich oboje. Chciała, żeby przestał przynajmniej gwizdać. Czuła ściskanie w żołądku, a jej nogi zdrętwiały od stania w bezruchu. Ale była zdecydowana przeczekać.

Minął kwadrans, a on ciągle tam był. Gwizdanie ustało, ale wiedziała, że nie wyszedł, nie było słychać zamykania drzwi.

— Wiem, że nie jesteś w kuchni, Margaret. — Drgnęła na dźwięk jego głosu. — Sprawdziłem także w łazience. Myślę, że pozostaje już tylko sypialnia. — Zaległa długa cisza, ciężka od wspomnień, potem zaczął mówić znowu. — Bardzo chciałbym tam wejść. Czy chcesz, aby spotkanie odbyło się w sypialni?

— Nie waż się tu wchodzić.

— Więc wyjdiesz?

— Tego nie powiedziałam.

— Nie pozostawiasz mi wyboru. — Usłyszała jego kroki.

— Poczekaj. Wyjdę. Tylko... — Zamilkła, myśląc, jak zyskać na czasie — daj mi czas na przebranie się.

— Świetnie.

Nie chciała wyjść w szlafroku. Pomału podeszła do szafy. Po przyjeździe była zbyt zdenerwowana, aby zająć się garderobą. Tess powiesiła ubrania w szafie byle jak, były bardzo pognione.

Wyjęła granatową spódnicę i białą bluzkę, ale nagle zmieniła zdanie. Nie chciała wyglądać jak pensjonarka. Sięgnęła po dzinsy i koszulę, ale uznała, że to zbyt niedbałe. W końcu wybrała miękką, niebiesko-fioletową sukienkę z wełny.

Próbowała rozprostować zgniecenia. Bezskutecznie. Sięgnęła na górną półkę szafy, wyciągnęła żelazko Tess i deskę do prasowania.

Zdenerwowanie i para z żelazka sprawiły, że zrobiło jej się gorąco. Zrzuciła z siebie szlafrok.

— Wyglądasz ślicznie. — Obróciła się gwałtownie, trzymając w wyciągniętej ręce żelazko, jakby to był pistolet. Andrew zaśmiał się. — Czy jest naładowane?

— Wynoś się stąd. Nie jestem ubrana.

— Pomogę ci.

— Po moim trupie.

— Myślałem, że nieśmiałość mamy już za sobą.

— Nie jestem nieśmiała, do licha. Jestem wybredna.

Zacisnął szczęki i podszedł do niej wolno. Nie przeciwstawiła się, gdy wyjął sznur z gniazdka, zabrał z jej rąk żelazko i postawił na desce do prasowania. Potem wziął ją za ramiona, zmuszając, aby na niego spojrzała.

— Margaret, jestem zbyt stary i niecierpliwy na gry.

— Gry były twoim pomysłem. — Starła się wykręcić. — Porwanie na koniu, zepsucie randki, wzięcie mnie do łóżka.

— Zgodziłaś się na to.

Tu ją miał. Nie tylko powiedziała „tak”, upajała się każdą minutą bycia z nim. Ale za nic mu tego nie powie.

— Powiedziałaś „tak”. — Jego głos stał się miękki, zaczął pieścić jej nagie ramiona. — Udawałem, że jestem twoim rycerzem w błyszczącej zbroi, ratującym cię przed łajdakami tego świata — zamilkł, patrząc jej głęboko w oczy — ale wcale tak nie było.

— Nie mów mi, co było. Wiem.

— Co wiesz?

— To była dla ciebie rozrywka, zmiana kroku. Mała, nieśmiała dziewczica, potrzebująca paru lekcji.

— Do cholery, Margaret!

— No więc już nie jestem dziewczicą, dzięki tobie...

Zamknął jej usta pocałunkiem. Zacisnęła zęby i próbowała się opierać, ale ogarnął ją znajomy bezwład i była już w jego mocy. Oboje wiedzieli, że tak jest. W momencie, gdy zareagowała, zmienił nastrój pocałunków.

Tam, gdzie był szalony z pożądania, stał się czuły. Tam, gdzie był bezwzględny, stał się namiętny.

Otoczyła jego szyję ramionami i przyciągnęła do siebie. Jej ciało lgnęło do jego ciała.

Lekko unióśł głowę; jego oczy błyszcząły triumfem. Nie dbała o to. Liczył się tylko fakt, że była znów w jego ramionach.

— Masz rację.—Głos Andrew był miękki i uwodzicielski, gdy pieścił jej policzki. — Nie jesteś nieśmiałą, przerażoną dziewczyną, jesteś pełna ognia i namiętności. A ja zamierzam domagać się tego wszystkiego.

Uległa jego czarowi. Wypowiedziała jego imię nieco' głośniej od westchnienia.

— Andrew.

— Tak, moja słodka?

— Powiedziałam „tak” tej nocy u ciebie — wyszeptała.

— A teraz... co powiesz teraz, Margaret? Porwana znów gwałtowną zmysłowością, Margaret

Leigh ledwo mogła myśleć. Andrew wyzwolił w niej ogień, o którego istnieniu nawet nie śniła. I ta jej cząstka chciała powiedzieć: „Weź mnie teraz, niezależnie od okoliczności”.

Gdyby nie przestał jej całować, osunęłaby się z nim na łóżko, nie dbając o konsekwencje. Ale on pytał: co teraz?

Odchyliła głowę i spojrzała mu prosto w oczy. Ciężko było kłamać, patrząc w te niebieskie, błyszczące oczy, ale nie miała zamiaru znowu być ofiarą. Ani jego, ani niczyją.

— No więc, Andrew, teraz powtarzam, że masz do czynienia z inną kobietą. Nie jestem dość naiwna, aby iść z tobą do łóżka i zaspokoić twoje pożądanie.

Wcisnął pięści do kieszeni spodni i opanował wybuch zniecierpliwienia.

— Czy już zostałem osądzony i uznany winnym? Czy może jesteś na tyle mądra, aby mnie wysłuchać?

— Mów, Andrew. Ale w momencie, gdy mnie znów dotkniesz, wyrzucę cię za drzwi.

— Do tego potrzeba dwojga, kochana.

— Ale tylko jednego, by zranić.

Andrew opanował się. Margaret Leigh przeżywała dotkliwy ból. Wyznanie Berthy Adams sprawiło, że wszystko w jej życiu odwróciło się do góry nogami. Musiał o tym pamiętać.

— Tu nie chodzi o dotykane. — Wyjął ręce z kieszeni i podniósł do góry. — Przrzekam, że nie dotknę cię więcej, Margaret. Nigdy cię nie dotknę, chyba że będziesz tego chciała, chyba że mnie o to poprosisz.

— Nie czekaj z zapartym tchem.

— Oczekiwanie z zapartym tchem nie jest w moim stylu.

Podał jej szlafrok. — Włóż to. W tej halce rozpraszasz moją uwagę.

Wyciągnęła rękę i wtedy ich palce zetknęły się. Gwałtownie cofnęła dłoń i zaczęła się szybko ubierać. Andrew przeszedł przez pokój i usiadł okrakiem na krześle wiktoriańskim. Margaret uśmiechnęła się na ten widok: wysoki, męski Andrew na małym, kruchym krześle.

— Ten uśmiech to dobry początek, Margaret. Usiadła na krawędzi łóżka, chwytając poły szlafroka

i dokładnie przykrywając nogi. Andrew był zachwycony. Nigdy nie wyobrażał sobie, że pewnego dnia zakocha się i będzie chciał się ustatkować. A jeśli nawet wyobrażał to sobie, to nigdy nie myślał, że jego ukochaną będzie ktoś taki, jak Margaret Leigh — prawdziwa dama z nakrochmalonym kołnierzykiem i ogniem w żyłach. Objął rzeźbione oparcie krzesła i uśmiechnął się do niej.

— Pamiętasz wieczór, gdy poszliśmy tańczyć?

Jak mogłaby kiedykolwiek zapomnieć? Długo nie odpowiadała, nie chcąc popełnić kolejnego błędu.

— Tak. Pamiętam.

— Myślę, że wtedy się w tobie zakochałem.

— Och... — zakryła usta, a jej policzki zaróżowiły się. Andrew uznał to za dobry znak.

— Miałaś na sobie niebieską, taftową suknię. Najpierw zakochałem się w tej sukni, a potem w tobie.

— Nie musisz mówić takich rzeczy. Jestem dojrzałą osobą i wiem, że kobiety i mężczyźni śpią bez miłości.

— Już powiedziałem ci, że to nie chodzi o noc spędzoną w łóżku. Tu chodzi o miłość. — Znów się do niej uśmiechnął, i prawie mu uwierzyła.

— Odkrycie, że cię kocham zabrało mi dużo czasu.

Siedziała bardzo spokojnie, nie ufając sobie na tyle, aby przemówić. Rozpaczliwie chciała mu wierzyć, ale także chciała się bronić przed rozczarowaniem. Minęło dwadzieścia lat, zanim dowiedziała się, że Bertha Adams kłamie. Nie mogła znieść myśli o spędzeniu dwudziestu lat, lub nawet dwudziestu dni z Andrew, wierząc w jego miłość, aby potem odkryć, że to fałsz.

— To dlatego przyjechałem za tobą do Chicago. Jesteś moją miłością, Margaret. Kobieta, z którą pragnę spędzić resztę życia.

— Mam trzydzieści dwa lata, Andrew. A więcej niż połowa jest kłamstwem.

— Bertha kocha cię, wiesz o tym. Prosiła mnie, abym ci to powiedział.

— Zamilkł, czekając na odpowiedź. Nie doczekawszy się, mówił dalej.

— Nasze życie nie będzie zbudowane na kłamstwach. Będzie zbudowane na miłości i zaufaniu, przyjaźni i zrozumieniu.

Poczuła pieczenie łez w gardle. Zaciskając dłonie, patrzyła mu w oczy.

— Jak ja mam ci wierzyć? Jak mogę odróżnić prawdę od kłamstw?

Chciał się podnieść, usiąść obok, przytulić ją, ale przyrzekł, że jej nie dotknie i dotrzyma słowa.

— Ja sprawię, że uwierzysz, Margaret.

— Tess też wierzyła. Trzech mężów ślubowało jej miłość, mówiąc: „nie opuszczę cię aż do śmierci”. I za każdym razem to nie była prawda.

— Chciałbym, żeby miłość przychodziła z gwarancją, ale tak nie jest. Na nic nie można mieć gwarancji.

— Na lodówki. Uśmiechnął się.

— Tak, ale czy one mogą śpiewać piosenki miłosne, pieścić przy kominku i spacerować po lesie?

— Myślę, że naukowcy nad tym pracują—spoważniała. — Andrew, spraw, żebym uwierzyła, że mnie kochasz.

— Zrobię to. Zabiorę cię na tańce. Będziemy tańczyć na ulicach, jeśli zechcesz. — Jego twarz pojaśniała, jakby był małym chłopcem patrzącym na swój pierwszy pojazd kosmiczny. — Pójdziemy do Orchestra Hall posłuchać Symfonii Chicagowskiej. Pojedziemy na piknik do Jackson Park i będziemy spacerować Michigan Avenue. Kochasz zwierzęta... odwiedzimy ZOO.

Wstał, wymachując rękami, snuł opowieści o planach wspólnego spędzenia czasu. — Tess ma kominek... będziemy piec kukurydzę, wypożyczymy filmy, będziemy śpiewać głupie piosenki i opowiadać dowcipy. Albo będziemy po prostu siedzieć na sofie, przytuleni, i czytać dobre książki. — Uśmiechnął się czarująco. — Zrobię wszystko, co zechcesz, Margaret.

— Naprawdę?

Podszedł do łóżka, na którym siedziała i stanął na wyciągnięcie ręki. Wtem pochylił się, a jego twarz znalazła się tuż obok. Czowała zapach sosen, miły i podniecający. Zobaczyła cień zarostu na jego twarzy i

pomyślała, że przyjechał do Chicago późno i nie zdążył się ogolić. Widziała złote błyski w jego włosach i blask oczu.

— Ręczę za to moim życiem. Margaret. — Wyciągnął rękę, ale szybko ją cofnął, bo chciał dotrzymać słowa. — Kocham cię.

Tak rozpaczliwie pragnęła mu wierzyć. Ale nie wierzyła. Nie mogła. W każdym razie jeszcze nie teraz.

— Jeśli mnie kochasz, Andrew — zamilkła, zamykając oczy i modląc się o odwagę—jeśli mnie kochasz, jedź do domu.

Wydawało się, że przestał oddychać. Ożywienie znikło z jego twarzy. Margaret siedziała zimna i spokojna, jak gdyby była martwa. Serce biło jej jak szalone, chciała wyciągnąć do niego ręce, przytulić go do piersi i powiedzieć mu, że go przeprosza, że nie chciała wcale tego powiedzieć. Ale słowa wisiały już między nimi, ciężkie i bolesne. Nie mogła ich cofnąć.

Wyprostował się.

— Czy naprawdę o to ci chodzi?

— Tak. Jeśli mnie kochasz, jedź do domu.

— Czy wymyśliłem sobie tamtą noc? — Jego głos był miękki i nieubłagany. — Czy tylko śniło mi się, że ciało, które całowałem zmienia się w ogień?

—To nie był żaden sen. — Splotła dłonie. — Wzbudzasz we mnie namiętność.

— Ale nie miłość?

Spojrzała na dół, na dywan, nie mówiąc nic.

— Spójrz na mnie, Margaret. Spójrz na mnie i powiedz, że nigdy mnie nie pokochasz.

Nie mogła. Przygryzła dolną wargę i spojrzała na niego.

— Powiedziałeś, że zrobisz wszystko, Andrew.

— Przyrzekłem i dotrzymam obietnicy. — Odwrócił się i przeszedł przez pokój. Zatrzymał się w drzwiach i, oglądając się za siebie, powiedział: — Dotrzymam obietnicy, ale nie na zawsze. Nie mogę być daleko od ciebie.

Przykryła usta dłonią, aby stłumić lęk. Słyszała głośnie bicie swego serca.

— Andrew — wyszeptała. Ale on już wyszedł. — Potrzebuję czasu. W żaden sposób nie mogę brać na siebie odpowiedzialności za inne życie, aż nie uporządkuję własnego. Nie wiem nawet, kim jest mój ojciec.

Ale nikt jej już nie słyszał.

Margaret Leigh siedziała na łóżku, gdy Tess wróciła do mieszkania.

— Już poszedł? — Tess położyła się obok, wpychając pod plecy pare poduszek. — Jestem rozczarowana. Wyglądał na człowieka, który nie przyjmuje łatwo odmowy.

— Prosiłam, aby z powrotem pojechał do Tupelo.

— I pojechał? Dobry Boże, jak on mi przypomina Flannigana, ale Flannigan nigdy by nie odszedł.

Wydawało się, że Tess zapomniała, iż właśnie to zrobił. Ale Margaret Leigh nie miała zamiaru jej tego przypominać.

— Dlaczego przypomina ci Flannigana? — zapytała, zapominając chwilowo o swoich problemach.

Mick Flannigan był pierwszym mężem Tess, miłością jej życia — jak powiedziała w dzień ślubu. W ciągu dziesięciu lat od rozvodu nigdy nie słyszała, aby Tess go wspominała, aż do dzisiejszego wieczora.

— Oni obaj mają w sobie odrobinę szaleństwa. Założę się, że Andrew McGill opala się nago.

— Dokładnie tak pomyślałam, gdy go zobaczyłam po raz pierwszy. — Policzki Margaret Leigh zarumieniły się na myśl o tym.

— Nie uważasz, że to wspaniale?

— Myślałam, że to jest złe.

— Do diabła, Maggy. Ciotka Bertha wiedziała mniej o mężczyznach niż którakolwiek znana mi kobieta. Wszystko, co nam mówiła, okazało się nieprawdą. — Mężczyźni, to był ulubiony temat Tess. Zrelaksowana i swobodna, zapomniała o ostrożności. — Ona nigdy prawdopodobnie nie miała więcej niż jednego faceta i zobacz, co z tego wynikło.

Margaret Leigh wciągnęła znacząco powietrze, a Tess natychmiast opamiętała się.

— Przepraszam. Zapomniałam, że jesteś zdenerwowana. Zmienię temat.

Margaret Leigh na chwilę zamknęła oczy, potem spojrzała na Tess.

— Nie przepraszaj, i nie myśl, że musisz omijać temat mojego nieślubnego pochodzenia. Jestem dorosła. Czas na to, abym stawiała czoło prawdzie takiej, jak ta.

— To dobry początek. — Tess wyciągnęła rękę i uściśnięła dłoń siostry.

— Tess, muszę porozmawiać z ciotką... do diabła, ona jest moją matką, a ja nawet nie wiem, jak ją nazywać.

— Niech zostanie ciotką Bertha. Tak będzie najrozsądniej.

— Zawsze umiałaś brać na siebie odpowiedzialność za trudne sprawy. Pojedziesz ze mną do domu? Pomożesz mi przez to przejść?

— Daj mi dwa dni na uporządkowanie pracy w klubie, potem wyjedziemy razem.

RS

Rozdział dziesiąty.

Gdy na Międzynarodowym Lotnisku O'Hara w Chicago ogłoszono, że samolot ma opóźnienie z powodu mgły, Andrew właśnie rozmyślał. Do diabła, wiedział, że Margaret Leigh nie padnie w jego ramiona, ale nigdy nie myślał, że go odeśle do domu. Był niefrasobliwym, sympatycznym typem mężczyzny, nawet czarującym — tak mówiono. Gdzie się podział cały ten sławny czar McGilla, gdy go najbardziej potrzebował? Gdzie był jego zdrowy rozsądek, który tak bardzo przydałby mu się w tej sprawie? Po prostu musiał wymyślić nowy plan, to wszystko. Prawdziwe zabiegi o kobietę były dla niego nowością. Ale uczył się, i to szybko. Nie chciał stracić Margaret.

O dziesiątej przed południem zabrzączał domofon Tess. W jednej chwili Margaret Leigh przypomniała sobie, że jest w Chicago, w mieszkaniu siostry.

Wstała z sofy i przeszła do sypialni, aby ją obudzić.

— Tess. — Nie było odpowiedzi.

Leżała w poprzek łóżka i wyglądała tak, jakby ktoś rozlał farbę. Jej włosy były plamą czerwieni na poduszce, jedwabny szlafrok — kałużą purpury, a pantofelek na wysokim obcasie, zwisający niepewnie z czubka stopy — jasnym błyskiem cekinów.

Margaret Leigh zbliżyła się i potrząsnęła delikatnie jej ramieniem.

— Tess, obudź się. Ktoś dzwoni.

Tess przytuliła się mocniej do poduszki, oddychając głęboko i równomiernie. Margaret Leigh zapomniała, że do obudzenia jej potrzebna jest orkiestra dęta.

Wróciła do pokoju i zaczęła manipulować przy domofonie.

Wreszcie odnalazła właściwy guzik.

— Kto tam?

— Specjalna przesyłka do mieszkania numer 10. Na pewno ktoś z kwiatami dla Tess. Fani często ją rozpieszczali.

— Może pan wejść.

Goniec stojący w drzwiach był prawie schowany za wielkim bukietem herbacianych róż.

— Kwiaty dla panny Jones.

— Ona śpi. Czy mogę pokwitować?

— Tutaj.

Margaret Leigh pokwitowała odbiór kwiatów i wniosła je do mieszkania. Były delikatne, piękne i pachnące. Roztoczyły w pokoju atmosferę romantyczności.

Tess ukazała się w drzwiach, stając na jednej nodze z powodu braku pantofelka. Ziewając przeciągała się jak zadowolona lwica.

— Wydawało mi się, że ktoś dzwonił.

— Kwiaty dla ciebie.

Tess zagłębiła twarz w różach i wdychała ich woń. Potem wyciągnęła kartkę z koperty. „Możesz posłać mnie do Tupelo, ale nie możesz mnie odprawić” — przeczytała na głos. Spojrzała na siostrę, unosząc w górę brwi.

— Mam czytać dalej? One są dla ciebie. — Odwróciła kopertę i przeczytała nazwisko, potwierdzające to, co już wiedziała. — Panna Margaret Leigh Jones.

Margaret Leigh podbiegła i chwyciła kartkę. Jej ręka drżała. „Moje serce jest z tobą w Chicago i będzie przy tobie, gdziekolwiek będziesz. Z całą miłością, Andrew.” Spojrzała na Tess.

— Przesłał kwiaty.

— To widzę. Zakochani mężczyźni często to robią.

— Czy myślisz, że on naprawdę mnie kocha?

— Byłby głupcem, nie kochając cię.

— Nikt nigdy nie przysłał mi róż.

Margaret Leigh przytuliła twarz do płatków, aby ukryć łzy.

Margaret Leigh otrzymywała bukiety róż codziennie przez następne trzy dni. A gdy razem z Tess przyjechała do Tupelo, bukiet czekał w domu, na Allen Street.

— Czy powiedziałas mu, kiedy przyjeżdżamy, Tess?

— Nie. Wierzę w naturalny rozwój miłości. On musi mieć ukryte źródło informacji.

Obie spojrzały na ciotkę Berthę, a ona niewinnie wzruszyła ramionami.

— Mówiłam wam, nie można ufać mężczyznom w skórzanych kurtkach. — Bertha odwróciła się, zanim zdołały zauważyć uśmiech. — Może napijemy się gorącej herbaty? Jest tyle rzeczy, o których musimy porozmawiać. Rozmowa przy herbacie będzie łatwiejsza. — Spojrzała na Margaret Leigh, szukając potwierdzenia.

— Tak. Musimy porozmawiać. — Margaret Leigh zawahała się, potem podeszła do matki i objęła ją ramieniem. — Porozmawiamy... jak prawdziwa rodzina.

Przez trzy dni po powrocie Margaret Leigh do domu, Andrew zdobywał ją na odległość. Każdego dnia posyłał mały podarunek: kwiaty, pudełko czekoladek, pozytywkę. Dawał jej czas na pogodzenie się z matką i z myślą, że jest kochana.

Czwartego dnia przyszedł.

Margaret Leigh była w kuchni. Akurat piekła ciasto imbirowe, gdy zadzwonił dzwonek.

— Otworzysz, Tess?

Nie było odpowiedzi. Tess i Bertha poszły w odwiedziny do ciotki Grace.

— Chwileczkę. — Umyła ręce i przyglądała kosmyk włosów, który opadł jej na czoło. — Już idę.

Andrew McGill stał na werandzie. W promieniach zachodzącego słońca wyglądał wspaniale.

— Witaj, Margaret.

— Andrew...

— Czy mogę wejść? — Nie mogła wypowiedzieć słowa, coś jej przeszkadzało. — Jeśli pozwolisz mi wejść, będzie to gest na zgodę.

Cofnęła się i Andrew wszedł do wąskiego przedpokoju.

— Nie martw się, moja słodka. Pamiętam o obietnicy. Nie dotknę cię do czasu, aż ty tego zechcesz.

Podszedł blisko. Czują ciepło jego ciała, a ono paliło ją od stóp do głów.

— Dziękuję, Andrew.

Podziękowanie płynęło z głębi serca. Gdyby nie dotrzymał słowa, gdyby tylko położył palec na jej policzku, wzięłaby go za rękę i poprowadziła na górę, do sypialni. Pociągnęłaby go na swoje łóżko z szydełkową narzutą i pozwoliłaby na to, żeby znowu mogli usłyszeć muzykę miłości. I mniejsza o konsekwencje.

Ale to nie było rozsądne. Koniec z działaniem pod wpływem impulsu. Dostyc z uciekaniem przed problemami. Dość prób zaprzeczania prawdom dotyczącym spraw ciała. A prawda była taka, że kochała Andrew

McGilla. Była przerażona miłością i nie mogła jej stracić. Tak jak Tess. Tak jak Bertha.

Ściskając ręce i podnosząc podbródek, zdobyła się na odwagę.

— Nie wejdiesz do kuchni? Robię ciasto imbirowe.

— Moja mama często piecze takie ciasto. — Poszedł za nią. — Wspaniale pachnie. Mógłbym zjeść około pięćdziesięciu ciasteczek imbirowych.

— Aż tyle? — Uwielbiała, gdy był w dobrym nastroju.

— Może trochę przesadziłem, ale zjadłbym na pewno dziesięć.

— Dzięki tobie jestem zadowolona. — Oparła się dla dodania sobie otuchy.

— Dzięki tobie jestem szczęśliwy. — Znów podszedł blisko, tak blisko, że widziała złote błyski w jego oczach. Czują jego oddech na policzku, gdy się pochylił. — Czy wiesz, jak pociągająco wyglądasz z ciastem imbirowym na twarzy?

— Gdzie? — Podniosła obie ręce do policzków. Wyciągnęła rękę, ale zatrzymał ją tuż przy jej podbródku.

— Tutaj. — Starła plamkę, a on wskazał na prawy policzek. — I tutaj. — Jego ręka była tuż przy jej ustach.

Zwilżyła usta językiem.

— Nie kuś mnie w ten sposób, Margaret.

— W jaki sposób?

— Sprawiasz, że mam ochotę cię zjeść. Zarumieniła się.

— Nie martw się, moja słodka. Nie zrobię tego. W każdym razie jeszcze nie teraz. Odwrócił się, nie chcąc ulec pokui się. Krzesło, na którym siadł okrakiem, dawało trochę zabezpieczenia, ale niewiele. Czuł niebezpieczeństwo sytuacji. Chętnie przyjął wyzwanie. Nagroda była tego warta.

— Pozwól, że poczęstuję cię ciastem. Pierwsza partia jest już gotowa. — Margaret Leigh była zadowolona, że ma co robić. Znała się na pieczeniu i podawaniu ciasta, ale nie wiedziała, jak zachować się w takiej sytuacji.

Jej ręka drżała, gdy podawała talerzyk. Dotrzymanie słowa wymagało ogromnej siły woli.

— Miłości nie można się bać, Margaret.

— Nie boję się ciebie, Andrew.

— Więc czego się boisz?

— Kochania ciebie.

Jego ręka zacisnęła się na widelcu. To była pierwsza dobra wiadomość, jaką usłyszał, pierwszy znak, że Margaret Leigh może być jego.

— Chcę ci pokazać inną stronę miłości niż ta, którą znasz. Pokażę ci miłość, która wyrasta ponad fizyczność, miłość duchową, miłość trwałą.

— Możesz to zrobić?

— Czy mi ufasz, Margaret?

Usiadła na krześle naprzeciw niego. Złożyła ręce na kolanach i spojrzała mu prosto w oczy.

— Możesz mi wierzyć lub nie, ale jesteś osobą, której ufam najbardziej na świecie. Uchroniłeś mnie przed strasznym losem, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Posyłałeś mi piękne podarunki, chociaż nigdy nie powiedziałam, że cię kocham.—Pochyliła się ku niemu. — Dziękuję ci za prezenty.

— Cała przyjemność po mojej stronie.

— I dotrzymasz słowa, chociaż jest to z pewnością dla ciebie trudne.

— Zgadza się. Wierzę w moc dotyku.

— Wiesz, dałeś mi mądrą radę. Dzięki tobie, Andrew... pogodziłam się z Bertha.

— Jestem szczęśliwy. Ona naprawdę ciebie kocha.

— Wiem o tym. Chociaż czasem nie rozumiem, dlaczego mnie oddała, dlaczego nigdy nie powiedziała ojcu o moim istnieniu? Postaram się jakoś z tym żyć.

— Powiedziała ci, kim jest twój ojciec?

— Tak, obie z Tess przekonałyśmy ją co do tego. Chociaż on już nie żyje, ona ciągle go kocha i usprawiedliwia.

Andrew czekał, mając nadzieję, że podzieli się z nim częścią swojego życia.

— Był politykiem, żonatym senatorem z Georgii. Spotkali się, gdy ona pracowała w Waszyngtonie. Nazywał się Robert Graves Willingham. Jestem jego jedynym dzieckiem, o którego istnieniu nigdy się nie dowiedział. — Zaciśnęła dłonie, broniąc się przed drżeniem. — Ciekawa jestem, co by się stało, gdyby mu wtedy o mnie powiedziała. Ciekawe, czy rozwiódłby się z żoną? Czy we trójkę byłibyśmy rodziną?

— Nie masz wpływu na przeszłość, Margaret, ale możesz kształtować przyszłość.

— Uczę się tego — uśmiechnęła się. — A jaką miłość ty mi pokażesz?

— Jutro. O siódmej. Przyjadę po ciebie. — Przełknął ostami kawałek ciasta i wstał, kładąc talerzyk na stole.

— Będę gotowa. — Ruszył do drzwi. Zawołała za nim pieszczotliwie — Andrew...

Odwrócił się. Szła ku niemu z uśmiechem. Wtem, wyciągnąwszy rękę, musnęła jego usta palcami.

— Masz okruszki. — Nie chcąc tracić z nim kontaktu, nie cofała dłoni.

Całował koniuszki jej palców, upajając się nimi, pieszcząc językiem, delektując się szczególną słodyczą jej skóry.

Cofnęła się, a on przyjął to jako sygnał do odejścia.

— Jutro, kochana.

Czekała na niego. Była gotowa już o szóstej trzydzieści. Siedziała w pokoju gościnnym, przy dyskretnym świetle lampy, w nowej, jedwabnej sukni. Talerz z ciastem imbirowym stał na stoliku. Była sama — to zasługa Tess, która nalegała, aby ciotka wybrała się z nią do kina. Bertha protestowała, twierdząc, że nie była w kinie od dwudziestu lat i nie będzie nawet wiedziała, jak się zachować.

Margaret Leigh otworzyła po pierwszym dzwonku. Milczeli oboje. Stali patrząc na siebie, jakby patrzenie było rzadkim przywilejem, a oni płacili tysiąc dolarów na godzinę i nie chcieli stracić ani minuty.

W końcu ona przemówiła, unosząc brzeg spódnicy i składając wdzięczny ukłon.

— Czy podoba ci się moja nowa suknia?

— Kupiłaś ją specjalnie na nasze spotkanie?

— Tak.

— Nigdy nie widziałem tak pięknej sukni, ani tak zgrabnej modelki.

Uśmiechnął się.

— Czy skosztujesz ciasta, zanim pójdziemy?

— Jeśli obiecasz mi, że wytrzesz okruszki.

— Żadnych obietnic. Przynajmniej na razie.

Usiedli po obu stronach stolika jak wiktoriańska para, zachowując się tak, jakby mieli przyzwoitkę, zaglądającą im przez ramię. Potem poprowadził ją do starej półciężarówki. Na tę okazję była szczególnie wypolerowana.

Mijali domy stojące wśród sosen po zachodniej stronie Tupelo. Podczas jazdy nie zadawała żadnych pytań, nawet wtedy, gdy zaparkował obok ślicznego domku. Ufała Andrew całkowicie.

— Mieszka tu mój brat, Rick. Dziś poznasz moją rodzinę.

— Andrew, mówiłam ci, że nie mogę nic obiecywać.

— Bardzo chciałbym oficjalnie wprowadzić cię jako moją narzeczoną do rodziny, ale nie zrobię tego. Ta wizyta jest dla ciebie i tylko dla ciebie. To spotkanie rodzinne. Oczywiście będzie Rick, Martha Ann i ich dzieci, oraz moi rodzice — Sarah i Silas. Jo Beth i Colter nie mogli przyjechać, bo dzieci są za małe, ale zobaczysz ich zdjęcia.

Uspokoił ją uśmiechem.

— Wszystko, o co proszę, to żebyś ich obserwowala. Zobacysz, jak wygląda miłość w rodzinie.

Sarah i Silas siedzieli na sofie obok siebie, trzymając się za ręce. Byli piękni, jak tylko mogą być starzy ludzie, którzy się bardzo kochają i długo żyją ze sobą w zgodzie. Ich zmarszczki opromieniał blask zadowolenia i spokoju.

Margaret Leigh od razu ich pokochała.

Po wzajemnych prezentacjach Sarah poklepała miejsce na sofie obok siebie.

— Usiądź przy mnie, moja droga. Ochronię cię przed masłem orzechowym i galaretką, którą będą nas raczyć dzisiejszego wieczoru. — Wyciągnęła rękę i z miłością zmierzwiła czuprynę małego blondynka, który chichocząc wdrapywał się na kolana Silasa.

— Dziadku, przytul mnie.

Silas uścisnął malca, potem zwrócił się do żony.

— Sarah, nie wiem, kim jest ten młody człowiek, ale wydaje mi się, że mnie lubi. Czy sądzisz, że powinienem zrobić mu zdjęcie?

Sarah pogłaskała go po ręce.

— To Michael, twój wnuk. Pamiętasz, Silas? Jeden z chłopców Ricka i Marthy Ann.

Silas zaśmiał się po cichu.

— I będzie prywatnym detektywem, jak jego ojciec, mogę przysiąc.

— Tak, kochanie. Na pewno będzie. — Sarah ciągle głaskała jego dłoni.

Margaret Leigh zorientowała się, że Andrew ją obserwuje. Uśmiechnęła się, a on mrugnął do niej, jakby chciał powiedzieć: „a nie mówiłem?”

Rick i Martha Ann wpadli do pokoju z tacami przekąsek. Dwaj mali chłopcy podążali w ślad za nimi, jeden udając samochód wyścigowy, a drugi dosiadając domniemanego kuczka.

Martha Ann McGill była wspaniałą kobietą. Miała czarne włosy, znamię koło ust i zaraźliwy śmiech, zwłaszcza, gdy jej mąż znajdował się w pobliżu. Rick był bardzo podobny do swego brata. Margaret Leigh przyjrzała mu się dokładniej ze zdziwieniem i uwagą. Miał włosy blond jak Andrew i beztronski śmiech, ale nie miał jego niebieskich oczu, w których była osobliwa, figlarna niewinność i szczególny blask.

Andrew był bardziej męski. O wiele bardziej męski niż Rick. Przynajmniej jej się tak wydawało. Jednak wyglądało na to, że Martha Ann spierałaby się z nią w tej kwestii. To było oczywiste, że uważa

Ricka McGilla za najwspanialszego mężczyznę na świecie. Często się dotykali — jego dłoń na jej policzku, jej dłoń na jego ramieniu. A spojrzenia, jakie wymieniali mówiły to, czego żadne słowa nie mogłyby wyrazić. Ciągłe szaleli za sobą, po pięciu latach małżeństwa i podwójnych trojaczkach, po brudnych pieluchach, zimowych chłodach, rozstrojach żołądka, wynoszeniu śmieci, wycieraniu rozlanego soku pomarańczowego i oglądaniu się nawzajem w złym humorze.

— Musisz zobaczyć dziewczynki. — Martha Ann wzięła Margaret Leigh za rękę i poprowadziła do pokoju dziecinnego. W trzech łóżeczkach spały trzy małe piękności: dwie czarnowłose jak Martha Ann i jedna blondyneczka. Spały na brzuskach z piąstkami przy policzkach.

— Sarah, Rebecca i Julia.

— To aniołki — powiedziała Margaret.

— Tylko wtedy, gdy śpią. — Martha Ann podeszła do rzędu łóżeczek, poprawiając pościel i rozdzielając pieszczoty. — Powinnaś tu być, gdy się budzą — zaśmiała się — a może lepiej nie. Są takie głośne, myślę, że wszystkie będą śpiewaczkami operowymi.

Wychodząc z pokoju dziecinnego, Margaret Leigh zauważyła zdjęcie na komodzie. Przedstawiało okazałą blondynkę, ciemnowłosego, przystojnego mężczyznę i dwa maleństwa.

— To Jo Beth, Colter i ich nowo narodzone dzieci — wyjaśniła Martha Ann. — Wkrótce przyjadą z wizytą. — Jej twarz spochmurniała. — Sarah i Silas starzeją się, już nie mogą podróżować. Jo Beth chce, aby dziadkowie zobaczyli najmłodsze wnuczeta.

Margaret Leigh wspomniała słowa wypowiedziane przez Andrew na spotkaniu rodzinnym Jonesów. „Moja rodzina ceni ciepło, zabawę, spontaniczność i szczęście.” A teraz naocznie mogła się o tym przekonać.

Obiad przebiegł w bardzo ożywionej atmosferze. Dwaj bracia McGill przekomarzali się, rozśmieszając wszystkich. Margaret Leigh czuła się swobodnie i beztrąsko. Śmiała się razem ze wszystkimi.

Gdy byli już w drodze powrotnej do domu, obróciła się tak, aby widzieć jego twarz w słabym świetle tablicy rozdzielczej.

— Dziękuję, Andrew. Podobała mi się każda chwila tego wieczoru.

— Jestem szczęśliwy, Margaret Leigh. Chciałem, abyś się dobrze czuła.

— Tak było.

Nie powiedział: „a nie mówiłem”. Nie zapytał, czy widziała, jak wygląda miłość w rodzinie. Nie popędział jej. Po prostu patrzył na drogę i gwizdał coś wesołego.

A gdy przyjechali pod dom, odprowadził ją do drzwi, nie pozwalając, aby szła sama w ciemności.

Na werandzie paliło się światło, rzucając złoty blask. Stali twarzą w twarz, odwlekając chwilę rozstania.

— Dziękuję, że posłaś ze mną. — Pragnął powiedzieć — „czy wyjdiesz za mnie?„

— Dziękuję za zaproszenie. — Pragnęła powiedzieć — „kocham cię.“

— Myślę, że pójdę już. — Pragnął wziąć ją w ramiona.

— Tak. Powinieneś już iść. — Pragnęła poprosić go, aby został?

— Dobranoc, Margaret. — I wtem wyciągnął do niej rękę. Instynktownie tak ułożył dłoń, jakby chciał dotknąć policzka. Jego ręka znieruchomiała w powietrzu, gdy spojrział na nią. — Naprawdę kocham cię, moja śliczna. I jest to trwale uczucie. Zawsze o tym pamiętaj.

Ujęła jego dłoń i przycisnęła lekko do twarzy.

— Będę. Obiecuję.

Stali tak jeszcze chwilę przepelnieni tęsknotą i zalem.

— Jeśli cię w jakikolwiek sposób zraniłem, przepraszam.

— Ja też. Za całe zamieszanie, jakie spowodowałam. Byłam bardzo głupia i naiwna.

— Nieprawda. To ja byłem arogancki.

— Nie. Byłeś bardzo opiekuńczy. Zaśmiali się oboje.

— Jeśli tak dalej pójdzie, będziemy musieli poprzyczepiać sobie nawzajem medale — uśmiechną się. — Myślę o paru miejscach, gdzie chciałbym je przypiąć.

Zarumieniła się.

— Dobranoc... jeszcze raz. Słodkich snów, kochana — Obrócił się ku niej jeszcze raz. — Pamiętaj, kiedy mnie zechcesz, kiedy tylko zapragniesz, wystarczy, żebyś powiedziała słowo. Jestem dla ciebie, gdy będziesz gotowa

Poszedł ścieżką gwiżdżąc. Słyszała jeszcze cichnącą melodię, gdy wchodził do samochodu. Potem drzwi się zatrzasnęły, a silnik zawarczał. Andrew odjechał wraz z melodią.

Gdy dotarł do domu, zadzwonił telefon. To był Rick.

— Podoba mi się, Andrew.

— To dobrze. Kocham ją. Rick zaśmiał się.

— Myślę, że wyczekujesz na jej progu i grasz na gitarze, zalecając się jak Romeo.

— Nie.

— Nie?

— Jest spokojna, nie lubi pośpiechu. Czekam na jej sygnał.

— Czekasz? To do ciebie niepodobne. Skąd wiesz, że nie będziesz czekał wiecznie?

— Bo wiem. To wszystko!

— Daj mi znać, jeśli będziesz potrzebował rady. Sam widzisz, że Martha Ann zakochała się we mnie na zabój.

Andrew usłyszał swoją bratową w tle.

— Tylko dlatego, że chciałam tego, kochanie. Potem usłyszał odgłosy pocałunków. Cicho odłożył

słuchawkę. W ciągu paru chwil zapomnieli o rozmowie telefonicznej.

Wziął gitarę i poszedł na frontową werandę. Był balsamiczny wieczór, jeden z pięknych wieczorów października. Usiadł na bujanym fotelu i wydobył akord. Potem następny. I jeszcze jeden. Wkrótce zabrzmiała melodia: Wszystko, o co proszę z Upiora w Operze.

Margaret Leigh przyjdzie do niego na pewno. Wiedział to, bo obudził w niej dotąd głęboko uśpione siły namiętności. Gdy grał, słowa piosenki uporczywie brzmiały mu w głowie.

— Powiedz, że mnie kochasz, Margaret.

Jedyną odpowiedzią był głos lelka, rozlegający się z głębi lasu.

Margaret Leigh zastała Tess czekającą na jej powrót.

— No i jak...

— To był piękny wieczór. — Margaret Leigh zdjęła pantofelki na wysokim obcasie i usiadła na sofie obok siostry. — Zakochałam się jak szalona i zupełnie nie wiem, co z tym robić.

— Mogę dać ci mnóstwo rad... nawet parę dobrych— zaśmiała się Tess. — Bóg wie, że dużo przeżyłam. Co chciałabyś wiedzieć?

— No cóż... — Margaret Leigh zamilkła, myśląc, jak wiele razy wypominała Andrew życie w le się.

Tak bardzo chciała teraz udowodnić mu, że zmieniła zdanie. Potem pomyślała, jak bardzo pragną się nawzajem. Co zrobić z tym cholernym przyrzeczeniem. Zupełnie nie wiedziała, jak je cofnąć. Spojrzała na siostrę, jasną, piękną i pewną siebie.

— Dziękuję ci za propozycję, Tess, ale to jest coś, co sama muszę przemyśleć. Jeżeli mam spędzić życie z Andrew McGillem, muszę się nauczyć, jak postępować z nim... zupełnie sama. Nie będziesz zawsze w pobliżu, aby mi mówić, co robić, kiedy będzie źle.

Tess wstała i przeciągnęła się.

— Mam przecucie, że dokładnie wiesz, co robić. Dobranoc, Maggy.

Margaret Leigh chciała poznać pracę i zainteresowania Andrew.

Na szczęście miała całe bogactwo informacji pod ręką, w bibliotece. Znalazła tam odpowiedź na dręczące ją pytania. Wiedziała już, czym są Narodowe Mistrzostwa Umiejętności Psów Myśliwskich i jak należy do nich przygotowywać psy.

Uporządkowała swoje plany i przystąpiła do wprowadzenia ich w życie. Od trzech dni nie miała wieści o Andrew. Dawna Margaret Leigh byłaby w panice. Wątpiłaby, rozważała, czy wyznał jej miłość pod wpływem nastroju, a może teraz zmienił zdanie? Ale nowa Margaret Leigh była pewna siebie.

Kochała Andrew jeszcze bardziej za to, że dał jej czas, którego potrzebowała, aby uwierzyć w siłę swojego uczucia. Gdy przygotowała już wszystko, zwróciła się do Tess.

— Muszę wiedzieć jedną rzecz...

Andrew McGill spał spokojnym snem uczciwego człowieka.

Nagle poruszył się. Ukrył głowę głębiej w poduszkę i śnił, że jest na pachnącej łące pełnej kwiatów.

— Andrew...

Teraz śnił, że słyszy głos anioła.

— Andrew...

Przypominał dokładnie głos Margaret. Usiadł sztywno, chciał podnieść ręce, aby zetrzeć sen z powiek, ale nie mógł. Coś trzymało jego prawą dłoń. Zamrugał oczami i spojrzał na rękę. Wokół jego przegubu zawiązana była złocista tasiemka, która łączyła go z małą, miękką, słodko pachnącą dłonią. Uśmiech zadrżał w kącikach jego ust. Właścicielką rączki o słodkim zapachu była dziewczyna w białym, jedwabnym szlafrocisku.

— Margaret.

— To moje imię — uśmiechnęła się.

— Jak, do licha, dostałaś się tutaj?

— Czy tak się wita ukochaną kobietę? Pochyliła się i pocałowała go. Minęła długa chwila,

zanim mógł cokolwiek powiedzieć. Przyciągnął ją blisko, ich usta złączyły się, jej piersi przywarły do niego. Wolną ręką objął jej talię.

Gdy wreszcie zaczerpnął powietrza, powtórzył pytanie.

— Jak tu weszłaś?

— Otworzyłam zamek wytrychem.

— Dobry Boże, gdzie się tego nauczyłaś?

— Nigdy ci nie powiem. Zaśmiał się.

— Ludzie idą do więzienia za mniejsze przewinienia.

— Uwięź mnie. Jestem twoja. — Pieściła jego szyję.

— Jest jednak mała przeszkoda. — Podniósł do góry ich złączone dłonie. — Czy możemy przerwać łączącą nas więź?

— Na razie! Lecz rozłączenie będzie tylko chwilowe. Chcę być z tobą na zawsze.

Andrew znieruchomiał. Nareszcie usłyszał słowa, na które czekał. Nie mógł wydobyć z siebie głosu. Miłość do Margaret Leigh wezbrała w nim, a wzruszenie ścisnęło gardło.

— Czy naprawdę tego chcesz? — wyszeptał.

— Teraz i zawsze. Kocham cię Andrew i jeśli jeszcze mnie kochasz...

— Jeśli cię chcesz! — Ujął jej twarz w dłonie i patrzył na nią tak, jakby była najwspanialszym cudem, jaki zdarzył się w jego życiu. — Margaret, pragnę cię więcej niż słońca w sobotnie poranki, jesteś ważniejsza od wszystkich moich pasji, namiętności, jesteś treścią mojego życia... — Zamilkł, starając się przypomnieć sobie wszystko, co kocha najbardziej na świecie. — Pragnę cię bardziej niż muzyki granej cichutko na werandzie w spokojne, letnie wieczory. Pragnę cię mocniej niż beztroskiego śmiechu i kukurydzy z masłem. — Jego oczy zabłyśły. — Pragnę cię teraz i będę pragnął zawsze.

Przez moment jej oczy jaśniały od niewypłakanych łez szczęścia, potem pojawił się uśmiech. Zaśmiała się radośnie i miękko.

— Andrew, czy to znaczy, że zamierzasz się ożenić?

— Właśnie tak. — Skłonił głowę na tyle oficjalnie, na ile to możliwe u nagiego mężczyzny. — Przyjmij moje oświadczenia. Chcę, byś została moją żoną, Maggy.

Uśmiechając się oparła łokieć na kolanie, a podbródek na dłoni i udawała, że się głęboko zastanawia.

— To nie wystarczy, Andrew. Musisz mi to udowodnić.

Jego oczy zapłonęły, gdy rozluźnił jedwabną tasiemkę wiążącą ich dłonie.

— To może zająć całą noc.

Oparł jej plecy na poduszce i zaczął wodzić rękami po ciele. Pieszcząc ramiona, zsunął cienkie ramiączka halki. Drżała, gdy jego ręce powędrowały niżej, zagłębiając się fałdach szlafroka. Przykrył piersi Margaret dłońmi i masował je, aż stały się twarde i pełne.

Leżała spokojnie, przypatrując się igraniu światła księżycowego w jego włosach, a on dalej prowadził erotyczne poszukiwania. Pieścił ją tak długo, aż zmysłowość jego rąk przeniknęła przez jedwab i zaczęła parzyć jej ciało. Pożądanie Andrew rozpałiło jej własne pragnienia.

— Proszę, Andrew... — Podniosła ku niemu ramiona. Schylił się, aby ją pocałować. W przerwach między wilgotnymi, palącymi duszą pocałunkami mówił.

— Miłość jest najlepsza, gdy można się nią delektować... pragnę upajać się tobą przez długi, długi czas.

Całował jej szyję, wtulając twarz we wszystkie pulsujące miejsca, a jego ręka prześlizgiwała się po jej udach.

— Kocham cię w bieli... — Opuścił szlafrok, odsłaniając jej piersi. — Będę cię kochał we wszystkich kolorach tęczy. — Jego usta sprawiały, że drżała.

— Słońce nigdy nie dotykało cię tutaj — zatrzymał się, aby rozkoszować się tym miejscem — i tutaj... i tutaj... ale ja cię dotykam i będę dotykać.

Szlafrok zaszeleścił, gdy zsunął go z ramion Margaret i odrzucił na bok. Utworzył kałużę bieli obok złotej, jedwabnej tasiemki przy łóżku.

Oparty na łokciach obserwował twarz ukochanej.

— Doczekałem się wreszcie, że przyszłaś do mnie.

— Tak — delikatnie głaskała go po twarzy — tak, Andrew, przyszłam z tęsknotą i miłością.

— Gdy spotyka się dwoje kochających się ludzi, przeżycie jest zbyt piękne, aby je opisywać, Maggy.

— Kochaj mnie.

Wniknął w jej ciało powoli, delikatnie. Czowała, jak wypełnia ją muzyką, pięknem, zachwytem i tajemnicą zbyt cudowną, aby to objąć myślą.

To słodkie i czułe zjednoczenie było wymianą prywatnych ślubów, a ich jedynymi świadkami był jedwabny szlafrok i złota poświata księżycy. A kiedy było po wszystkim, przytulił ją tak, że jej głowa spoczęła na jego ramieniu. Ucałował jej czoło.

— Dziękuję, że do mnie przyszłaś.

— Chciałam ci pokazać, że akceptuję cię na twoich warunkach, Andrew. Kocham cię i pragnę takim, jakim jesteś.

Leżeli spokojnie przez chwilę, radując się wzajemną bliskością. Nie mogli nacieszyć się sobą. Nagle jakiś dźwięk zakłócił ciszę.

— Czy coś mówiłaś, Margaret?

— Nie. — Uśmiechnęła się i potarła jego policzek. — Wydawało ci się.

Rozległ się jakiś hałas, a potem skomlenie. Podniósł głowę nasłuchując.

— Gdybym nie wiedział, gdzie jestem, pomyślałbym, że mam w domu szczeniaka.

Zachichotała.

— Myślałam, że będzie cicho aż do rana.

— Kto?

Usiadła, założyła szlafrok, potem wyciągnęła do niego rękę.

— Chodź, Andrew. Chcę ci coś pokazać. Założył szorty.

— Jeśli to jest równie wspaniałe jak to, co pokazałaś przed chwilą, to nie wiem czy wytrzymam.

— Bądź cierpliwy i patrz.

Zaprowadziła go do pokoju i zapaliła światło. Na środku podłogi stało kartonowe pudło, a z niego wзираł mały, biały pointer w brązowo-brązowe łatki.

— To jest szczeniak psa myśliwskiego. Zaśmiała się.

— Wiem, Andrew.

Przykucnął obok pudełka i podniósł szczeniaka.

— Ma piękną maść i barwę. — Spojrzał w górę na Margaret. — Co on robi w moim domu?

Przykucnęła obok niego i zaczęła głaskać psi łebek.

— To ślubny prezent dla ciebie. Po tym wszystkim, co nagadałam na temat twojego zawodu, musiałam znaleźć sposób, aby dać ci do zrozumienia, że wierzę w ciebie i w to, co robisz.

— On jest piękny, a ty jesteś wspaniała. — Pochylił się, aby ją pocałować.

W chwilę później zachowywali się tak, jakby świat miał się zaraz skończyć. Trwałoby to jeszcze długo, gdyby szczeniak nie zaprotestował.

Andrew odsunął się, a Margaret usiadła na podłodze i objęła ramionami podkurczone nogi.

— To nie jest ród championów, ale wiem, że możesz go wytresować na championa, Andrew. Po prostu wiem, że możesz to zrobić.

Andrew położył pieska z powrotem do pudełka i poprowadził Margaret do sofy. Przytulił ją mocno i zadał pytanie, które znaczyło dla niego wszystko, pytanie, którego bał się zadać.

— Na psiarnię i do tresury potrzeba dużo miejsca.

— Wiem.

— Skąd wiesz?

— Jestem bystrą kobietą, Andrew. Sprawdziłam to wszystko w bibliotece.

— Czy chcesz mieszkać ze mną w lesie?

- Pod dwoma warunkami.
- Wymień je.
- Pozwolisz sprowadzić mi telewizor. Mam zaufanie do Petera Jenningsa. Z prawdziwą przyjemnością oglądam jego program.
- To drobne ustępstwo, na które zgodzę się z chęcią. Co jeszcze?
- Może powinniśmy powiększyć dom, gdy zaczną przychodzić na świat dzieci?
- Dzieci?
- Nie chcesz dzieci? — Zrzedła jej mina. — Myślałam... twój brat ma sześcioro, a twoja siostra dwoje... więc myślałam, że i ty chciałbyś...
- Czwooro lub pięcioro byłoby w sam raz. — Uśmiechając się, przeciągnął ręką po jej udzie. — Ale jest jedna rzecz, Margaret.
- Co takiego?
- Rick nas bardzo wyprzedza. Myślę, że powinniśmy już zacząć, bo nigdy go nie dogonimy. Co ty na to, moja śliczna?
- Wyciągnęła rękę i położyła ją na jego szortach.
- Słuchaj, nigdy go nie dogonimy, jeśli nie przestaniesz gadać.

Epilog

Boguefala Bottom była w pełnym rozkwicie. Derenie rumieniły się nieśmiało jak panna młoda, a fiołki wystrzeliły z żywej ziemi, zwracając swoje szkarłatne twarzyczki ku słońcu. Dęby wypuściły maleńkie, zielone listki, a na słonecznych zboczach wzgórz żonkile i stokrotki tańczyły w podmuchach wiosennego wiatru.

Margaret Leigh McGill wyszła na werandę. Jej grube, ciemne włosy zwisały luźno na ramionach. Miała na sobie wygodne, spłowiałe dzinsy i miękką, różową koszulę. Trzymała w ręku miotłę i nuciła.

Szczecina miotły świszczalała na gołych deskach, wzbijając nieliczne pyłki kurzu. Od czasu przybycia Margaret do Boguefala Bottom, kurz, pajęczyny, pleśń i zacieki stały się przeszłością.

Z podwórza dobiegło szczekanie — to psy witały Andrew. Margaret Leigh знаła je wszystkie pó imieniu: Missisipi Rex, Sam Pea, Lollipop, Jonas, no i oczywiście Colonel Leigh, ich ślubny szczeniak. Nawet poznawała je po głosach. Colonel Leigh hałasował najbardziej, jakby chciał zwrócić na siebie uwagę.

Nucenie Margaret Leigh przybrało specjalny rytm; ona także chciała zwrócić na siebie uwagę. I wiedziała, jak to zrobić.

— Wiem, że uwielbiasz sobotnie poranki.

Pozdrowienie Andrew wyprzedziło go, docierając zza rogu domu dobre pół minuty przed jego pojawieniem się. Margaret oparła miotłę o drzwi i zbiegła ze schodów, aby go przywitać.

Z wyciągniętymi rękami skoczyła w jego ramiona. Złapał ją, podniósł wysoko i zawirował w rytmie walca.

— Tak. Tak. Kocham każdy ranek z tobą, Andrew.

— Ach, Meggy. — Opuszczał ją wolno wzdłuż ciała, aż wreszcie postawił na ziemi. — Jak można skoncentrować się na pracy z taką kobietą w pobliżu?

— Oto co masz, kochanie. Sam tego chciałeś.

— Jeśli dobrze pamiętam, to ty postanowiłaś zostać moją żoną.

— Ale ty powiedziałeś „tak”.

— Powiedziałem. — Zaśmiał się i pocałował ją. — Uwielbiam w ten sposób rozpoczynać dzień.

— Tak właśnie rozpoczęłeś dzień godzinę temu.

— Lubię rozpoczynać go dziesięć lub jedenaście razy.

Przyciągnął ją do siebie i znów pocałował, tym razem wolno, upajając się zapachem wiosennego wiatru w jej włosach i smakiem dżemu

truskawkowego na wargach. Był wspaniały, Maggy sama go robiła. Uwielbiała wszystkie zajęcia domowe — Andrew był największym szczęściarzem na świecie.

Całował ją długo, pieścił rękami jej ciało, czując natychmiastową reakcję.

— Andrew. Nie mogę o niczym myśleć, jak jesteś w pobliżu.

— A o czym innym można myśleć?

Znów ją namiętnie pocałował. Nagle usłyszeli sygnał klaksonu i dźwięk opon na żwirze.

Margaret Leigh zerknęła na drogę. Brązowy wóz pocztowy chevynova pojawił się na zakręcie.

— To Arthur — powiedziała.

— Będzie rozczarowany, jeśli nie zrobimy przedstawienia. — Andrew pochylił się nad nią, przyciskając usta do jej ust.

Arthur Harrison zatrzymał swój mały samochód przy skrzynce pocztowej i znów nacisnął klakson. Potem wychylił się z okna i zamachał plikiem listów.

— Czy papużki nierozłączki nie widzą mnie? Przysięgam, że staremu człowiekowi przyjemnie zajechać tu i zobaczyć was razem. Jak wam się wiedzie?

Trzymając się za rękę, Andrew McGill i Margaret Leigh podeszli do skrzynki pocztowej.

Andrew wziął korespondencję z rąk Arthura i przywitał się.

— Świetnie, a tobie?

— Nie mogę narzekać. Zdrowie mi dopisuje. Najważniejsze, że mam mocne zęby i mogę gryźć szynkę i groch. — Jego serdeczny śmiech rozbrzmiewał po lesie. Rozejrzał się wolno, podziwiając wiosenne kwiaty. — Ślicznie tu u was.

— Kochamy to miejsce. — Margaret uściśniła ramię męża.

— Słuchajcie, zauważyłem list z Grand Junction w Tennessee. Czy to nie tam twój pies wygrał mistrzostwa?

— Tak. Missisipi Rex zdobył nagrodę.

— No cóż, muszę iść. Nie płacą mi za towarzyskie rozmowy. — Pomachał ręką, zatrąbił klaksonem i ruszył w drogę, wzbijając żwir i piasek.

Andrew stał w chmurze kurzu, szukając listu z Grand Junction. Wreszcie znalazł go — był w wąskiej, białej kopercie. Wyglądał poważnie i oficjalnie.

Margaret Leigh wzięła od niego resztę listów.

— Otwórz, Andrew.

Rozerwał kopertę i wyciągnął list. Czytając zaczął się uśmiechać. Uśmiech zmienił się w okrzyk radości. Schwycił Margaret i zatańczył z nią wkoło.

— Powiedz mi, Andrew. Powiedz.

— Missisipi Rex i ja zostaliśmy zaliczeni w poczet wybitnych indywidualności w naszej dziedzinie.

— To cudownie. Wiedziałam, że ci się uda.

— Kochana, to jeszcze nic. Poczekaj, aż Colonel Leigh dorośnie na tyle, aby stawać do zawodów. Wtedy wszyscy zobaczą prawdziwego championa. — Wyjął jej z ręki resztę listów i wetknął do skrzynki.

— Co robisz?

— Poczta może poczekać. Musimy to uczcić.

— Sądzę, że mamy jakieś piwo w lodówce.

— Mówię o prawdziwej uroczystości.

Wziął ją za rękę i poprowadził do hamaka pod drzewami. Rozbierając się nawzajem, utonęli w hamaku. Oślaniał ich parawan, zbudowany przez Andrew minionej jesieni.

Rozebrali się błyskawicznie. Rzucili ubrania na ziemię. Hamak przechylał się jak oszalały zanim odzyskali równowagę.

Trzymając Margaret nad sobą, Andrew odgarnął jej ciężkie włosy z twarzy.

— Pamiętasz dzień, gdy pierwszy raz tu przyszłaś?

— A ty zapytałeś, czy kochałam się kiedyś w hamaku.

— Czy kochała się pani kiedyś w hamaku, pani McGill?

— Och... tuzin razy, tysiąc razy. Wtulił twarz w jej szyję.

— A ja zawsze myślałem, że jesteś typem, który woli chłodne, białe prześcieradło.

— To też lubię. — Wplątała palce w jego złociste włosy i przyciągnęła jego głowę do piersi. — Oczywiście, strych z sianem też ma swoje zalety.

— Hmm, moja słodka... — uśmiechnął się łobuzersko — a co z posłaniem przy kominku?

— Właśnie chciałam z tobą o tym porozmawiać. — Pochylając się obsypała jego twarz lekkimi pocałunkami, kończąc na czubku nosa.

— Co z tym posłaniem? — Ujął ją za biodra i umieścił na swoich biodrach dokładnie tak, aby przyjemność była jak największa.

— Jak mogę mówić w takiej chwili? — Kołysała się rytmicznie, a hamak huśtał się, dostosowując się do tempa miłosnych uniesień.

Margaret zamknęła oczy i odrzuciła w tył głowę; erotyczne doznania stały się największą przyjemnością w jej życiu.

Rozkoszowali się sobą wśród kolorów i zapachów wiosny, przy wtórce słodkiego śpiewu ptaków. Leżała z głową na jego piersi i dłońmi wplecionymi w jego włosy.

— Odnoszę wrażenie, że chcesz mi coś powiedzieć, moja kochana.

— Pamiętasz tę noc, gdy układaliśmy Walentynki na kominku?

— ... i prażyliśmy kukurydzę nad ogniem... —... i rozpostarliśmy materac przy kominku.

— Hmm, pamiętam.

— Właśnie wtedy to się stało.

— Pamiętam wszystkie chwile spędzone z tobą. Oparła się na łokciu, aby lepiej widzieć jego twarz.

— To właśnie wtedy poczęło się nasze dziecko.

— Nasze dziecko? — Wychylił nogę z hamaka i zatrzymał go. Potem ujął jej twarz w dłonie i przyciągnął ją do siebie bardzo blisko. — Nasze dziecko?

— Będziemy mieli dziecko, Andrew.

Zamknął oczy i przytulił ją tak mocno, że ledwo mogła oddychać. Gdy rozluźnił uścisk, uniósł jej twarz ku górze, aby móc na nią patrzeć.

— Maggy, czy myślisz, że to bezpieczne dla ciebie brykać w hamaku?

— Powiedziałabym, że to zależy od tego, z kim brykam. — Zachichotała, potem chwyciła jego ukochaną twarz w dłonie. — Na razie jest to bezpieczne, mój kochany, ale gdy będę już tak gruba, że nie zobaczę swoich stóp, będziemy musieli zachowywać się jak stare małżeństwo i robić to na miłym, płaskim materacu.

— Ale do tego czasu będziemy kochać się tutaj... — Delikatnie pogładził jej uda. — Maggy, musimy to uczcić.

RS